

KIEDY ZWYKŁA PODRÓŻ ZMIENIA SIĘ W WALKĘ O ŻYCIE.

PIOTR BORLIK



BALTICA

Prószyński i S-ka

PIOTR BORLIK

BALTICA

Prószyński i S-ka

Copyright © Piotr Borlik, 2023

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

www.panczakiewicz.pl

Zdjęcie na okładce

Andreyi Armiagov/Dreamstime.com

Redaktor prowadząca

Anna Derengowska

Redakcja

Aneta Kanabrodzka

Korekta

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8352-577-8

Warszawa 2023

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla M.

Rozdział I

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz powiedział do teściowej „mamo”. Nie żeby jakoś specjalnie kochał swoją matkę i zachował to określenie dla niej, niczym bliska jego sercu drużyna AC Milan, która numer 3 na koszulce zastrzegła dla Paolo Maldiniego, by oddać mu w ten sposób hołd. Po prostu jakoś dziwnie było mu przejść z „pani Alino” na „mamo”. Kilka razy się przemógł, tuż po tym, jak Dorota bez wcześniejszych ustaleń spoufaliła się z jego rodzicami, ale szybko wrócił do ostrożnego budowania zdań i unikania bezpośrednich zwrotów. Czasem było to karkołomne zadanie, zwłaszcza gdy rozmawiali przez telefon, lata wprawy nauczyły go jednak żonglowania stroną bierną, liczbą mnogą czy formą bezosobową.

Spojrzał przez ramię na Alinę bawiącą się z wnukami. Znała imiona wszystkich Avengersów, za którymi szalał Paweł, śpiewała piosenki z *Krainy lodu*, którą Karolinka mogła oglądać bez końca, czytała bajki, lubiła rysować i wyklejać, a nawet grać w piłkę czy strzelać z pistoletów na wodę. Sebastian miał teściowej wiele do zarzucenia w kwestii wtykania nosa w nie swoje sprawy, ale nie mógł jej odmówić świetnego podejścia do wnucząt. Dzieciaki uwielbiały spędzać z nią czas, czego najlepszy dowód miał teraz na wyciągnięcie ręki.

– Nic nie widzę! – krzyknęła, nie przejmując się podróżnymi oczekującymi na odprawę paszportową. Na twarz miała nasuniętą czapkę. Wymachując wyciągniętymi przed siebie rękoma, wyglądała, jakby torowała sobie drogę wśród pajęczyn. – Halo?! Gdzie jesteście?

Stojąca za jej plecami Karolinka zachichotała. Dziewięciolatka wciąż uwielbiała zabawy w chowanego i ciuciubabkę. Starszy o rok Paweł również, ale właśnie wszedł w fazę nastoletniej nieśmiałości, dlatego tylko spojrzał na babcię, po czym usiadł na plastikowym krześle i odwrócił wzrok.

– Ależ on szybko dojrzewa – stwierdziła Dorota.

Sebastian pokiwał głową. Przyglądając się synowi, który udawał brak zainteresowania, nie mógł skojarzyć, kiedy Paweł zmienił się ze słodkiego urwisa w równie słodkiego prawie nastolatka. Kilka miesięcy temu chłopiec określiłby babcię kilka razy, śmiejąc się i zapewniając, że nigdy go nie znajdzie, a teraz sprawiał wrażenie, jakby chciał się zapaść pod ziemię, byle nikt nie powiązał go z tą starą wariatką. Kiedy był młodszy, potrafił zaczepiać obcych ludzi i udawać wygłodniałego dinopsa, teraz na samo wspomnienie tej nazwy robił obrażoną minę. Jeszcze chwila, a stwierdzi, że *Spider-Man* to bajeczka dla

maluchów, co będzie się wiązało z potrzebą wymiany połowy garderoby, plecaka i szamponu z podobizną jego ulubionego bohatera.

– Nie pozwolę na to – powiedział bardziej do siebie niż do wpatrzonej w niego żony. – Trzymaj – dodał, podając jej dokumenty.

Pewnie później tego pożałuje, Dorota nie omieszka natrząsać się z niego, udając jego ruchy i powtarzając słowa, ale cóż to szkodzi, żeby zrobić z siebie idiotę w piętnastą rocznicę ślubu? Specjalnie z okazji tego jubileuszu wykupił nocny rejs promem do Szwecji i zamierzał zaszaleć z Dorotą na parkiecie, a później odpoczywać w jacuzzi i cieszyć się sobą nawzajem. Alina obiecała zaopiekować się wnukami, zapowiadał się więc wspaniały...

– Rejs dinopsów! – powiedział głośno, wyciągając obie ręce w górę i człapiąc w stronę syna. Krzycząc, uzyskałby lepszy efekt, ale i tak czuł na sobie wzrok pozostałych podróżnych.

– O nie! – krzyknęła Karolinka, której obecność ludzi wokół zupełnie nie przeszkadzała.

Szybkim ruchem dopadł dziewczynkę. Nie zważając na piski, chwycił ją pod pachy, uniósł na wysokość twarzy, po czym jak na rasowego dinopsa przystało, połaskotał ją nosem po brzuchu, sapiąc przy tym jak dziki zwierz. W domu przeniósłby córkę na kanapę, gdzie rozchichotałaby się na całego, tutaj musiał się ograniczyć do całusa w policzek i odstawienia jej na podłogę.

– Twoja kolej, mamó – zwrócił się do teściowej.

Wciąż miała nasuniętą na twarz czapkę, ale z pewnością jej mina wyrażała zdziwienie. Do tej pory dotyk ograniczali do uścisków podczas składania sobie świątecznych i urodzinowych życzeń, co zresztą przypominało koleżeńskie poklepywanie się po plecach. Ich najdłuższy kontakt fizyczny miał miejsce w dniu, gdy dwuletnia Karolinka zasnęła częściowo na nogach babci i ojca i nie mogli się ruszyć, by mała nie spadła.

Dziwnie było poczuć pod palcami miękkie, nieco zwiotczałe ciało. Gdyby tylko mógł, wycofałby się i wrócił do kolejki, ale było już za późno. Brnąc w niezręczną sytuację, zasapał, po czym puścił teściową i doskoczył do Pawła.

– Zjem cię! – warknął, czując pot spływający po plecach. Pomyślał, że będzie musiał zacząć rejs od szybkiego prysznica.

Chłopiec nie krył uśmiechu. Wciśnięty w oparcie, z napiętymi mięśniami ramion w geście obrony, wyglądał na gotowego do przyjęcia ataku. Przynajmniej przez chwilę znów był szczęśliwym, beztroskim dzieckiem, na które przyjemnie było popatrzeć.

– Am! – warknął Sebastian, rzucając się na brzuch syna.

O ile teściowa nie spodziewała się ataku, a Karolinka była za słaba, by się bronić, o tyle Paweł wyprowadził świetną kontrę. Pochylony ojciec nawet nie zauważył, kiedy kolano syna wylądowało mu na brodzie. Kiedyś żartował, że już niedługo, zanim zdecyduje się potarosić syna, będzie musiał wkładać wytrzymały kask, a teraz nie pogardziłby bokerską szczęką.

– Niezły cios – stwierdził, przeciągnawszy językiem po wszystkich zębach, by upewnić się, że żaden nie ucierpiał. – Marny ze mnie dinopies. Ty radzisz sobie w tej roli dużo lepiej.

– Piesozaur, tato – poprawił go chłopiec.

– Ach, tak, piesozaur, jak mogłem się pomylić... – Zerknął przez ramię na teściową, która po niespodziewanym ataku straciła animusz. Skonfundowana, ściągnęła czapkę z twarzy i podobnie jak reszta oczekujących na odprawę pasażerów wpatrywała się w Sebastiana. – Wiesz co? – dodał, pochylając się nad synem. – Babci należy się atak piesozaura. Zobacz, jak stoi zupełnie nieprzygotowana. Nie docenia wroga. Nie zdąży zareagować, kiedy do niej doskoczysz.

Chłopiec wychylił się, by na nią spojrzeć. Sam fakt, że nie zareagował głośnym westchnieniem, należało poczytywać za sukces, ale to wciąż było za mało, by wyzbył się poczucia wstydu. Potrzebował dodatkowej zachęty, dowodu, że pomimo dziesięciu lat na karku może, przynajmniej na chwilę, oddać się szaleńczej zabawie. Już niebawem ojcowski autorytet nie będzie dla niego znaczył więcej niż zeszłoroczny śnieg, na razie jednak Sebastian mógł jeszcze dawać przykład, że wygłupy sprawiają dużą frajdę.

– Atakujemy razem – szepnął konspiracyjnie. – Ty od lewej, ja od prawej.

– Ale...

Odwrócił się, nie pozwoliwszy synowi dokończyć zdania. Z jednej strony nie chciał dać mu czasu do namysłu, by reagował spontanicznie, z drugiej bał się, że sam zacznie za dużo myśleć, co niechybnie doprowadzi do pożegnania się z zabawą w psozaury.

– Atak z flanki! – rzucił głośno, zerkając kątem oka na Pawła. Zauważył, że chłopiec zerwał się na nogi i popędził na pozycję. Kolejnej kompromitacji przed Aliną mógłby już nie znieść.

– Wrrau! – krzyknął chłopiec, po czym doskoczył do babci.

W towarzystwie syna Sebastian nie musiał już tarnosić teściowej. Zresztą i tak domyślał się komentarzy Doroty, która przez całą noc będzie go parodiować. Nie widział powodu, by ułatwiać jej zadanie.

– A teraz atakujemy mamę!

Tym razem nie musiał motywować dziesięciolatka. Syn z okrzykiem na ustach ruszył na nią, w ślad za nim pobiegła młodsza siostra, piszcząc i chichocząc, jak to tylko niewinne dziecko potrafi. Cudownie było patrzeć, jak dzieciaki dopadają Dorotę, skaczą wokół niej i udają, że drapią ją pazurami. Korciło go, by wyciągnąć telefon i nagrać rodzinne szaleństwo, ale nie chciał deprimować syna.

– Nie pozwólcie mamie uciec! – dodał, podchodząc do Doroty i odbierając od niej dokumenty.

Uśmiech żony mówił więcej niż słowa. Wprawdzie oboje od kilku tygodni cieszyli się perspektywą szaleństw na statku, gdy w pobliżu nie będzie dzieciaków, ale teraz liczyli się

tylko uśmiech tych dwóch uroczych szkrabów. Bez nich cała eskapada nie miałaby sensu. Bez nich nic nie miałoby sensu.

Rozczulony obserwował, jak Dorota udaje przerażoną i ucieka w stronę toalet. Pędzące za nią psozaury ani myślały odpuścić. W mig dopadły mamę, po czym zagroziły jej drogę, a Paweł, wcielając w życie jedną z przećwiczonych z tatą taktyk, chwycił ją za nogi i próbował obalić na ziemię.

– Cudowna rodzinka – skomentował stojący obok mężczyzna.

– Tak – odparł Sebastian. – To znaczy, dziękuję – dodał, uśmiechając się do nieznajomego. – Mam nadzieję, że nie narobiliśmy za dużo hałasu.

– Dzieci potrzebują się wyszaleć. Jak komuś to przeszkadza, to musi mieć smutne życie.

– Niby tak, ale ludzie chcą odpocząć, a tu krzyki i piski.

– Jak ktoś chce odpocząć, to niech się nie decyduje na rejs statkiem z całonocną dyskoteką i mnóstwem atrakcji dla dzieci.

– Wygląda na to, że pan też ma dzieci.

– Córkę, Ulę. Temperamentem i pomysłami mogłaby obdarować całą grupkę rówieśników. Teraz ma już piętnaście lat i sprawia innego rodzaju kłopoty, ale kiedy była w wieku pana urwisów, nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Wszędzie było jej pełno. A to coś stłukła, a to spadła ze schodów, raz nawet włączyła alarm przeciwpożarowy w supermarkecie.

– To jeszcze przede mną, ale wspólne zakupy zawsze wiążą się z ganiem między regałami i naciąganiem na zabawki.

Kolejka oczekujących na odprawę przesunęła się do przodu. Sebastiana od okienka dzieliła tylko starsza para, która, jak sądził po pomrukach, niekoniecznie podzielała jego zadowolenie z dziecięcych szaleństw.

– Klasyka – zaśmiał się tamten. – Moja Ula schowała raz pod koszulkę jakąś maskotkę, nie pamiętam już nawet, co to było. Oczywiście kiedy zapłaciliśmy za zakupy i wyszliśmy przed kasę, czujniki wykryły zamontowane na zabawce zabezpieczenie. Ależ się wtedy wstydu najadłem. Ochroniarz patrzył na mnie jak na złodzieja.

– Potrafię sobie to wyobrazić.

Miło się gawędziło, ale Sebastian co rusz zerkał w stronę, gdzie chwilę wcześniej pobiegła Dorota z dziećmi. Nie uśmiechało mu się przepuszczać ludzi w kolejce, i tak już swoje odstał. Jak na złość, teściowa też gdzieś zniknęła.

– Wygląda pan na zestresowanego – skomentował nieznajomy. – Pierwsza tak długa podróż promem?

– Nie – odparł bez namysłu. – To znaczy tak, nasza pierwsza wycieczka promowa, ale nie jestem zestresowany. Szukam rodzinki, żebyśmy odbębnieli odprawę i mogli skupić się na przyjemnościach.

– Uprzedzam, że może mocno bujać. Zwłaszcza gdy człowiek zasiedzi się w barze, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Mhm.

Nie chciał być nieuprzejmy, ale stracił ochotę na pogawędkę. Dorota wiedziała o odprawie, a mimo to wciąż nie przygoniła dzieci z powrotem. To nie w jej stylu. Razem z Sebastianem należeli do osób, które wolą poczekać piętnaście minut, niż spóźnić się choćby o sekundę. Coś musiało się wydarzyć. Nie daj Boże któreś z dzieci potknęło się i skrzyło kostkę.

– Pańska kolej – powiedział nieznajomy, gdy zwolniło się miejsce przy okienku.

– Mhm.

Wychylił się w nadziei, że zobaczy zziąjaną, ale uśmiechniętą żonę ciągnącą za sobą słodki balast. Nie był na nią zły, dużo wcześniej obiecał sobie, że cokolwiek się wydarzy, to w trakcie rocznicowej wycieczki nie dopuści do głosu negatywnych emocji. W końcu dłuższe stanie w kolejce to nie koniec świata. Najważniejsze, żeby wszystko poszło dobrze.

– Przepraszam, może jednak trochę się stresuję – dodał po chwili. Nie chciał wyjść na gbura, który tylko burczy pod nosem.

– Nie ma sprawy. Sam też jestem kłębkiem nerwów, a gdy się stresuję, to gadam jak najęty. Moja córka odziedziczyła to po mnie. Kiedy jesteśmy podenerwowani, nakręcamy się wzajemnie. Możemy mówić o wszystkim – ona o sporcie, ja o modzie, byle tylko coś się działo.

– Do zobaczenia przy barze.

Podszedł do okienka i uśmiechnął się do siedzącego po drugiej stronie mężczyzny. Spodziewał się kogoś młodszego, ale po chwili stwierdził, że dobijający czterdziestki pracownik mógł akurat lepiej go zrozumieć niż młokos bez pojęcia, jak wygląda życie z dwójką rozszalałych dzieci.

– Dzień dobry – powiedział, przybierając pozę pocziwej ciapy, nad którą trzeba się zlitować i nagiąć procedury. – Nazywam się Sebastian Możdzeń, mam opłacony rejs dla trojga dorosłych i dwójki dzieci. Mam ich dokumenty i potwierdzenie rezerwacji, ale gdzieś wsiąkli, a nie chcę odchodzić na koniec kolejki. Mógłby pan wydrukować nam bilety, karty pokładowe czy jak to się tam nazywa?

– Dzień dobry – odparł mężczyzna ubrany w białą koszulę i granatowy krawat. Jego mina nie zwiastowała niczego dobrego. – Obawiam się, że to niemożliwe. Muszę ich zobaczyć, potwierdzić tożsamość.

– Przecież to chyba i tak będzie sprawdzane przed wejściem na pokład, czy się mylę?

– Po odprawie przejdzie pan do poczekalni, skąd już bezpośrednio można skierować się korytarzem na pokład promu. Wszelkich formalności musimy dopełnić tutaj. – Potarł przekrwione oczy. Sprawiał wrażenie znudzonego wykonywaną pracą.

Sebastian rzadko podróżował, ale na stanowiskach odpraw biletowo-paszportowych zawsze natykał się na życzliwie uśmiechnięte i gotowe do pomocy młode osoby, tym razem jednak było inaczej.

Możdzeń pochylił się, by przeczytać imię na przypiętej na wysokości piersi mężczyzny plakietce z logo przewoźnika.

– Panie Arturze – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. – Bardzo pana proszę, niech pan zrobi, co ma zrobić, a potem tylko potwierdzimy, że moja rodzina to moja rodzina. Podejźmy bez kolejki, spojrzysz pan na zdjęcia w dokumentach i wyda nam bilety.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Ile lat mają te pana szkraby? – zapytał. Kąciki jego ust jakby lekko się uniosły.

– Dziewięć i dziesięć. Są podekscytowane wycieczką.

– Nuda im nie grozi. Mamy dyskotekę dla najmłodszych, salę gier, pokazy świetlne, seanse filmowe, dla każdego coś miłego.

– Mam nadzieję, że dorośli też będą dobrze się bawić.

– Oby nie za dobrze, bo prom dobija do brzegu z samego rana. Kajuty należy opuścić już o piątej. Sporo pasażerów po prostu wcale się nie kładzie.

Sebastian obejrzał się przez ramię, ale Doroty wciąż nie było. Zły na siebie, że wcześniej na to nie wpadł, wyciągnął telefon z kieszeni spodni i wybrał numer żony. Wyobrażał sobie jej minę, jak walcząc z dziećmi, będzie próbowała otworzyć torebkę i znaleźć dzwoniącą komórkę. Jak zawsze skrzywi się, jakby coś ją zapiekło w ustach, i ciężko westchnie. Rozsądniejsze wydawało się zadzwonienie do Aliny, ale wciąż był zakłopotany z powodu ich niefortunnego kontaktu fizycznego.

– Dziwne, ma wyłączony telefon – stwierdził na głos. Nagle opadły go czarne myśli.

– Pewnie się rozładował. Niech pan już poda te dokumenty i dowód rezerwacji. To ma być w końcu przyjemna wycieczka, a nie psychiczne tortury.

– Super, bardzo panu dziękuję.

Położył na blacie wydrukowane papiery i dokumenty. Odbierając je od Doroty, nie zwrócił uwagi, że jest ich za mało. Wydrukował co najmniej dziesięć, jeśli nie dwadzieścia stron, a teraz miał przed sobą dwie kartki. Dokumenty też się nie zgadzały. Dałby sobie rękę uciąć, że przed publicznym skompromitowaniem się przekazywali sobie z żoną paszporty całej piątki, a teraz miał tylko swój.

– Jakiś problem? – zapytał Artur, nie dając po sobie poznać zniecierpliwienia, choć pewnie obowiązywał go limit czasu na obsługę każdego klienta.

– Gdzieś zapodziałem papiery.

Spojrzał na kilkunastoosobową kolejkę, większość osób posyłała mu nieprzychylnie spojrzenia, tylko ojciec Uli uśmiechał się życzliwie, Sebastian jednak go zignorował. Bardziej interesowała go podłoga, na której miał nadzieję znaleźć zgubione dokumenty.

– Na razie wystarczy mi numer pańskiej rezerwacji. Tam powinny być podpisane dane pozostałych podróżnych. Później będę potrzebował ich dokumentów.

– Bardzo pan miły, dziękuję. Byłem przekonany, że trzymałem je w ręku.

– Nie zgadnie pan, ile osób zapomina dokumentów. Przypominamy o nich w kilku miejscach, a i tak często muszę odsyłać ludzi do domów. Pan, jak rozumiem, powierzył

papiery małżonce, więc możemy... – Urwał, wpatrzony w ekran komputera. Z początku wyglądał, jakby wyskoczyła mu informacja o poszukiwanym przez Interpol kryminaliście, ale po chwili uśmiechnął się i pochylił w stronę Sebastiana.

– Niech mi pan nie mówi, że są jakieś komplikacje – powiedział Możdzeń. – To nasza piętnasta rocznica ślubu.

– Jest pan pewny, że bilety były dla pięciu osób?

– Korciło mnie, żeby nie płacić za teściową, ale wtedy dzieciaki przez cały czas byłyby na naszej głowie, więc tak, zarezerwowałem i opłaciłem bilety dla wszystkich.

– W takim razie chyba jednak będzie pan musiał odnaleźć małżonkę i poprosić ją o resztę dokumentów. Z tego, co widzę w systemie, ma pan kupiony tylko bilet dla siebie. Jeszcze coś sprawdzę... – Przeniósł wzrok na monitor i wstukał coś na klawiaturze.

Sebastian niewiele z tego rozumiał. Pamiętał okoliczności, w jakich zamawiał bilety. Żartował wówczas, że dla siebie i Doroty wykupi kajutę w klasie premium, a pozostałych wyśle do innej części statku i nie zdradzi im swojej lokalizacji. Kiedy sprawdził cenę za rejs i atrakcje na miejscu, zapytał, czy może jednak Alina nie będzie mogła sama opłacić swojego wyjazdu, ale wystarczyło jedno spojrzenie Doroty, by wycofał się z tego pomysłu. Pamiętał, że pili wówczas mirindę, za którą oboje nie przepadali, zostało jednak pół butelki po obiedzie, a następnego dnia byłaby już wygazowana, więc przyjęli puste kalorie w imię filozofii zero waste. Później rozmawiali o kolorowych drinkach, które będą sączyć na promie, zastanawiali się, czy nie wnieść na pokład swojego alkoholu, by nie przepłacać, ale wspólnie uznali, że byłaby to przesada. Później obejrzeli dwa odcinki *Better Call Saul*, po których ona poszła spać, a on dobrą godzinkę bezmyślnie skakał po stronach internetowych w telefonie. Pamiętał tak wiele – niemożliwe, by zapomniał, że dokonali dwóch osobnych rezerwacji. To nie miałoby sensu.

– Obawiam się, że nie mam dobrych informacji – dodał pracownik linii żeglugowej.

– To znaczy?

– Sprawdziłem listę pasażerów. Widnieje tam tylko jedna osoba o nazwisku Możdzeń i jest to pan.

– Niemożliwe. Musiał pan coś źle wpisać.

– Sprawdziłem dwa razy. Może żona wpisała panięskie nazwisko?

– Żona niczego nie wpisywała. Ja się tym zajmowałem. Wczoraj wieczorem osobiście drukowałem rezerwacje. Proszę nie robić ze mnie idioty.

– Naprawdę chciałbym panu pomóc, ale nie przeskoczę systemu.

I jak tu się nie denerwować, stwierdził w myślach Sebastian. Najwyraźniej błędnie powiązał wiek mężczyzny z doświadczeniem, skoro ten nie potrafił sprawdzić tak prostej rzeczy. Pewnie niedawno został zatrudniony i równie szybko straci pracę. Być może Możdzeń będzie miał w tym swój udział, bo zamierzał złożyć oficjalną skargę.

– Mogę panu pokazać potwierdzenie, które dostałem na maila – odparł, starając się zachować pozytywne nastawienie.

– To by mi ułatwiło zadanie.

– Jasne, chwila.

Odblokował ekran i nacisnął ikonkę skrzynki pocztowej. Cały czas czuł na sobie spojrzenia ludzi oczekujących w kolejce. Wcześniej część z nich życzliwie patrzyła na rodzinne szaleństwa, ale teraz nawet w oczach ojca Uli musiał uchodzić za wyjątkowo upierdliwego klienta. Co z tego, że to nie jego wina, tylko niekompetentnego pracownika, który nie potrafi obsługiwać systemu rezerwacji. Ludzie i tak wiedzą swoje.

– Okej – dodał, odnalazłszy wiadomość. – Mam podyktować numer?

– Poproszę.

– Dobra... – Przewinął kciukiem w dół dokumentu. Spodziewał się kilkunastu stron, tymczasem na ekranie wyświetlił mu się dokładnie ten sam dokument, który wcześniej w wydrukowanej wersji wręczył mężczyźnie.

– Ewentualnie może mi pan podać telefon. Wiem, gdzie znaleźć odpowiednie informacje.

– Coś mi nie działa – mruknął, coraz bardziej zdezorientowany. Wszystko to wyglądało, jakby ktoś zrobił mu kiepski żart.

– Rozumiem. – Mężczyzna z obsługi przesunął dokumenty w jego stronę. – W takim razie nie mamy wyboru i musimy poczekać na pana małżonkę. Jak pan widzi, kolejka jest długa, a chwilowo jestem tu sam i muszę zająć się odprawą innych pasażerów.

– Tak... – Raz jeszcze sprawdził zawartość skrzynki. Doskonale pamiętał, że były tam rezerwacje dla całej rodziny. Wydawało mu się to niemożliwe, ale najwyraźniej omyłkowo je skasował. – Wie pan co – powiedział po chwili. – Może coś pochrzaniłem. Skoro w systemie widnieje tylko jeden Możdzeń, to niech pan jeszcze sprawdzi Alinę Bijak. To moja teściowa. Może coś źle kliknąłem i resztę wpisałem do jej rezerwacji.

Mężczyzna ciężko westchnął, ale spełnił prośbę.

– Nie ma – odparł po chwili.

– To ja już naprawdę nie wiem. – Wziął leżące przed nim dokumenty, złożył je byle jak i wepchnął do kieszeni spodni. O trzymaniu nerwów na wodzy nie było już mowy. – Dobra, dziękuję i przepraszam za kłopot. Zaraz wrócę tu i wszystko wyjaśnimy.

Obrócił się przez lewe ramię, by uniknąć wzroku osób czekających w kolejce. Nie chciał wszczynać awantur, a podskórnie czuł, że mógłby skomentować krzywe spojrzenia lub kręcenie głową. I tak już wyszedł na gamonia, nie widział powodu, by doklejać sobie jeszcze łatkę furiata.

Zaraz wszystko się wyjaśni, powtarzał sobie w myślach. To nie lotnisko w Amsterdamie, tylko składający się z kilku korytarzy terminal portowy w Gdyni, przemierzenie go zajmuje góra trzy minuty. Zaraz znajdzie Dorotę, odbierze od niej dokumenty i odbębni wszystkie formalności. Później oboje będą się z tego śmiać, jak z piesozaura atakującego Alinę.

Doszedł do rozwidlenia korytarza. W prawo prowadziła droga do toalet i pomieszczeń służbowych, lewa odnoga kończyła się wyjściem na parking. Sebastian wątpił, by cała czwórka nagle poczuła parcie na pęcherz, skierował się więc w przeciwną stronę. Nie rozumiał, dlaczego Dorota wyszła z dziećmi, nie dając mu znać. Nawet jeśli rozładował się jej telefon, to mogła się cofnąć kilka metrów albo wysłać matkę.

Ruszył na zewnątrz i rozejrzał się dokoła. Widok pustawego parkingu, na który właśnie podjeżdżała taksówka, sprawił, że pierwszy raz poważnie zaczął się martwić. Nie miał pomysłu, co tu się wyrabia. Niemożliwe, żeby poszli dalej. Nawet gdyby Dorota przypomniała sobie o pozostawionym w mieszkaniu włączonym żelazku, to przecież by mu o tym powiedziała.

Zdenerwowany wybrał numer teściowej. Może nawet do końca życia nazywać ją kochaną mamusią, byle tylko odebrała i wytłumaczyła, gdzie się podziewają.

– Cholera jasna! – przeklął, usłyszawszy informację o możliwości pozostawienia wiadomości. Pamiętał, jak dwa lata temu tłumaczył Alinie działanie poczty głosowej. Na próbę nagrali jej powitanie, ale stwierdziła, że nie lubi brzmienia swojego głosu, więc je skasowali. Koniec końców ludzie po nieudanej próbie kontaktu rozłączali się, a ona dostawała krótkie, trwające sekundę lub dwie głuche wiadomości. Potem zdecydowała się dezaktywować usługę, najwyraźniej tego jednak nie zrobiła, być może ją to przerosło i nawet do tego potrzebowała pomocy zięcia.

Upewniwszy się, że Doroty ani dzieciaków nie ma nigdzie w okolicy, wrócił do środka. Już miał popędzić do toalet, gdy pomachał mu zmierzający w jego stronę mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał w kolejce do okienka.

– A co pan tu robi? – zapytał tamten. Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

– Żony szukam – odparł Możdzeń, nie zamierzając wchodzić w szczegóły, by mężczyzna nie zarzucił go kolejną rodzinną opowieścią.

– To chyba pan wybrał zły rejs. Są organizowane specjalne wycieczki dla singli, wie pan, takie pływające sanatorium w Ciechocinku, gdzie na dansingach aż kipi od feromonów.

– Przepraszam, ale trochę się spieszę.

Wyminął natręta i ruszył w stronę toalet.

– Tam ich pan nie znajdzie – usłyszał za plecami.

Zatrzymał się w pół kroku i przez ramię spojrzął na mężczyznę w oczekiwaniu na rozwinięcie myśli.

– Nie? – zapytał, nie doczekawszy się wyjaśnień.

– Musieliście się wyminąć. Dorota przyszła chwilę po tym, jak pan odszedł od okienka. Wpuściłem ją przed siebie.

– Jak to przyszła po mnie? – Podeszedł do mężczyzny i spiorunował go wzrokiem. Zazwyczaj stronił od przemocy, ale nie ręczył za siebie, jeśli okaże się, że to głupi żart.

– No, cała czwórka zjawiła się dosłownie minutę później. Dzieciaki były grzeczne. Odprawili się błyskawicznie, wzięli bagaże i przeszli do poczekalni.

– Niemożliwe.

– Nawet zagaiłem, żeby na pana poczekali, ale Dorota zbyła mnie uśmiechem.

– Nic z tego nie rozumiem. Jest pan pewien?

– Jak tego, że moja Ula rok temu wyszła na miasto bez portmonetki. Zorientowała się dopiero wtedy, kiedy kontroler biletów w tramwaju chciał ją wylegitymować.

– To bez sensu.

Mógłby długo wymieniać towarzyszące mu emocje, ale jak najszybciej chciał się skonfrontować z żoną. Bez słowa odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę odprawy biletowej. To wszystko wyglądało jak przygotowany wcześniej żart. Być może Dorota w ramach rocznicowych atrakcji podmieniła bilety, aby później wcielić się w zmysłową nieznajomą, która przypadkiem spotka Sebastiana przy barze. Pomysł wydawał się fajny, ale nie wyjaśniał, dlaczego w systemie widniała tylko jedna osoba o nazwisku Możdżeń. Nie mogła podać fałszywych danych, zostałyby to wykryte podczas odprawy biletowej, a przecież w ramach żartu nie wyrobiłaby sobie i dzieciom lewych dokumentów. Po pierwsze, nie wiedziałyby jak, a po drugie, nikt nie ryzykowałby w ten sposób, żeby urozmaicić sobie podróż. Musiała wcześniej ustalić to z pracownikiem operatora promów.

Dotarł do zakrętu, gdy zdał sobie sprawę, że opisując zdarzenie sprzed kilku minut, nieznajomy posłużył się imieniem Doroty. Nie przypominał sobie, by mu się przedstawiał, a tym bardziej opowiadał cokolwiek o żonie, nie miał jednak czasu, by teraz zaprzętać sobie tym głowę. Pewnie gdy jeszcze stali razem, zwrócił się do niej po imieniu, co nie uszło uwadze tego faceta – doszedł do takiego wniosku, wymijając długą kolejkę i podchodząc bezpośrednio do okienka.

– Przepraszam – powiedział do stojącej obok starszej kobiety, po czym nie czekając na jej reakcję, pochylił się w stronę pracownika punktu odpraw i dodał: – Podobno właśnie obsłużył pan moją żonę, dzieci i teściową. Nagle pan potrafił znaleźć ich w systemie?

Mężczyzna zmarszczył czoło. Sprawiał wrażenie niewzruszonego, jakby żył w przekonaniu, że cienka tafla szkła dzieląca go od Sebastiana gwarantuje mu nietykalność.

– To już przestało być śmieszne – odparł spokojnie. – Ma pan wykupiony bilet dla jednej osoby. Sprawdziłem również, że wejście do parku rozrywki też wykupił pan tylko dla siebie.

– Brednie. Przed chwilą odprawił pan moją rodzinę. Nie wiem, czy jest pan w zмовie z Dorotą, ale wcale mi się to nie podoba.

– Mogę wezwać kierownika, ale uprzedzam, że nie powie panu nic więcej. Jeśli źle się pan czuje, to może powinien pan zrezygnować z rejsu i wrócić do domu. Wygląda pan na skołowanego.

– To by się dopiero Dorota zdziwiła. Miejmy tę farsę za sobą. Proszę mnie odprawić, wydać kartę pokładową i skończmy ten cyrk. Złożę na pana skargę, proszę mieć to na

uwadze.

Mężczyzna nawet nie poprosił o dokumenty, tylko od razu wziął się do działania. Jeśli miał nadzieję, że w ten sposób uniknie konsekwencji, to był w błędzie.

– Proszę – powiedział po chwili, podając Sebastianowi wydrukowaną kartę pokładową.

– Nie można było... – Utkwił wzrok na tekturowym prostokącie. Data, godzina i miejsce docelowe się zgadzały, ale umieszczony na samym dole numer i opis kajuty sugerowały, że Dorota naprawdę zabawiła się jego kosztem. – Dwuosobowa? – zapytał, nie kryjąc uśmiechu.

– Zgadza się.

– Zapłaciła, żeby mnie pan okłamał, czy wzięła pana na ładne oczy?

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– To niby z kim będę spał? Jakie imię wymyśliła dla siebie?

Mężczyzna potarł oczy. Musiał robić to często, bo jego spojówki były zaczerwienione, na co Sebastian zwrócił uwagę już podczas ich pierwszej rozmowy.

– Nie powinienem tego mówić – odparł – ale myślę, że ochrona danych osobowych to teraz najmniejszy problem. Będzie pan podróżował razem z kolegą, z którym rozmawiał pan w kolejce do odprawy.

– Co?!

Nie wiedział, który raz zwrócił na siebie uwagę podróżnych. Jeśli na początku przejmował się ich reakcją, to teraz było mu to zupełnie obojętne. Niech sobie myślą, co chcą, i tak najpewniej nigdy się już nie zobaczą.

– Jeśli to wszystko, to proszę wziąć bagaże i udać się do sąsiedniego pomieszczenia – odparł spokojnie obsługujący go mężczyzna. – Tam przejdzie pan bezpośrednio na pokład promu. Witamy na MF „Baltica”.

Walizki, pomyślał Możdżeń, bez słowa odwracając się od mężczyzny. Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Przecież przed zajęciem miejsca w kolejce ustawili bagaże między dwoma rzędami plastikowych krzesełek dla oczekujących. A było co ustawiać. Na wycieczkę składał się nocny rejs do Szwecji, całodniowa zabawa w parku rozrywki i droga powrotna do Gdyni. Sebastian ograniczył się do spakowania na tę okazję jednej zmiany bielizny, koszulki, ręcznika, kąpielówek i kosmetyków. Stanowiło to jednak niewielki ułamek ich bagażu. W trzech walizkach – z czego największa mogłaby pomieścić skulonych Karolinę i Pawła – Dorota spakowała kilka kompletów ubrań, buty na zmianę dla wszystkich, zapasowe kurtki, książki, na wypadek gdyby dzieci zaczęły się nudzić, i całą masę niepotrzebnych rzeczy. Obserwując, jak walczy z zamkiem, żartował, że nawet gdyby chcieli kupić jakieś pamiątki w Szwecji, to i tak nie będzie gdzie ich pomieścić.

– No, bez jaj – zaśmiał się ponuro na widok płóciennej torby z nadrukowanym krukiem, którą dostał w prezencie w ramach zakupu kolekcji książek Stephena Kinga. Tak jak się spodziewał, w środku znajdowały się jego rzeczy. – Przeginasz, kochanie – dodał, przerzucając pakunek przez ramię.

Nie spodziewał się tego po żonie. Owszem, lubiła żartować, ale szczytem jej dotychczasowych możliwości był primaaprilisowy numer, kiedy na wewnętrznej części klosza jego lampki nocnej nakleiła czarny kształt karalucha. Niestety, reakcja Sebastiana – a w zasadzie jej brak, bo nie zwrócił uwagi na dziwną plamkę – bardzo ją rozczarowała. Tym razem też raczej nie uzyska zamierzonego efektu, chyba że chciała podnieść mężowi ciśnienie.

Układając w głowie listę pretensji, podszedł do drzwi, przyłożył kartę pokładową do czytnika i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Nie było w nim Doroty ani dzieci, tym razem jednak postanowił się już nie przejmować. Zmęczony ciągnącym się za długo żartem ruszył zgodnie z oznaczeniami widocznymi na ścianie.

Droga na prom okazała się krótsza, niż zakładał. Najpierw pusty korytarz, później schody, kolejny korytarz, a na końcu tunel, z którego było już widać wejście. Ten widok odrobinę poprawił mu humor. Nie daruje Dorocie, zdrowo ją opieprzy za zszargane nerwy, ale nie będzie długo się dąsał. Może później, gdy wrócą do Gdyni, strzeli focha, lecz w trakcie podróży zrobi wszystko, by miło celebrować rocznicę ślubu. Może nawet da się nakłonić na małe odgrywanie ról...

Przechodząc przez automatycznie otwierane drzwi, nie mógł pozbyć się wrażenia, że wkracza do innego świata. Nudne, ciche korytarze wyłożone szarymi płytkami zostały zastąpione przez światła, czerwoną wykładzinę, muzykę, ogromnego miśka witającego gości i dwie atrakcyjne dziewczyny kierujące podróżnych do kajut. Wszystko to ociekało kiczem, ale trudno o lepsze warunki do zresetowania się i zapomnienia o wszystkich troskach.

Uśmiechnął się do stojącej bliżej blondynki i podał jej kartę pokładową.

– Witamy na pokładzie MF „Baltica” – powiedziała. – Kabina 7339 znajduje się na siódmym piętrze, na lewo od windy, mniej więcej w połowie korytarza. Życzymy udanej podróży.

– Będzie bardzo udana.

Chciał dopytać, jak nazywają się odpowiedniczki stewardes na wodzie, ale zabrakło mu odwagi. Zamiast tego uśmiechnął się życzliwie, odebrał kartę pokładową i ruszył prosto do windy. Miał nadzieję, że w kajucie czeka już na niego Dorota, w przeciwnym razie zamiast jej szukać, uda się do baru i zacznie resetować się bez niej.

Nie był z siebie dumny, ale widząc pustą windę, przyspieszył kroku, by zostawić w tyle innych podróżnych i nie jechać z nimi w ścisku. Chwilowo miał dość rozmów z ludźmi. Szczerze powiedziawszy, wszystkiego miał dosyć. Miał nadzieję, że to przejściowy stan i na widok Doroty niesnaski pójdą w zapomnienie, w przeciwnym razie upije się na smutno, co będzie dobijające. Wcisnął przycisk siódmego piętra. Z ulgą przyjął zamykające się drzwi, przynajmniej na chwilę odciął się od ludzi. Zaraz się rozchmurzy, zaraz wszystko wróci do normy, zaraz...

Westchnął, gdy drzwi otworzyły się na piątym poziomie. Na szczęście na korytarzu nie było nikogo widać. Zapewne ktoś przywołał windę, po czym przypomniał sobie, że zostawił coś w kajucie. Sebastian zaśmiał się z samego siebie. Nie mógł myśleć w ten sposób. To do niczego dobrego nie prowadzi. Unikając ludzi, dodatkowo się nakręcał, a przecież wsiadł na pokład ogromnego promu pełnego pasażerów. Jeśli zależało mu na samotności, trzeba było wynająć żaglówkę.

Niesiony tą myślą, przyblokował windę i wyrztał na korytarz. Po chwili jego uszu dobiegło trzaśnięcie zamykanych drzwi. W romantycznej komedii zza rogu wyłoniłaby się ubrana w obcisłą sukienkę i buty na wysokim obcasie Dorota, co byłoby nagrodą dla Sebastiana za zmianę nastawienia. Oboje bez słowa wpadliby sobie w ramiona, w tle słyhać by było romantyczną melodię, a ekran stopniowo by się ściemniał. W prawdziwym życiu trudniej jednak o takie puenty, czego najlepszym dowodem było niosące się po korytarzu głośnie dudnienie. Z sekundy na sekundę dźwięk przybierał na sile, jakby ktoś ubrany w ciężkie buty biegł sprintem w stronę wind. Sebastian już miał krzyknąć, że nie trzeba się tak spieszyć, gdy zza rogu dosłownie wyskoczył ogromny, co najmniej dwumetrowy mężczyzna, ubrany od stóp do głów na czarno, z sięgającymi ramion włosami opadającymi na twarz. Biegł w jego stronę, jakby miała to być ostatnia winda na świecie. Zdziwiony zachowaniem nieznanego, nawet trochę wystraszony, Sebastian wcisnął się w głąb kabiny.

Dudnienie nagle ustało. Wszystkie dźwięki ustały. Moździeń gotów był przysiąc, że wcześniej słyszał regularny szmer klimatyzatora. Teraz nie słyszał nawet własnego oddechu, choć był mocno przyspieszony. Na przekór wcześniejszemu zachowaniu wcisnął przycisk zamykania drzwi. Jak na złość winda nie chciała się zamknąć.

Otworzył usta, ale nie był w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Odruchowo podniósł rękę do ust, gdy ubrany na czarno kolos wskoczył do kabiny. Jego ruchy były dziwne, niepasujące do zwalistej sylwetki. Poruszał się zadziwiająco zwinnie, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Sebastian zamarł w bezruchu, gdy nieznanomy podniósł głowę, odsłaniając nasuniętą na twarz świńską maskę. Przebranie wyglądało odstręczająco. Długi pomarszczony ryj, głębokie oczodoły, bruzdy na lśniących policzkach, a do tego czarne włosy nadające całości upiorny charakter. Nie wiedział, jak długo tak stali w milczeniu. Miał wrażenie, że minęło co najmniej dziesięć minut, gdy ogromne łapsko wystrzeliło w jego stronę i chwyciło go za szyję. Nie był w stanie zareagować. Nie był w stanie wezwać pomocy. Nie był w stanie nic zrobić, gdy palce wielkoluda w masce miażdżyły mu krtań.

Rozdział II

– Przepraszam – powiedział nieznajomy, choć mowa jego ciała sugerowała, że miał na myśli: „Spieprzaj, stara ruro, tobie i tak nigdzie się nie spieszy”. – Podobno właśnie obsłużył pan moją żonę, dzieci i teściową. Nagle potrafił pan znaleźć ich w systemie?

Siedzący za szybą mężczyzna nie dał po sobie poznać zdenerwowania, choć przecież stracił wcześniej na tego uciążliwego pasażera kilkanaście minut. Celina podziwiała jego spokój i profesjonalizm. Sama nigdy nie pracowała na stanowisku, gdzie miałyby bezpośredni kontakt z klientem, lecz znając siebie, zrugałaby prostaka i kazała się ogarnąć. Teraz też miała ochotę pacnąć go w łeb, ale obiecała synowi, że będzie się zachowywać.

Za dużo mu obiecuję, pomyślała, czekając, aż scenka przed okienkiem dobiegnie końca. Kiedyś to ona wymuszała na małym Klaudiuszu obietnice, teraz co rusz zobowiązuje się przed nim, że nie będzie obrażać ludzi, rysować samochodów, przebijać opon czy jeść ciężkostrawnych potraw. Łatwo mówić, gdy ma się metr dziewięćdziesiąt i potężny biceps. Siedemdziesięciojedynolatki nikt nie traktuje poważnie, zwłaszcza tacy delikwenci jak ten tutaj, musiała więc jakoś sobie radzić. Z tym niszczeniem samochodów to też brzmiało gorzej, niż było naprawdę. Nim pierwszy raz przebiła oponę w białej limuzynie, której nazwy nawet nie знаła, ale domyślała się ceny, wielokrotnie prosiła kierowcę, by parkował zgodnie z przepisami i zostawiał na chodniku półtora metra wolnej przestrzeni. Tłumaczyła grzecznie, że nie chodzi o złośliwość, tylko o to, że nie można przejść z torbami pełnymi zakupów, że nic nie poradzi na swoje łakomstwo i słabość do żeberek w miodzie, przez co wygląda, jak wygląda, i człapie jak kaczką, więc potrzebuje miejsca na chodniku. Prosiła, by jegomość przeparkował dalej, tam, gdzie jest wyznaczone miejsce, on jednak burknął, żeby się odwaliła. Raz odpuściła, drugi raz też, ale Roman Kozłowski – bo tak przedstawił się Klaudiuszowi – upatrzył sobie zacieniony fragment chodnika niedaleko biurowca, w którym pracował. Nie pomagały zostawiane za wycieraczką karteczki ani cytowanie przepisów drogowych. Celina brzydziła się donosicielstwem, toteż zamiast dzwonić na policję czy do straży miejskiej, wzięła sprawy w swoje ręce. Klaudiusz jak zawsze przesadzał, ale z drugiej strony, czy nie było to urocze? Z dwojga złego lepiej, że się troszczył i regularnie ją męczył, niż gdyby miał matkę głęboko w dupie.

– Jeśli to wszystko, to proszę wziąć swoje bagaże i udać się do sąsiedniego pomieszczenia – powiedział spokojnie pracownik portu. – Stamtąd przejdzie pan

bezpośrednio na pokład promu. Witamy na MF „Baltica”.

Nieznajomy wreszcie odpuścił i zwolnił Celinie miejsce. Buc nawet nie raczył na nią spojrzeć, tylko od razu popędził w stronę krzesełek.

– Skąd się biorą tacy ludzie? – zapytała pracownika w okienku. – Szczerze panu współczuję.

– Daje się do tego przyzwyczaić.

– No nie wiem. Ja to bym takiego dla przykładu dwa razy zdzieliła po pysku, może by przejrzał na oczy.

– Wbrew pozorom to nie najgorsza praca. Lubię ją, nie chciałbym jej stracić przez agresywne zachowanie.

– Oj tam, od razu agresywne. Biłby pan otwartą dłonią, nie pięścią.

Pracownik obsługi – Artur, jak przeczytała na przyklepionej do koszuli plakietce – uśmiechnął się w sposób, w jaki zazwyczaj ludzie uśmiechają się do nieszkodliwych starszków dzielących się swoimi mądrościami na lewo i prawo. Wichrowska nie potrafiłaby zliczyć, ile razy na twarzach rozmówców widziała tę mieszankę sympatii, politowania i zniecierpliwienia.

– Dobra – skwitowała. – Nie będę zabierała panu więcej czasu. Proszę mnie odprawić, bo zebrała się spora kolejka.

Podawała mężczyźnie wyrobiony dwa lata wcześniej paszport, a w zasadzie to próbowała podać, bo dłoń ściskająca dokumenty zatrzymała się w pół drogi i odmówiła posłuszeństwa. Nie zabrakło jej siły, choć Klaudiusz wciąż powtarzał, że musi zacząć ćwiczyć, nie zmieniła też zdania, mimo że wcześniej rękoma i nogami wzbraniała się przed wycieczką, po prostu była stara, a starzy ludzie czasem nagle przypominają sobie o czymś ważniejszym niż podanie dokumentu uprzejmemu mężczyźnie i wolą poświęcić tej myśli dłuższą chwilę.

– Wszystko w porządku? – zapytał wyraźnie zaniepokojony Artur. Na szczęście nie zaproponował jej wody, jak zwykł to robić syn, gdy dopadała ją chwilowa słabość.

– Nic nie jest w porządku – odparła zgodnie z prawdą. – Mój mąż zmarł, a mnie się nie udało.

Wystarczyło jedno spojrzenie na minę mężczyzny, by pożałowała wypowiedzianych słów. Nie chciała być kimś, kto wprawia innych w zakłopotanie. Ludzie umierają, tak po prostu jest i trzeba się z tym pogodzić. Fakt, że jej Stasiu zmarł po czterdziestu sześciu latach cudownego małżeństwa, nie czynił jej wyjątkową.

– Przepraszam – dodała. – Ten paszport... – Utkwiła wzrok w dokumencie. – Po prostu wyrabiałam go z mężem, gdy mieliśmy lecieć do Argentyny. Ja do Argentyny, dałby pan wiarę? Najdalej byłam w Bułgarii, ale to było tak dawno, że wstyd o tym mówić, a tu nagle Argentyna. Oczywiście nie poleciliśmy, bo mój Staś zaniemógł, bilety przepadły, a potem już oboje nie mieliśmy siły ani ochoty ruszać się z domu.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro.

Nie rozumiał, ale Celina nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. I tak już zmarnowała za dużo czasu, a kolejka, zamiast maleć, wciąż się wydłużała.

– No... – Podała paszport. – A teraz sobie płynę do Szwecji, sama nie wiem po co.

– To bardzo przyjemna wycieczka. Powinna pani wypocząć.

– Nie mam po czym wypoczywać. Ostatnio całe moje życie to jeden wielki wypoczynek.

Poczekala, aż mężczyzna dopełni formalności, po czym odebrała kartę pokładową. Jeszcze nie było za późno, jeszcze mogła zawrócić, wezwać taksówkę i pojechać do domu. Klaudiuszowi wysłałaby kilka SMS-ów, że się świetnie bawi, co poniekąd byłoby prawdą, lecz zamiast na rozchwianym promie siedziałaby w swoim fotelu i czytała *Przeminęło z wiatrem*.

– Gotowe – oświadczył mężczyzna. – Ma pani wykupioną klasę premium. Kajuta jednoosobowa z telewizorem, fotelem i wygodnym łóżkiem. Widzę, że ma pani również wykupiony wstęp do pokładowej strefy spa. Osobiście polecam dopłacić i skorzystać z masażu pleców.

– Bardzo pan miły, dziękuję. – Odebrała dokument. – Nie chcę pana obrazić, a nie mam doświadczenia w podróżowaniu, więc zapytam wprost: czy mogę wręczyć panu napiwek, czy to jednak nie wypada?

– Nie czuję się obrażony, ale na moim stanowisku nie mogę przyjmować żadnych prezentów. To mogłoby zostać źle odebrane.

– Rozumiem. No to przynajmniej zaoszczędziłam trochę grosza na masaż. – Puściła do niego oko, po czym podniosła torbę podróżną. – Dziękuję za pomoc i cierpliwość. Mam nadzieję, że pozostali pasażerowie nie będą się tak ociągali.

Ruszyła śladem gbur, który wepchnął się przed nią do kolejki. Miała cichą nadzieję jeszcze go spotkać. Nawet jeśli już ochłonał, to z przyjemnością sprowokuje go do chamskiej odzywki, by mieć usprawiedliwienie, dlaczego kopnęła go w krocze. A nie byłby to pierwszy raz. Kiedyś nawet Stasia sprowadziła w ten sposób do parteru, za co później bardzo go przepraszała, a Staś, jak to Staś, od razu jej wybaczył, po czym, gdy odzyskał siły, upiekł jej ukochaną babkę ziemniaczaną z boczkiem i cebulą, a potem podał nalewkę własnej roboty.

– Ech, Stasiu, Stasiu – westchnęła. – Skąd ja teraz wytrzasnę tak smaczną pigwówkę?

Znów zaczynasz do siebie gadać, zganiła się w myślach. Po śmierci męża ciągle z nim rozmawiała, szybko jednak się nauczyła, by nie robić tego w miejscach publicznych. W domu co rusz o coś go pytała lub wspominała wspólne chwile, ale na zewnątrz musiała udawać normalną.

Żwawym krokiem przecięła korytarz prowadzący na pokład, wymieniła uprzejmości z dziewczyną kierującą pasażerów do kajut, po czym pojechała windą na jedenasty poziom i odnalazła kabinę 1180.

Kabina jak kabina, ani ładna, ani brzydka. Dominujący fiolet ładnie współgrał z ciemnobrązowym wykończeniem, szerokie łóżko wyglądało na wygodne, a kinkiety

ulokowane nad poduszkami dawały tyle światła, że nawet z kiepskim wzrokiem Celiny byłoby możliwe czytanie książki przed snem. Wichrowska nie zamierzała jednak spędzić nocy w kajucie, choć Klaudiusz z pewnością wykosztował się, by zapewnić jej komfortowe warunki. Jak opowiadał, specjalnie wybrał miejsce oddalone od silników, by w nocy nie słyszała ich pracy i nie odczuwała drgań, które podobno dają w kość podróżnym ulokowanym w innych miejscach statku.

Odłożyła torbę na łóżko. Już miała wypakować kosmetyki, gdy jej uwagę zwróciły ustawione w piramidkę puszki na stoliku nocnym. Nie znała się na markach słodzonych napojów, od święta wypijała szklankę coli, która nie smakowała jej jakoś szczególnie. Pozostałe wynalazki psujące zęby i podnoszące poziom cukru znała jedynie z drinków rzadko zamawianych podczas wieczornych wypadów. Kolor puszek sugerował smak pomarańczowy.

– Podobno trzeba wszystkiego w życiu spróbować – stwierdziła, podchodząc do łóżka i zdejmując puszkę ustawioną na szczycie konstrukcji.

Charakterystyczne pstryknięcie towarzyszące otwieraniu wywołało uśmiech na jej twarzy. Tym razem wspomnienie nie dotyczyło Stasia, co można było potraktować jako terapeutyczny sukces Klaudiusza, lecz byłego współpracownika Celiny, który pijał tylko napoje puszkowane, a gdy je otwierał, za każdym razem naśladował dźwięk pstryknięcia.

– Pstrrryk! – zaśmiała się, ale po chwili uśmiech zniknął jej z twarzy. Pamiętała głos kolegi, mogła przywołać co najmniej kilka sytuacji, w jakich padł ofiarą żartownisiów, którzy potrząsali wcześniej puszką, nie mogła jednak przypomnieć sobie jego imienia. – Może to i lepiej – dodała, pociągnąwszy łyk mirindy. Rejs miał osadzić ją w terażniejszości, by zaprzestała nieustannych wspominek. – Ależ to ohydne...

Odstawiła puszkę obok jej nieotwartych koleżanek. Zwróciła uwagę, że napój był chłodny, jakby dopiero co wyciągnięto go z lodówki, co sugerowało, że ktoś przyniósł te puszki zaledwie przed chwilą. Z jednej strony wydało jej się to miłe, z drugiej jednak trochę dziwne.

Przyglądając się pozbawionej szczytu piramidzie, stwierdziła, że napój w sumie wcale nie był taki zły. Trochę za słodki, trochę za bardzo zalatywał chemią, ale ogólnie dało się go pić. Po chwili namysłu pociągnęła jeszcze dwa łyki, po czym ostrożnie odstawiła puszkę na miejsce. Jakoś czuła, że tam będzie jej najlepiej.

Bardziej z poczucia obowiązku niż z potrzeby wyciągnęła telefon i sfotografowała piramidkę, łóżko i łazienkę. Domyślała się, że Klaudiusz co rusz zerka na komórkę i zмага się z chęcią zadzwonienia do matki, by sprawdzić, czy rzeczywiście weszła na pokład. By się nad nim nie znęcać, wysłała zdjęcia z krótkim podpisem: „Kabina robi wrażenie. Zaraz idę zobaczyć, jak prom wypływa z portu, a potem wybieram się do spa”. O ile rzeczywiście zamierzała wyjść na górę i zaczerpnąć świeżego powietrza, o tyle nie miała ochoty korzystać z masażu czy innych zabiegów kosmetycznych, nawet jeśli Klaudiusz je opłacił.

Syn odpisał, nim zdążyła schować telefon.

– *Baw się dobrze, mamo. Kocham Cię!* – Przeczytała na głos. – Też cię kocham, synku – odpowiedziała, jakby mógł ją usłyszeć. – Wybacz, jeśli wywinę kolejny numer.

Schowała telefon do kieszeni spodni, po czym wyszła na korytarz. Zmierzając w stronę windy, z trudem odganiała myśli, co Stasiu powiedziałby o wystroju kabiny, jak zareagowałby na widok miśka witającego pasażerów i czy skomentowałby wygląd gdyńskiego portu. Jak go znała, pewnie od razu poleciałby na górny pokład i nie opuszczał go przez większość rejsu.

– Dzień dobry – powiedziała do młodej dziewczyny nerwowo wciskającej przycisk przywołujący windę, jakby to w czymś mogło pomóc.

Nieznajoma gwałtownie cofnęła rękę, po czym odsunęła się i przywarła do ściany. Pochylona, ze ściągniętymi ramionami, wyglądała na przestraszoną. Wrażenie potęgował mocny, ciemny makijaż w stylu kocie oko. Lekko rozmazana kredka podkreślająca dolną powiekę mogła oznaczać, że dziewczyna przed chwilą płakała.

– Dziecko, spokojnie – dodała Wichrowska. – Wiem, że wyglądam jak stara wiedźma, ale ze sztuczek magicznych potrafię tylko sprawiać, żeby w praniu znikwały skarpety.

Zawsze moje, dodałby Stasiu. I to zawsze te najwygodniejsze!

Dziewczyna spuściła głowę. Respektując zalecenia syna, Celina powinna w milczeniu poczekać na windę i nie wtrącać się w nie swoje sprawy, ale wówczas musiałaby również zjadać sześć posiłków dziennie, pić dużo wody, unikać czerwonego mięsa, chodzić z tymi śmiesznymi kijkami i spotykać się z jeszcze śmieszniejszymi rówieśniczkami z klubu starych pierdół, jak zwykła nazywać lokalne kółko starszych pań wspólnie dziergających i dyskutujących o nudnych książkach.

– Wszystko w porządku? – zapytała, a nie doczekawszy się odpowiedzi, powoli wyciągnęła dłoń i położyła ją na ramieniu dziewczyny. Bardzo chudym ramieniu, jak zauważyła.

– Nie... – mruknęła nieznajoma, ale nie odsunęła się ani nie strąciła dłoni Wichrowskiej.

– Już się cofam, cofam – odparła Celina, po czym opuściła rękę. – Może lepiej usiądź sobie. Napijesz się czegoś?

Kończąc zdanie, zdała sobie sprawę, że brzmi jak własny syn, gdy odpala mu się nachalna troska. Nie potrafiła zliczyć, ile razy ją korciło, by odpowiedzieć, że nie lubi cholernej wody i że jak będzie chciała się napić, to podejdzie do lodówki i coś sobie z niej weźmie.

– Poproszę... – odparła nagle nieznajoma.

– Wody, tak? Już, chwila, zaraz ci coś przyniosę.

– Może być to. Nie brzydzę się. – Wyciągnęła drżącą dłoń w jej stronę. Celina odruchowo cofnęła się, choć wychudzona nieznajoma prędzej coś by sobie złamała, niż wyrządziłaby jej krzywdę. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co dziewczyna miała na myśli.

– Jakim cudem? – zapytała, ze zdumieniem patrząc na trzymaną w dłoni puszkę mirindy. Doskonale pamiętała, jak odstawiła ją na szczyt piramidy. Zrobiła nawet cholerne zdjęcie!

Dziewczyna coś odpowiedziała, ale Celina, skupiona na puszcze ze słodzonym napojem, nie usłyszała jej słów. Metal wydawał się równie chłodny jak kilka minut wcześniej, jeśli nie bardziej, co z oczywistych względów było niemożliwe.

– Przepraszam – odezwała się, podając dziewczynie puszkę. – Chyba pomału tracę rozum.

Pannica jak na chucherko miała zaskakująco dużo siły. Gdyby Celina nie upiła wcześniej kilku łyków, napój z pewnością wylałby się pod wpływem gwałtownego gestu, jakim nieznajoma wyrwała jej mirindę. Równie zaskakująca była łąpczywość, z jaką w kilka sekund opróżniła zawartość puszki, choć szczupła sylwetka sugerowała, że dziewczyna stroni od tego typu napojów.

– Rzeczywiście byłaś spragniona – stwierdziła Wichrowska, czując, że powinna coś powiedzieć, a nie bardzo wiedziała co.

– To przez tę głupią Samantę i jej gacha.

– Trzymali cię o suchym chlebie?

– Nie jem pieczywa.

Oczywiście, że nie jesz, zaśmiała się w myślach Celina. Nie wiedziała czemu, ale czuła dziwną sympatię do nieznajomej. Na co dzień raczej stroniła od młodzieży, zwłaszcza tej usilnie próbującej zwrócić na siebie uwagę strojem czy makijażem. Nie żeby wzorem spróchniałych koleżanek marudziła, że kiedyś było lepiej, że młodzi byli dobrze wychowani, mieli jakieś autorytety i ambicje, że słuchali porządnej muzyki, nie brali używek i szanowali swoje ciało – po prostu nie lubiła przypominać sobie, jak bardzo jest stara. To prawda, gdy była w wieku tego wieszaka na ubrania, stroniła od alkoholu i imprez, ale nie robiła tego z własnej woli. O alkohol było trudno, jedyne potańcówki odbywały się w miasteczku oddalonym o godzinę drogi, a wszyscy chłopcy w okolicy mieli w sobie tyle rozumu, co kamienie, którymi średnio raz w miesiącu obrzucali dom jej rodziców. Dopiero gdy poznała Stasia, zrozumiała, czym jest prawdziwe życie, ale to nie czas na wspominki.

– Może odwiozę cię na główny pokład, żeby obejrzał cię jakiś lekarz? – zaproponowała.

– Chyba mają tu personel medyczny?

– Już mi lepiej, dziękuję.

– No nie wiem, wyglądasz, jakbyś się miała zaraz przewrócić.

– To przez Samantę.

– I jej gacha, tyle już wiem. Co dokładnie ci zrobili? Podali ci coś? Jakies narkotyki?

– Antek, ten gach... W ogóle to śmieszne słowo – „gach”. – Dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając bielutkie ząbki, o jakich Celina mogła jedynie pomarzyć. Los obdarzył ją krzywym zgryzem, a zaniedbania w młodości skutkowały aż czterema ziejącymi otworami

w szczęście, przez które jedzenie krwistego steka stało się dość kłopotliwą przyjemnością. – No, Antek dodał grzybków do kanapek.

– Rozumiem, że nie mówisz o pieczarkach. A w ogóle to wspominałaś, że nie jesz pieczywa.

– To był bezglutenowy chleb.

– A sprawdzałaś, czy masz uczulenie na gluten?

Dziewczyna pokręciła głową. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że rzeczywiście czuła się już lepiej, ale Celinie bardziej wyglądało to na przejście do kolejnej fazy wywołanej grzybkami halucynogennymi. Nie miała dużego doświadczenia z substancjami odurzającymi – raz w życiu zapaliła skręta, lecz skończyło się to nieciekawie, więc zaniechała eksperymentów. Mocno poszerzyła swoją wiedzę teoretyczną, gdy Klaudiusz poszedł do liceum, ale okazało się to niepotrzebne, gdyż chłopak co najwyżej od czasu do czasu wracał, śmierząc piwem. Gdyby jednak przed laty zobaczyła go w takim stanie, nie pozwoliłaby mu zostać samemu, dlatego czuła się w obowiązku przypilnować dziewczyny. Nie daj Boże zasłabnie gdzieś albo trafi na zboczeńca, który zaciągnie ją do swojej kajuty.

– Gdzie ta cholerna winda? – zapytała, wciskając przycisk, choć dopiero co bawiło ją podobne zachowanie nieznajomej.

– Od kilku minut stoi na piątym piętrze, a druga ma chyba jakąś awarię.

– Skoro sobie nie radzą z dźwigiem osobowym, to nie wiem, czy powinni pływać po morzu.

Winda nagle ruszyła. Celina spodziewała się, że w związku z dłuższym postojem na piątym piętrze utworzyła się długa kolejka oczekujących, tymczasem kabina płynnie zjechała na jedenasty poziom.

– Chyba nas podsłuchują i boją się wystawienia negatywnej opinii – zażartowała, wchodząc do środka. – Chodź, wrócimy na główny pokład i się tobą zajmiemy.

– Nie chcę, już jest dobrze.

– No przecież cię tu nie zostawię.

– Pojadę na górę się przewietrzyć i pstryknąć kilka zdjęć, jak odpływamy.

– No to jedziemy w tę samą stronę. Wsiadaj, nie zatrzymujmy dłużej windy.

Dziewczyna wreszcie uległa. Nie żeby miała wybór – jeszcze chwila, a Celina siłą wepchnęłaby ją do kabiny – ale podjęcie racjonalnej decyzji świadczyło o tym, że faktycznie lepiej się czuła. Zważywszy na jej gabaryty, Wichrowska miała nadzieję, że tylko nadgryzła kanapkę z odurzającym dodatkiem, choć łąpczywe picie mirindy zdawało się temu przeczyć. Jeśli wszystko pochłaniała tak szybko i w takich ilościach, to albo miała doskonałą przemianę materii, albo po posiłku odwiedzała toaletę.

– W ogóle to Celina jestem – powiedziała, gdy drzwi się zamknęły. – Brudzia już nie wypijemy, ale dobrze się poznać.

– Laura.

– Śliczne imię. Nigdy nie poznałam żadnej Laury.

– A ja Celiny. Chyba że tę od Kazika.

Tym razem to Celina uśmiechnęła się szeroko. Gdyby oceniać po stanie uzębienia, można by odnieść wrażenie, że to Wichrowska cierpi na bulimię.

– Słuchasz Kultu? – zapytała, nie kryjąc zaskoczenia.

– Mój tato mnie zaraził.

– Fajnego masz tatę. Wolny?

– Nie żyje od dwóch lat.

– Oj, przepraszam. Głupio palnęłam.

W myślach była dla siebie bardziej surowa. Nie miała pojęcia, co też jej strzeliło do głowy, by wyskakiwać z takim tekstem. Dziewczyna dopiero co słaniała się na nogach, wbrew swojej woli została odurzona substancją halucynogenną, a ona wypytuje, czy jej rodzice nie wzięli przypadkiem rozwodu. Żenada.

– Żartowałam – parsknęła nagle Laura.

Wybuch śmiechu szybko przerodził się w atak kaszlu. Nastolatka jedną ręką chwyciła się za brzuch, drugą oparła się o ścianę, jednocześnie śmiejąc się i walcząc o oddech. Celina nie miała wątpliwości, że za tą reakcją stały zjedzone grzybki.

– Śmieszne – przyznała. – Wredne, ale śmieszne.

– Gdyby pani widziała swoją minę – odparła Laura, ocierając łzę z kącika oka. – Normalnie jakbym widziała siebie podczas odpowiedzi w szkole.

– Oszczędzaj się, dziecko, bo płuca wyplujesz.

– Kiedy to było takie zabawne. Myślałam, że się pani zapadnie pod ziemię i spotka tam mojego zmarłego ojca.

Śmiała się dalej, ignorując ataki kaszlu. Na szczęście winda dojechała na poziom restauracyjno-barowy, z którego można było wyjść na zewnątrz i podziwiać widoki. Celina wyszła pierwsza, gdy tylko rozsunęły się drzwi, jakby w obawie, że może zarazić się głupawką. Liczba ludzi na pokładzie przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Gdziekolwiek spojrzeć, kręcili się podróżni. Jedni wychodzili na zewnątrz, drudzy wracali. Co rusz ktoś zatrzymywał się przy zawieszanej na ścianie mapie z lokalizacją poszczególnych atrakcji na promie. Zajęte były wszystkie stoliki, próżno było szukać miejsca nawet przy jednoręcznych bandytach. Te automaty, zdaniem Celiny, powinny być zakazane, a tymczasem stała przy nich grupka chłopców zdecydowanie niewyglądających na pełnoletnich.

W takich warunkach trudno o relaks, na szczęście zdecydowaną większość pasażerów stanowiły rodziny z dziećmi, co dawało nadzieję, że za kilka godzin ta część pokładu mocno się wyludni. Ostatecznie skorzysta z wykupionego wstępu do strefy spa.

– W lewo czy w prawo? – zapytała, próbując oszacować, gdzie łatwiej będzie dopchać się do miejsca, z którego nawet taki krasnoludek, jak niegdyś nazywał ją Staś, będzie mógł cieszyć oczy widokiem na port.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zerknęła przez ramię. Zdążyła jedynie dostrzec zamykające się drzwi windy z Laurą w środku. Dziewczyna wciąż rechotała, jakby grzybki przejęły kontrolę nad jej umysłem. Nie to jednak było najdziwniejsze. Celina wątpiła, by przebywając z tą panną w ciasnym pomieszczeniu, mogła odurzyć się wydechany przez nią powietrzem, niemniej nie widziała innego wytłumaczenia dla faktu, że obok Laury zobaczyła potężnego mężczyznę ze świńską maską na twarzy.

Rozdział III

Antek przesadził. Na początku myślała, że chłopak się wygłupia, nikt przecież nie jest takim imbecylem, żeby wrzucać ludziom do kanapek halunki. Uwierzyła mu dopiero wtedy, gdy odpakował kolejną bułkę i pokazał jej, jak to określił, tajny dodatek szefa kuchni. Samanta już wtedy była mocno zrobiona. Leżała na ziemi z rozłożonymi rękoma, jakby chciała formować aniołka w śniegu. Laura domyślała się, że gdy tylko wyszła z pokoju, rozłożyła przed swoim gachem coś jeszcze.

Spuściła głowę. Ze wszystkich sił próbowała powstrzymać kolejny atak śmiechu, ale nie dała rady. Podobnie czuła się w drugiej klasie liceum, gdy za namową Antka zapaliła skręta na długiej przerwie. Początkowo nic nie czuła, wreszcie parsknęła na całą klasę, gdy polonistka łamaną francuszczyzną próbowała wymówić nazwę poezji epickiej *Chansons de geste*. Pomyśleć, że byli wtedy razem parą i zamierzała zaliczyć z nim swój pierwszy raz. Ależ była głupia.

Wspomnienia przynajmniej na chwilę odgoniły głupawkę. Czuła jednak, że skapituluje, jeśli jeszcze raz zobaczy gościa przebranego za świnię. Swoją drogą, maska była okropna, rodem z horrorów, w jakich cycate laski uciekają przed psycholem z siekierą. Sęk w tym, że ani on nie miał siekiery, ani ona cycków z prawdziwego zdarzenia, przez co scena z ich udziałem nie byłaby zbyt atrakcyjna.

– Przepraszam – wydusiła, powstrzymując kolejny atak śmiechu. – Po prostu wyobraziłam nas sobie jako bohaterów slashera. O co w ogóle chodzi z tą maską? Jest jakiś bal przebierańców?

Albo popaprańców, dodała w myślach, gdy nieznajomy nie odpowiedział. Tyle dobrego, że wreszcie zdołała opanować śmiech. W oczach tej starszej babki musiała wyglądać na naćpaną debilkę. Co też ją napadło, żeby pić z nią z jednej puszki? To prawie tak, jakby włożyła sobie do ust jej sztuczną szczękę. O-HY-DA!

Zjechała z powrotem na poziom jedenasty. Dobrze, że jazda się skończyła. Odkąd przestała się śmiać, nieznajomy zaczął budzić w niej niepokój. To pewnie kolejny efekt grzybków, ale zaczęła sobie wyobrażać, jak facet chwyta ją za szyję i unosi wysoko nad ziemię. Stojąc obok siebie, wyglądali komicznie. Ona malutka, szczupła, jakby jeszcze nie przeszła okresu dojrzewania, on przerośnięty, z ramionami gladiatora i łapskami niczym bochny chleba. Wystarczy, żeby chuchnął, a rozleciałaby się na kawałki. A nie, to wilk chuchał, a nie świnię...

Zaśmiała się pod nosem. Czuła kolejną nadchodzącą falę głupawki. Wytoczyła się z windy, żeby jeszcze bardziej się nie skompromitować. Między innymi z tego powodu uciekła Celinie, choć naprawdę miała ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza. Poza tym obawiała się, że kobieta nie odpuści i zaprowadzi ją do lekarza, ten wykryje u niej substancje psychoaktywne, a to z kolei skutkuje wywaleniem jej na ląd lub wezwaniem policji. Przez chwilę rozważała, czy po prostu nie uciec staruszce, ale nie była w stanie oszacować własnych sił.

Oby Antek już skończył zabawiać się z Samantą, pomyślała, człapiąc wzdłuż korytarza. Wydawał się znacznie dłuższy, niż pamiętała. Miała wrażenie, że idzie już od kilku minut, a jej kajuty jak nie było, tak nie ma. Numery zmieniały się powoli: 1144, 1142, 1140 – i tak w nieskończoność.

– Kurwa... – rzuciła, zatrzymując się w półkroku. W kieszeni odszukała kartę pokładową i odczytała widniejący na niej numer: 1180. No co za debilka, skrzyła w nieodpowiedni korytarz, a do tego zostawiła telefon w kajucie. Przypomniała sobie, jak Antek triumfował, pokazując grzybki. Przed oczami miała jego gębę wyszczerzoną w durnym uśmiechu. Na podłodze między łózkami leżała Samanta, której halunki zdążyły już namieszać w głowie. Co było potem? Czy od razu wyszła z kajuty i natknęła się na Celinę? Chyba nie, przecież grzybki nie działają tak szybko. Co robiła do tego czasu?

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną. Numery kajut rosły w tak samo wolnym tempie, w jakim poprzednio malały, a nawet jeszcze wolniej. Z każdym stawianym krokiem Laura odczuwała coraz większe zmęczenie, jakby zamiast na morzu znajdowała się u podnóża wysokiej góry, na którą od kilku godzin próbowała się wspiąć. Nie żeby miała w tej kwestii doświadczenie. Kiedyś w tym samym składzie pojechali do Zakopanego, ale nie zapuścili się dalej niż na Krupówki. Z wyjazdu pamiętała góralskie potańcówki, góralskie nalewki i chętnych do zabawy górali, którzy gotowi byli się o nią pobić.

Wycieńczona przyłożyła kartę pokładową do czytnika i napała na drzwi. Była tak zmęczona, że nie przeszkadzały jej widok nagiej Samanty i Antka tarzających się po podłodze. Po prostu przeszła obok i padła na łóżko. No, może najpierw wyjęłaby z walizki wodę, bo po tych grzybkach strasznie ją suszyło.

– Co jest... – jęknęła, odbiwszy się od zamkniętych drzwi.

Ponownie przeciągnęła kartę pokładową przez czytnik, ale zamek nie zareagował. Zdziwiona spojrzała na numer kabiny. 1180, wszystko się zgadzało. Nie mając siły, zapukała do drzwi, a gdy nikt nie zareagował, uderzyła w nie pięścią. Z ulgą przyjęła dochodzące ze środka dźwięki. Wątpiła, by dała radę uderzyć drugi raz. Prędzej osunęłaby się na podłogę i ucięła sobie krótką drzemkę.

– Tak? – usłyszała miękki, kobiecy głos, nienależący do Samanty.

Laura zmrużyła oczy. Nie miała pojęcia, kim jest stojąca przed nią blondynka ani co robi w jej kajucie. Wyglądała na co najmniej czterdzieści lat.

– Yyy... – Nie była w stanie wyartykułować nic więcej.

Zdziwienie Woźniak stało się jeszcze większe, gdy do nieznajomej dołączył chłopiec.

– Dzień dobry – powiedział.

Odurzenie odurzeniem, ale nawet w obecnym stanie potrafiła wyciągnąć oczywisty wniosek, że pomyliła kabiny. Chwilę wcześniej przeszło jej przez myśl, że blondynka jest pokojówką, która nie wyrobiła się ze sprzątaniami lub została wezwana przez Antka. Potem przysłała refleksja, że była zbyt ładnie ubrana.

– Przepraszam – wydukała. – Myślałam, że to mój pokój.

– Łatwo się pogubić w gąszczu kabin – odparła blondynka. Jej uśmiech i ton głosu emanowały wyrozumiałością, jakby wcześniej sama przez godzinę błąkała się po korytarzach.

Laura wychyliła się, by odczytać numer na drzwiach.

– Dziwne – odparła. – Byłam przekonana... – Spojrzała na trzymany w dłoni bilet pokładowy.

– Jaki masz numer?

Woźniak nie wierzyła własnym oczom, na karcie widniało 5222. Przecież dopiero co widziała numer kabiny, przed którą właśnie stała. Zdawała sobie sprawę z odurzenia, ale bez przesady. Na oczy jej jeszcze nie padło.

– Nieważne – wydukała. – Przepraszam.

Zażenowanie przywróciło jej energię. Chciała jak najszybciej zostawić za plecami nieznajomą, której twarz z pewnością nie wyrażała już wyrozumiałości. Pewnie widziała w niej naprętą nastolatkę, która sama się prosi o kłopoty. Co gorsza, niestety, miała sporo racji. Laura mogła sobie tłumaczyć, że to nie jej wina, że to cholerny Antek i jego cholerne grzybki, ale prawda była taka, że znała Antka. Przeżyli wiele wypadów, które tak naprawdę można by określić kilkudniowymi melanzami. Gdziekolwiek by pojechali, cokolwiek by planowali, zawsze kończyło się na grubym picciu i używkach. Zawsze też musiał wywinąć jakiś numer: a to pijany wszczął bójkę, a to rozebrał się do naga w centrum miasta, a to obsikał maskę radiowozu. Kiedyś przechwalał się, że wrzucił koledze do piwa pigułkę gwałtu, dlaczego więc tym razem miały zachować się inaczej.

Myśląc, jak odegrać się na nim, wróciła do windy i wcisnęła przycisk piątego piętra. Nie miała pojęcia, co wcześniej robiła na jedenastym poziomie, gdzie spotkała Celinę. Czas dzielący zjedzenie kanapki od rozmowy ze starszą babką zasnuwała mgła. Pamiętała tylko, że czuła się tragicznie, a na widok kobiety, która ostatecznie okazała się całkiem miłą, wystraszyła się i przyłgnęła do ściany. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby zamiast Celinę podszedł do niej facet w masce świni...

Winda stała wówczas na piątym piętrze, przypomniała sobie, wysiadając z kabiny. Przez chwilę miała nawet nadzieję, że być może Antek z Samantą przejęli się jej zniknięciem, ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że to przypadek. Na każdym poziomie znajdowało się kilkadziesiąt kajut, mnóstwo ludzi mogło przytrzymać windę.

Tym razem spojrzała na plakietkę z numerem kajuty i udała się do właściwego korytarza. Nie ufając własnym zmysłom, raz jeszcze sprawdziła kartę pokładową. Na szczęście wciąż widniał na niej numer 5222.

– Pięć, dwa, dwa, dwa – powtórzyła na głos, by niczego nie pomylić.

Nie wymyśliła żadnej zemsty na Antku. Nie wyrzuci przecież jego bielizny ani kosmetyków. Na chłopaku i tak nie zrobiłoby to większego wrażenia, bardziej poszkodowane byłyby dziewczyny, zmuszone dzielić kabinę ze śmierdzącym brudasem. Wbrew pozorom najbardziej zirytować go mogła obojętność. Zapewne oczekuje od niej pretensji, więc udawanie, że nic się nie stało, może nieźle namieszać mu w głowie.

Przeciagnęła kartą przez czytnik. Tym razem drzwi otworzyły się bez problemu. Żadnych niespodziewanych lokatorów, żadnych staruszek oferujących mirindę, żadnych typów w świńskich maskach.

– I żadnego zaskoczenia – dodała na głos, widząc Antka leżącego na łóżku i Samantę na podłodze. – Miałam nadzieję, że mnie szukaliście, ale zupełnie was to nie obeszło.

Smutne, że więcej troski i zainteresowania okazała jej obca kobieta niż ludzie, których czasem nazywała przyjaciółmi. Nigdy nie podejrzewała ich o heroizm czy przesadną empatię, ale miło byłoby, gdyby przynajmniej odnotowali jej zniknięcie.

– Nie uwierzcie, jaki numer odwaliłam – dodała, zamykając drzwi.

Wciąż żadnej reakcji. Oboje wyglądali, jakby zapadli w sen zimowy, a przecież Antek chciał balować przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Samanta wprawdzie nie składała tak ambitnych deklaracji, ale zazwyczaj chodziła za swoim gachem jak cień. Najpierw na wagary i imprezy, później na prywatne studia i imprezy, egzaminy warunkowe i imprezy, aż wreszcie oboje zostali wyrzuceni z uczelni – co było niełatwym zadaniem – dzięki czemu mieli jeszcze więcej czasu na imprezy. Sęk w tym, że w przeciwieństwie do Samanty Antek miał bogatych rodziców, którzy zaspokajali jego kolejne zachcianki, podczas gdy ona po nieudanej przygodzie ze studiami nie mogła liczyć na dalsze wsparcie finansowe. Mieszkała z rodziną pod jednym dachem, żywiła się na ich koszt i musiała podjąć pracę. Obiecała rodzicom, a przede wszystkim samej sobie, że to tylko etap, że praca w salonie kosmetycznym nie jest szczytem jej ambicji, że zaoszczędzi na studia i podejmie drugą próbę. Przez dwa miesiące nawet nieźle sobie radziła, ale potem Antek wyskoczył z propozycją wspólnego rejsu i oszczędności diabli wzięli.

– Strach pomyśleć, że mogłam być na twoim miejscu – stwierdziła Laura, stając nad przyjaciółką. – Pieprzony palant nawet nie podniósł cię z podłogi. Co ty w nim widzisz, dziewczyno?

Przyglądając jej się z bliska, zdała sobie sprawę, że Samanta jest nienaturalnie blada, a przecież nigdy nie miała jasnej cery. Latem opalała się na balkonie, zimą korzystała z solarium lub samoopalaczy, a najczęściej z jednego i drugiego. Laura ostrzegała, że za kilka lat jej skóra będzie przypominała pomarszczoną pomarańczę, ale dziewczyna się tym nie przejmowała. Antek przecież lubił Latynoski.

– Ej. – Szturchnęła koleżankę. – Samanta, pobudka.

Nie doczekawszy się reakcji, spojrzała na Antka. Chłopak też wydawał się blady, jakby obojgu doskwierała choroba morska.

– No bez jaj – westchnęła. – Mam nadzieję, że po prostu mocno odlecieliście.

Przykucnęła przy Samancie i dotknęła jej twarzy. Była nieprzyjemnie sucha i chłodna. Laura nigdy nie przykładła wagi do nauki udzielania pierwszej pomocy – przecież nie będzie robić usta-usta jakiemuś capiącemu starcowi, który zasnął na ulicy – kojarzyła jednak, żeby przed wezwaniem pomocy sprawdzić nieprzytomnej osobie puls. Później było coś o prawidłowej pozycji, ale tego już niestety nie pamiętała.

Wymacała tętnicę, gdy jej uwagę zwróciły czerwone ślady na szyi dziewczyny. W pierwszej chwili pomyślała, że to reakcja alergiczna, Samanta już wiele razy miewała różne wysypki, ale żadne uczulenie nie powodowało takich otarć na skórze i sińców.

– Jasna cholera – przeklęła.

Odruchowo pomasaowała swoją szyję, choć zdawała sobie sprawę, że samo zjedzenie grzybków nie mogło wywołać takich objawów. Ktoś ją udusił. Oczywistym kandydatem wydawał się leżący na łóżku chłopak. Odurzeni pokłócili się, ona powiedziała o kilka słów za dużo, on, nieświadomy swojej siły, chwycił ją za gardło. W przeszłości wielokrotnie się sprzeczali. Antek wprawdzie nigdy jej nie uderzył, ale Laura sama się przekonała, jak grzybki potrafią namieszać w głowie.

– Coś ty zrobił? – spytała, stając nad byłym partnerem.

Nie czuła strachu ani obrzydzenia, choć dotąd zwłoki widziała jedynie na filmach. Może to szok, może otepienie albo zwykłe zmęczenie, ale ani myślała krzyczeć czy wzywać pomocy. Spokojnie, niczym studentka studiów medycznych, na które nigdy nie miała szansy się dostać, przyjrzała się Antkowi. Na jego szyi też dostrzegła podobne ślady, co wykluczało wcześniejszą teorię.

Pora zacząć się bać, pomyślała, ale zamiast wybiec z kajuty, spokojnie podeszła do drzwi. Musiała zacząć myśleć racjonalnie. Niemożliwe, by ktoś tu wtargnął i tak po prostu udusił dwójkę jej przyjaciół, to przecież rejs dla rodzin. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że wciąż odczuwała wpływ substancji psychoaktywnych zawartych w grzybkach. Dopiero co błąkała się po nieodpowiednim poziomie, przekonana, że na karcie pokładowej widnieje zupełnie inny numer. Równie dobrze wszystko, co zobaczyła, mogło być kolejną schizą podrzuconą przez odurzony umysł. Samanta z Antkiem pewnie urznęli się w trupa i zwyczajnie posnęli. Jej też najlepiej zrobiłaby drzemka.

Zmęczona położyła się obok byłego chłopaka i podkuliła kolana. Samanta się wścieknie, jak ich zobaczy w tej pozycji. Może więc lepiej, że ktoś ją udusił? Laura uśmiechnęła się do własnych myśli, po czym zapadła w głęboki sen.

Rozdział IV

– Widzę, że odnalazł pan rodzinę. – Czyjś głos wyrwał go z zamyślenia.

Sebastian spojrział na życzliwie uśmiechniętego pracownika prowadzącego odprawę biletowo-paszportową. Był starszy niż większość personelu na tego typu stanowiskach, Możdzeń pomyślał, że pewnie trafił tu w ramach programu przebranżowienia bezrobotnych osób po czterdziestce.

– Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem – odparł, lekko skonfundowany.

Mężczyzna o imieniu Artur – takie imię widniało na przyczepionej do koszuli plakietce – potarł palcami gładko ogolony policzek, jakby nad czymś się zastanawiał. Miał przekrwione oczy, jak przy zapaleniu spojówek. Pewnie niedawno zaczął pracę i jego wzrok jeszcze nie przyzwyczyił się do ciągłego siedzenia przed monitorem.

– To ja przepraszam – odpowiedział pracownik linii rejsowych, wciąż uśmiechnięty. – Widocznie coś mi się pomyliło. Państwo Możdzeń, zgadza się?

– Tak jest. Na doczepkę jest jeszcze teściowa, Alina Bijak. – Sebastian podał mężczyźnie komplet paszportów i potwierdzenie rezerwacji. Już nie mógł się doczekać wejścia na prom. Od razu po zostawieniu bagażu uda się na górny pokład, by zrobić kilka zdjęć i wysłać kolegom z pracy. Później trochę pobawi się z dziećmi, a wieczór spędzi w towarzystwie Doroty. To będzie długa, niezapomniana noc, w końcu obchodzili dziś piętnastą rocznicę ślubu.

– Wszystko się zgadza. – Pracownik odprawy oddał dokumenty, po czym podał Możdzeniowi trzy karty pokładowe. – Z bagażami proszę przejść do sąsiedniego pomieszczenia, skąd można już wejść na pokład promu MF „Baltica”. Życzę państwu udanej zabawy.

– Dzięki.

Nie spodziewał się tak sprawnej obsługi. Najwyraźniej źle ocenił mężczyznę. Jednak wiek i doświadczenie robią swoje. Tak trzymać, niech młodzi uczą się od nich profesjonalizmu.

Objął Dorotę i uśmiechnął się do następnego mężczyzny w kolejce. Zdawał sobie sprawę, że to zasługa dobrego nastawienia, ale wszyscy wokół wydawali mu się bardzo sympatyczni.

– Gotowa na całonocne szaleństwo? – zapytał, niby przypadkiem zsuwając dłoń na pośladek żony. Pod palcami poczuł, jak kobieta lekko się wypina.

– Jeśli pytasz o seks na pełnym morzu, to jestem otwarta na propozycje.

Z chęcią trochę by poświntuszył, ale obecność dzieci zmusiła go do odłożenia tego w czasie. Poza tym, zamiast teoretyzować, lepiej będzie skupić się na praktyce.

– Kto ostatni w kajucie, ten gapa! – zawołał, po czym wcisnął Dorocie do rąk karty pokładowe reszty rodziny, a sam złapał za dwie walizki i ruszył biegiem w stronę przejścia.

Na reakcję Karolinki nie musiał czekać. Dziewięciolatka wyrwała za nim niczym rasowa sprinterka na strzał pistoletu startowego. Zdecydowanie dłużej wahał się starszy o rok Paweł, ale przynajmniej nie przewracał oczami ani nie rzucił tekstem w stylu: „Oj, tato, no weź”. Entuzjazmem zbliżonym do najmłodszej członkini rodziny wykazała się też najstarsza. Aliny nigdy nie trzeba było przekonywać do wygłupów. Co prawda wiek i kłopoty z biodrem mocno ograniczały jej ruchy, ale nadrabiała energią i wyprzedziła Dorotę o ładnych kilka metrów.

– Będziemy mogli wybrać sobie łóżka – zaśmiał się Moździeń, gdy dogoniła go córka.

– Ja chcę przy oknie – odparła dziewczynka. – Chcę oglądać fale.

– Możemy mieć z tym mały problem. W naszej kabinie nie ma okien.

– Co?!

Dziewczynka zatrzymała się tuż przed schodami. Mało brakowało, a depcząca im po piętach Alina staranowałaby ją, na szczęście w porę odbiła w bok i popędziła na górę.

– Babcia zajmie najlepsze miejsce – ponaglił córkę Sebastian.

– Jak ją poproszę, to mi odda – odparła rezolutna dziewięciolatka. – Powiedz mi lepiej, co to ma znaczyć, że nie będziemy mieli okna? Jak można na statku nie mieć okna? To tak, jakby w szkole nie było tablicy albo sali gimnastycznej.

– Większość trasy i tak przepłyniemy po ciemku, a z samego rana opuścimy prom i pojedziemy do parku rozrywki. Nie widziałem sensu, by płacić za tę atrakcję więcej, skoro i tak byśmy z niej nie skorzystali.

Spojrzał błagalnie na mijającą ich Dorotę, za którą niespiesznie podążał Paweł, ona jednak ostentacyjnie odwróciła wzrok. Też chciała podróżować w lepszych warunkach, ale w końcu dała się przekonać, że zaoszczędzone na biletach pieniądze można wydać w barze.

– A możemy jeszcze to zmienić, tatusiu? – dopytywała dziewięciolatka, przybierając minę smutnego kotka, któremu nie sposób odmówić.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Zresztą po zmroku i tak nie będzie nic widać. Do tego czasu możemy wspólnie podziwiać widoki na górnym pokładzie.

– Obiecujesz?

Policzył na szybko. Minęła dziewiętnasta, w czerwcu słońce zachodzi po dwudziestej pierwszej, co oznacza niecałe dwie godziny na zewnątrz, o ile dziewczynka wcześniej się nie znudzi i nie zechce sprawdzić innych atrakcji dostępnych na statku.

– Słowo tatusia – odparł. – To co, ścigamy resztę?

W odpowiedzi ruszyła biegiem po schodach. Już po kilkunastu sekundach minęli razem powoli człapiącego Pawła, Alina jednak zdawała się być poza ich zasięgiem. Ścigając się z wnukami, nie złapała nawet zadyszki. Podsunęło to Sebastianowi myśl, by podczas następnych większych zakupów nie brać na siebie roli tragarza, tylko wziąć ze sobą dzieci i zarządzić konkurs, kto zanieś więcej siatek do samochodu.

– Tato, zobacz! – krzyknęła podekscytowana Karolina.

Ich oczom ukazał się ogromny, niemal dwumetrowy miś witający gości. Dziewczynka natychmiast zapomniała o wyścigu. Z fascynacją podbiegła do puchatego niedźwiedzia i pacnęła go otwartą dłonią w brzuch.

– Aargh! – zawarczał zwierz.

Jeśli chciał w ten sposób przestraszyć dziewięciolatkę, to mógł się zdziwić. Karolina zaczęła już białego misia na Krupówkach, Kubusia Puchatka w lunaparku i przerośniętą pandę w zoo. Ciekaw reakcji córki, Moźdzeń podał karty pokładowe uśmiechniętej dziewczynie witającej pasażerów.

– Kajuta 1180, poziom jedenasty. Witamy na MF „Baltica” – powiedziała sympatyczna blondynka, po czym przeskoczyła wzrokiem na Dorotę.

– Dziękuję – odparł Sebastian. – Proszę wybaczyć głupie pytanie, ale jak nazywa się pani stanowisko? W samolotach są stewardesy, a na statku?

– Również. Stewardzi i stewardesy pracują na statkach wodnych i powietrznych.

– Serio? A to mnie pani rozczarowała. Myślałem, że wymyślili dla was jakieś fajniejsze określenia. Ale w sumie może to i dobrze. Skoro na łajbach pracują majtkowie, to jak nazwać ich damskie odpowiedniki?

Spojrzenie żony uświadomiło mu, że pozwolił sobie na zbyt dużo. Dobry humor dobrym humorem, ale najwyraźniej wyszedł na rubasznego wujaszka.

– Dziękujemy – powiedziała Dorota, po czym wzięła karty pokładowe i pociągnęła Sebastiana do przodu. – Majtki ci w głowie? – zaśmiała się ściszym głosem.

– Nie zaprzeczam.

– Szkoda, bo nie zamierzałam ich wkładać.

Sebastian nie potrafił powstrzymać uśmiechu, wolał jednak odgonić kosmate myśli, by krew nie dopłynęła mu w miejsce, którego w tej chwili nie chciał eksponować. Najłatwiejszym lekarstwem na zmniejszenie libido były dzieci, toteż odwrócił się, by spojrzeć na Karolinę i Pawła. Ta pierwsza zgodnie z oczekiwaniami dalej pacała miśka po brzuchu, za to jej starszy o rok brat ich zaskoczył.

– Patrz – powiedział, nie odrywając wzroku od Pawła, który usadowił się za siostrą, chwycił ją za biodra i próbował podsadzić wyżej. – Chyba chce, żeby Karolinka mogła walnąć misia w twarz.

– Słodkie.

– Nie dla misia.

– Grunt, że się dogadują.

– To magia promu. Tu dziesięciolatkowie udający dorosłych dają się ponieść zabawie, a ze statecznych mężczyzn wychodzą bestie.

– Panie stateczny – zaśmiała się Dorota. – Bierz pan swoje dzieciaki, bo zaraz nas stąd wyrzucą.

Myślał przez chwilę, że to mogłoby być nawet śmieszne, gdyby wyproszono ich z promu, a Alina nie miałaby o tym pojęcia. Ciekawe, jaką miałaby minę, dowiedziawszy się, że została sama na pokładzie. To jednak pokrzyżowałoby plany Sebastiana, toteż głośno klasnął w dłonie i zakrzyknął:

– Grzecznie mi tu, szczury lądowe, bo rzucę was rybom na pożarcie! – Poczł na sobie wzrok pasażerów, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Niech sobie patrzają, niech zazdroszczą wspaniałej rodziny. – Raz, raz! – dodał. – Zmiana zasad wyścigu: kto ostatni w pokoju, ten na kolację zje same warzywa!

Trudno o większą karę, stwierdził, obserwując, jak Karolinka ściga się z Pawłem. Chłopiec jednak specjalnie zwalniał, by dać siostrze szansę. Był od niej wyższy, miał dłuższe nogi i gdyby tylko chciał, mógłby błyskawicznie ją zdystansować. Większość starszych braci wykorzystałaby przewagę, ba!, pewnie jeszcze na starcie przewróciłaby słabszą siostrę, żeby dodatkowo ją pogiębić, ale Paweł wobec Karoliny od zawsze zachowywał się wzorowo. Choć dzieliło ich tylko kilkanaście miesięcy, to patrząc na tę dwójkę, można by odnieść wrażenie, że różnica sięga nawet trzech lat. Paweł uczył siostrę liczyć i czytać, przekonywał, że w szkole jest bardzo fajnie, nakleił jej plaster, gdy się przewróciła i otarła kolano.

Wszystko to podobało się Sebastianowi i ułatwiało opiekę nad dziećmi, za to nie do końca był przekonany do ich wspólnych zabaw, gdy zamknięci w pokoju piekli wyimaginowane ciasteczka i urządzali przyjęcia dla lalek. Z jednej strony było to urocze, z drugiej wolał, by dziesięciolatek próbował nakłaniać siostrę do gry w piłkę, strzelania z pistoletów czy zabawy samochodami. Gdy zwracał na to uwagę Dorocie, zarzucała mu zaściankowe myślenie, nic jednak nie mógł poradzić na to, że nie podobała mu się cała ta ideologia gender. Chłopiec powinien bawić się żołnierzami, wchodzić na drzewa i pluć na odległość, inaczej wyrośnie z niego ciapa.

– Paweł! – zawołał. – Patrz na to, jestem wielkim, wściekłym piesozaurom, któremu musisz rzucić na pożarcie siostrę!

Podniósł ręce i przybrał pozę groźnego potwora. Chłopiec aż palił się do zabawy. Wcielanie się w dinopsa lub piesozaura – Sebastian nigdy nie mógł zapamiętać poprawnej nazwy – ostatnimi czasy było jedyną formą bardziej chłopięcych zabaw, pełnych wygłupów i szaleństwa.

– Aaa! – pisnęła radośnie Karolinka.

– Zjem was! – warknął Mozdzeń. – Uciekajcie!

Jak na obrońcę siostry przystało, Paweł nie uciekł w popłochu, tylko stawiał czoło oponentowi. Stał na szeroko rozstawionych nogach, gotowy do przyjęcia ataku. Oczy aż

lśniły mu z podniecenia przed potyczką. Sebastian już miał się na niego rzucić, gdy zupełnie niepotrzebnie do zabawy wtrąciła się Dorota. Z sobie tylko znanego powodu doskoczyła do syna, przykucnęła przy nim i mocno go przytuliła.

– Tata żartował – powiedziała przejętym głosem. Gładziła chłopca po włosach, jakby ten miał dwa latka i właśnie się przestraszył głośnego hałasu. – Już wszystko dobrze.

– Co ty? – spytał Sebastian, zdezorientowany zachowaniem żony.

– Co ja?! Serio?

– No, nie rozumiem. O ci chodzi? Bawiliśmy się w najlepsze.

– Bawiliście? – Odchyliła się, odsłaniając twarz Pawła.

Syn płakał. Przyglądając się czerwonym oczom chłopca i łzom spływającym po policzkach, Moźdzeń nie rozumiał, skąd taka reakcja. Przecież przed chwilą bawili się w najlepsze. Udawanie dinopsa zawsze poprawiało Pawłowi humor. Nawet gdy był nabzdyczony i udawał nastolatka.

– Chodź – dodała, ocierając Pawłowi łzy. – Babcia już na nas czeka.

Alina wyrosła nagle jak spod ziemi. Ona też obrzuciła Sebastiana groźnym spojrzeniem, jakby co najmniej spoliczkował syna. Tylko Karolina zachowywała się względnie normalnie. Wprawdzie ona też posmutniała, ale przynajmniej nie traktowała ojca jak czarnego charakteru, który celowo rujnuje rodzinny wypad.

– Ogłupiałeś? – syknęła Dorota, gdy Paweł wtulił się w babcine ramiona.

– Nie rozumiem – odparł. – Przecież zawsze uwielbiał tę zabawę.

Dorota skrzywiła się, jakby powiedział coś idiotycznego.

– Piłeś coś? – spytała. – Przecież dobrze wiesz, że tego nienawidzi.

– Zaraz będę musiał się napić, bo zachowujecie się, jakbym nie wiem co zrobił. Czego niby nienawidzi? O czym ty mówisz? Przecież wczoraj bawiliśmy się w najlepsze.

– Nie rozumiem cię. To jakiś głupi żart?

– To ja nie rozumiem ciebie ani twojej matki. Wczoraj po południu ganialiśmy się po całym mieszkaniu. Najpierw ja byłem dinopsem, a Paweł uciekał, później zamieniliśmy się rolami. Chcieliśmy nawet wybiec do ogródka, ale kropił deszcz, więc zostaliśmy w środku i tarzaliśmy się na dywanie.

– Wczoraj?

– Wczoraj, wczoraj. Nie wiem, co wam odbiło, ale robicie z Pawła mięką bułą.

W oczach Doroty pojawiły się łzy. Nie chciał doprowadzać jej do takiego stanu, zwłaszcza dzisiaj, w rocznicę ślubu. Może była przewrażliwiona na punkcie dzieci, może przesadzała z nadopiekuńczością, ale robiła to z miłości.

– Naprawdę chcesz teraz poruszać ten temat? – zapytała. – Pawełek jest, jaki jest, nie zmienisz tego na siłę. Zaakceptuj to wreszcie.

– Kiedy ja nic nie chcę zmieniać. To ty wtrąciłaś się do naszej zabawy.

– Bo się rozpłakał! Na Boga, Sebastian, co cię ugryzło? Przecież dopiero co przestał bać się dinozaurów. Znowu chcesz przez to wszystko przechodzić? Mało ci wizyt u terapeuty?

– Terapeuty? Chodziłaś z nim do terapeuty?

Powiedzieć, że Dorota się zdenerwowała, to jakby nazwać prom, na którym się znajdowali, małą łódką. Sebastian nigdy wcześniej nie widział żony w takim stanie. Owszem, od czasu do czasu kłócili się, zdarzały się krzyki i pretensje, ale teraz dostrzegł na jej twarzy coś więcej. Nie był w stanie nazwać tego, co widzi. Z pewnością była tam wściekłość, lecz także zmęczenie, smutek, a nawet pogarda.

– Nie wiem, w co grasz, ale nie mam na to siły – oznajmiła sucho.

– To samo mogę powiedzieć o tobie. Nie wiedziałem o żadnym terapeutę. Nie kojarzę, żeby Paweł bał się dinozaurów. W ogóle nie mam pojęcia, o czym ty do mnie mówisz.

– Wybrałaś kiepski moment. Wiem, że byłeś przeciwnikiem terapii, podkreślałeś to wiele razy, ale nasz syn naprawdę jej potrzebował. Myślałam, że to zrozumiałeś, że wreszcie zacząłeś myśleć racjonalnie. Widać byłam w błędzie.

– Ile razy mam jeszcze powtarzać, że nie wiedziałem o żadnej cholernej terapii.

– Wygodnie. Bardzo wygodnie. Może nie wiedziałeś też o moczeniu się w łóżku? O tym, jak Paweł przez dwa miesiące nie wypowiedział ani jednego słowa? O tym, jak przenieśliśmy go do innej szkoły, bo dzieciaki celowo go straszły?

– Co ty bredzisz? Przecież Paweł uwielbia swoją szkołę. Może ostatnio rzeczywiście mówi mniej, ale to nic dziwnego, niedługo będzie nastolatkiem. Przecież dopiero co oboje się z tego śmialiśmy.

– Nie będę w ten sposób rozmawiać. Straciłam ochotę na rejs. W ogóle straciłam ochotę na cokolwiek.

Odwróciła się i dołączyła do Aliny z dziećmi. W pierwszej chwili chciał ją zatrzymać, ale uznał, że to tylko pogorszyłoby sytuację. Nie ulegało wątpliwości, że któreś z nich konfabulowało. Ufał swojej pamięci, do tej pory go nie zawodziła, ale żony też nie podejrzewałby o wymyślanie tak absurdalnych rzeczy. Jeśli jednak musiałyby wskazać winnego, byłaby to ona.

Próbując przypomnieć sobie choćby jeden fakt z przywołanych przez żonę, obserwował zachowanie Pawła. Rzeczywiście wyglądał na roztrzęsionego. Gdy tylko Dorota podeszła, wtulił się w mamine nogi i przywarł do nich z całej siły. Sebastian nie wierzył własnym oczom. Mógłby przysiąc, że dopiero co widział jego entuzjastyczną reakcję na zabawę w udawanie potworów, ale równie dobrze „świecenie się” oczu mogło być spowodowane napływającymi łzami.

W kilka minut z ukochanego męża i ojca przeistoczył się w tyrana znęcającego się nad dzieckiem. Czuł, że powinien coś zrobić, podejść do rodziny, przytulić syna, przeprosić i spróbować wszystko naprawić, ale nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Pamiętał wczorajszą zabawę. Nikt mu nie wmówi, że nie miała miejsca. Paweł nie bał się dinozaurów, udawał je, warczał, krzyczał i atakował. Ktoś taki nie moczy się w nocy, nie ma kłopotów w szkole i nie korzysta z pomocy psychoterapeutów.

Dorota nawet na niego nie spojrzała. Odwrócona plecami zaprowadziła dzieci i matkę do windy. Alina za to nie powstrzymała się od rzucenia zięciowi kolejnego wrogiego spojrzenia. Cholerna hipokrytka. Sama przecież też niejednokrotnie udawała różne potwory i jakoś wtedy nikomu to nie przeszkadzało. Ciekawe, jak będzie śpiewać, kiedy kran jej się zepsuje lub przepali się żarówka.

– Coś do picia? – Z namysłu wyrwał go młody chłopak wyciągający w jego stronę puszkę z napojem.

– Nie – odparł zdecydowanie. – Nie pijam tego świństwa. – Obrzucił dzieciaka wzrokiem. Miał ochotę zbesztać go za zawracanie głowy. Wiedział, że on nie jest niczemu winien, że ubrali go w pomarańczowy garnitur i kazali wciskać ludziom słodzony syf, ale miał ogromną pokusę wyżyć się na kimś, a młokos sam się napatoczył.

– Którędy do baru? – warknął, manifestując niezadowolenie.

Chłopak uśmiechnął się, jakby tylko czekał na to pytanie.

– Minie pan windy, pójdzie dalej prosto i trafi pan do strefy restauracyjno-barowej.

– Dzięki.

– Może jednak skusi się pan na napój?

– Za darmo?

– Wiadomo.

– To wezmę. Najwyżej oddam dzieciakom.

Odbierając puszkę, poczuł dziwną ochotę, by posmakować napoju. Chłopak musiał przed chwilą wyjąć go z lodówki, bo był przyjemnie chłodny. Gdyby nie jego obecność, otworzyłby puszkę na miejscu i wypił duszkiem, ale przecież dopiero co zarzekał się, że nie pija słodzonego świństwa. A może jednak pija? Może o tym też zapomniał? Puszka wydawała się dziwnie znajoma, jakby często gościła na jego stole. Może Dorota kupowała to młodym? Wątpliwe, ona też przykłada wagę do zdrowego odżywiania: namiętnie czyta etykiety na produktach, śledzi kilka grup w mediach społecznościowych, gdzie ludzie wymieniają się opiniami, ma hopla na punkcie unikania utwardzonego oleju palmowego i glutaminianu sodu, potrafi nawet napisać do producenta, że ten niesłusznie nazywa swoje produkty ekologicznymi. Nie jest w tym jednak konsekwentna i od czasu do czasu na stole pojawia się coca-cola, ale czy także mirinda?

Nie szukaj tematów zastępczych, zganił się w myślach, mijając windy. Miał teraz poważniejszy problem do rozstrzygnięcia. Czekala go ciężka przeprawa z Dorotą i musiał odpowiednio się do niej przygotować. Nie wiedział jak, przecież nie da sobie wmówić, że jego dziecko ma problemy psychiczne i nie radzi sobie w życiu. Nie przemilczy też incydentu, padło zbyt wiele gorzkich słów, by teraz udawać, że nic się nie stało. To nie była zwykła sprzeczka, po której wystarczy kupić kwiaty i bilety do kina. W tej chwili jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydawało się odczekać kilkanaście bądź kilkadziesiąt minut i pozwolić emocjom nieco ostygnąć. Później zgrabnie ominie temat terapii, moczenia się i rzekomej fobii, skupi się na tym, że oboje ich poniosło, najważniejsze jest

dobro rodziny, muszą się wspierać, wiele już przeszli i jeszcze więcej przejdą. Im więcej dobrze brzmiących frazesów, tym lepiej, byle tylko odejść od głównego tematu. Dorota jest inteligentna, na pewno zdaje sobie sprawę, że to miejsce nie jest odpowiednie do kontynuowania sprzeczki, że lepiej poświęcić się dla dobra rodziny i do sprawy wrócić po powrocie. Gorzej będzie z Aliną. Ona tak łatwo nie odpuści. Pewnie właśnie podburza córkę, ale kto by się nią przejmował?

Pozostaje jeszcze kwestia Pawła, którego Dorota usilnie nazywa Pawełkiem. Syn rzeczywiście wyglądał na roztrzęsionego. Kiedyś humor poprawiało mu kilka odcinków animowanych przygód Avengersów lub zabawa w dinopsa. To drugie odpada, ale...

Obrócił się na pięcie. Szybkim krokiem wrócił do dzieciaka rozdającego napoje. Czuł do siebie lekki wstręt na wspomnienie, że chwilę wcześniej rozważał opcję zamówienia sobie drinka.

– Macie tu jakąś salę kinową, co nie? – zapytał.

– Salą kinową bym tego nie nazwał – zaśmiał się chłopak. – Ale owszem, w części dla najmłodszych jest sekcja filmowa z rzutnikiem całkiem dobrej jakości.

– A mają tam coś o Avengersach?

– Ale że w wersji dla dzieci?

Możdzeń uśmiechnął się pod nosem. Od wielu lat obracał się w kręgu rodziców z małymi dziećmi, toteż wydawało mu się, że wszyscy znają obecne trendy panujące wśród młodszej młodzieży.

– Są nawet wersje dla kilkulatków.

– To trzeba by dopytać na miejscu. Oferta jest naprawdę duża.

– A jak tam trafię?

– Tak jak do baru, ale za windami musi pan odbić w prawo. Wszystko jest ładnie oznakowane. Trafi pan bez problemu.

– Raz jeszcze dziękuję.

– Spoko. Może chce pan na drogę napój?

Już miał doradzić młodzieńcowi, by skorzystał z konsultacji okulistycznej, bo przecież Sebastian wciąż trzymał w dłoni pełną puszkę, gdy zdał sobie sprawę, że to on powinien umówić się na wizytę u specjalisty. I to w trybie pilnym.

– Co, do diabła? – mruknął, podnosząc dłoń. Puszka była pusta.

– Czasem można sobie pozwolić na odrobinę przyjemności. Proszę, pan weźmie jeszcze jedną. Dla dzieci, oczywiście. – Chłopak mrugnął porozumiewawczo.

Możdzeniowi wcale nie było do śmiechu. Niczego przecież nie wypił. Przez chwilę miał ochotę, ale nawet nie otworzył tej puszkę!

A może jednak otworzył? Był tak pochłonięty myślami o żonie i synu, że machinalnie wypił napój. Wątpliwe, by tego nie pamiętał, ale przecież dopiero co Dorota przypominała mu o wielu poważniejszych kwestiach, które najwyraźniej też wymazał z pamięci. Co się z nim dzieje?

Bez słowa ruszył w stronę sali kinowej. Jeśli choć połowa z rewelacji żony była prawdą, to powinien czym prędzej przeprosić Pawła i przynajmniej odrobinę poprawić mu humor. Wspólne oglądanie *Spider-Mana* czy podobnego filmu nadawało się do tego idealnie. Później pójść na lody lub ciasto – albo i lody, i ciasto – pogadają, pośmieją się i wszystko wróci do względniego porządku. Po powrocie przyjdzie czas na głębszą analizę.

Zgodnie ze wskazówkami minął windy i skręcił korytarzem w prawo. Wymalowane na ścianach postaci z animacji Disneya nie pozostawiały wątpliwości, dla kogo przeznaczona jest ta strefa. Uwagę Sebastiana zwróciła postać blondwłosej dziewczynki z bajki *Kraina lodu*, która swego czasu wywołała prawdziwą burzę w mieszkaniu Możdzeniów. Mocno przereklamowana historia, pełna piosenek, spodobała się Pawłowi, ale Karolinka mniej więcej po półgodzinie oglądania stwierdziła, że takiej nudy jeszcze nie widziała, i zażądała oryginalnej wersji *Króla Lwa*. Na nic zdały się tłumaczenia, by dała jej szansę, że może się jeszcze rozkręci, że Pawłowi się podoba. Karolinka, jak nie ona, rozplakała się, pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami, a Paweł, jak to Paweł, choć wcześniej wyglądał na zainteresowanego, to stwierdził, że szkoda czasu na takie nudy, a humor wszystkim poprawiłby *Król Lew*.

Możdzeń odnalazł salę kinową. Pomieszczenie rzeczywiście nie wyglądało imponująco, ale w końcu znajdowali się na statku, więc nie oczekiwał wysokich standardów. W tej chwili jakość obrazu czy wygodne fotele traciły na znaczeniu. Liczył się tylko wspólnie spędzony czas.

– Dzień dobry! – zawołał, bardziej by usprawiedliwić swoje wejście bez zaproszenia niż w nadziei, że kogoś tu spotka.

Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Na samą myśl o spędzeniu godziny na wypełnionym groszkami worku, buńczucznie nazywanym pufem, rozboleły go plecy. Skojarzenie z bólem kręgosłupa od razu przypomniało mu, jak siedział z kilkumiesięcznym Pawłem na rękach, bezskutecznie próbując ululać go do snu. Nie pomagało śpiewanie, głaskanie, gwizdanie ani kołysanie. Wystarczyło jednak, by malucha przejęła mama, a w mig grzecznie zamykał oczka i zapadał w sen.

Z Karoliną zawsze było łatwiej, pomyślał, podchodząc do umieszczonego z boku kontuaru. Oprócz zestawu flamastrów znajdowały się tam dwie puste saszetki po cukrze, plastikowy kubek po kawie, pozostawiony bez opieki tabletki oraz coś, co najbardziej zainteresowało Sebastiana: zalaminowana kartka z listą dostępnych tytułów.

Przeskoczył szybko po wykazie. Tytuły uporządkowano alfabetycznie. Minąwszy literę „A”, szukał upragnionej animacji. Niestety, jedyną dostępną do obejrzenia bajką z ulubionymi bohaterami syna byli Pidzamersi, z których Paweł już dawno wyrósł.

– Szlag by to – warknął, ciskając kartą na podłogę.

Nie miał innego pomysłu na udobruchanie syna. Chłopak raczej nie da się wyciągnąć na spacer po pokładzie, oglądanie bajki na ekranie telefonu też nie wzbudzi jego entuzjazmu.

Może więc przyniesie mu coś słodkiego? Ciasto albo pączka? Nie, to też bez sensu. Takie rzeczy działają na pięciolatek.

Wzdrygnął się, gdy w pomieszczeniu nagle zrobiło się ciemno. Odruchowo spojrzął w stronę wyjścia na korytarz. Nawet nie usłyszał, kiedy ktoś zamknął drzwi i przygasił światło, jakby zaraz miał się rozpocząć seans. Dopiero po chwili dostrzegł stojącego przy drzwiach mężczyznę, zapewne sprawcę tej zmiany. W półmroku nie sposób było ocenić wieku, ale postawna sylwetka sugerowała, że nieznajomy lubił spędzać czas na siłowni.

– Dzień dobry – powiedział Sebastian, ruszając w jego stronę. – Przepraszam, że tak się tu kręcę, ale bardzo zależy mi na... – Urwał, ujrawszy twarz nieznajomego, a właściwie naciągniętą na nią maskę. Ta bynajmniej nie wyglądała jak z bajki. – Co to? – dodał po chwili. – Zdejmij to, człowieku, bo dzieci nastraszysz.

Z ust mężczyzny dobiegł dźwięk przypominający mlaśnięcie. Sebastian czuł, że powinien go wyminąć i czym prędzej wrócić na korytarz, nie mógł jednak oderwać wzroku od szpetnej maski. Wyglądała dziwnie znajomo. Może to rekwizyt z jakiegoś filmu?

– Mówię poważnie – dodał, nie doczekawszy się reakcji. – Takie rzeczy to na Halloween, a nie w trakcie rodzinnego rejsu.

Druga część zdania wybrzmiała nienaturalnie cicho, jakby ktoś pilotem redukował głośność. Po chwili Sebastian zdał sobie sprawę, że nie słyszy już rytmicznego oddechu nieznajomego ani jego mlaśnięć. Co więcej, nie słyszał nawet własnego oddechu. Dostrzegł jedynie ruch stojącego przed nim olbrzyma i wielką łapę zbliżającą się do jego szyi. Po chwili zapadła ciemność.

Rozdział V

Wichrowska dłuższą chwilę stała wpatrzona w zamknięte drzwi windy, nie dowierzając, że Laura wykręciła jej taki numer. Nie wiedziała, czy śmiać się, złościć czy martwić, a w zasadzie to wiedziała, ale próbowała przekonać samą siebie, że nie ma potrzeby obawiać się o zdrowie dziewczyny.

– Wróciła na jedenaste piętro – mruknęła, patrząc na wyświetlacz umieszczony nad kabiną. – To chyba dobrze.

Dłuższą chwilę nie odrywała wzroku od podświetlonej na żółto liczby. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy ta zaczęła rosnać, bo nabrała przekonania, że nie musi interweniować, ponieważ dziwak w świńskiej masce pojechał dalej, choć równie dobrze mógł wysiąść razem z Laurą. Nie uśmiechała jej się zabawa w chowanego na pokładzie ogromnego statku, a tym bardziej rozmowa z wyrośniętym przebierańcem.

– Co też ludzie mają w głowach, Sta... – Urwała w ostatniej chwili. Musiała zachować większą czujność. Chwila nierozwagi i o mały włos, a zaczęłaby mówić do zmarłego męża.

Korciło ją, by wzorem Laury wrócić na jedenasty poziom, zamknąć się w kajucie i pogadać ze Stasiem. Jak go znała, zarzuci jej, że zachowuje się jak stara raszpla, że mogłaby okazać więcej wdzięczności Klaudiuszowi, że przecież nigdy nie płynęła takim statkiem, więc warto chociaż raz wyjść na górny pokład i poudawać pasażerkę „Titanica”.

– Oj, już, już – westchnęła. – Sam jesteś stary pierdziel. Cwaniaczek jeden, za życia pewnie namawiałbyś mnie na pozostanie w kajucie. Wygodnie jest tak leżeć sobie w trumnie i kazać innym ganiać po świecie.

Poczuła na sobie spojrzenie stojącej obok pary. Młodzi, piękni, zamiast skupić się na sobie, patrzyli na starą babę, jakby w oczekiwaniu, że zrobi jakąś cyrkową sztuczkę. W jej wieku nie lada sztuką jest sprawne pokonanie kilku schodków prowadzących na zewnątrz, co właśnie miała zamiar zaprezentować.

Tadam!, pomyślała, wychodząc na świeże powietrze. Tak jak zakładała, nie tylko ona wpadła na jakże oryginalny pomysł, by popatrzeć na oddalający się gdyński port. Jedni machali nie wiadomo komu, inni robili zdjęcia i kręcili filmy, kilka par, wtulonych w siebie, kontemplowało widok, a samotnicy pokroju Celiney melancholijnie wbijali wzrok w nieokreślony punkt na horyzoncie.

Przyjrząwszy się kilku smutasom, postanowiła, że nie będzie się tak zachowywać. Łapać depresję może w domu. Tu, wśród ludzi, spróbuje wycisnąć coś z ostatnich tygodni życia. Bo wkrótce dołączy do Stasia, co do tego nie miała wątpliwości.

Wyciągnęła telefon i wślizgnęła się między mężczyznę próbującego złapać dobry kadr a nastolatka opartego plecami o burtę, jakby chciał zmanifestować całemu światu, że ma w dupie ładne widoczki, choć de facto jedyne, co manifestował, to swój egoizm.

Niby przypadkiem szturchając go łokciem, niczym jej rówieśniczki, wysyłające w autobusach subtelne sygnały, by ustąpiono im miejsca, kliknęła w komórce ikonę aparatu i zrobiła kilka zdjęć portu. Nigdy nie zależało jej na funkcjach w telefonie, wystarczyło, że umożliwiał wykonywanie połączeń i pisanie SMS-ów, toteż fotografie nie powalały na kolana. Inna sprawa, że jakie by nie były, to Klaudiusz i tak będzie zachwycony.

– Kiedyś moja córka upuściła tak telefon z kilkunastopiętrowej wieży – powiedział stojący obok mężczyzna. Celina zerknęła na nieznanomego kątem oka. Niestety, patrzył prosto na nią, co sugerowało, że właśnie do niej skierował swoje słowa. – Na szczęście był tam spory fragment dachu i spadł na ten dach, a nie komuś na głowę. Nikomu nie stała się krzywda, no, może mnie, bo byłem półtora tysiąca w plecy.

– Ceny telefonów są zdecydowanie za wysokie – powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy, bo wypadło się odezwać.

– Proszę to powiedzieć młodemu. Moja Ula nie odrywa wzroku od telefonu.

Jako typowa emerytka powinna porównać dzisiejszą młodzież do siebie w wieku nastu lat, ale nie widziała w tym sensu. Czasy były inne, nie ma co narzekać, że dzieciaki siedzą z nosem w telefonach, zamiast ze sobą rozmawiać. Sama teraz z chęcią pogapiłaby się w ekran, zamiast kontynuować jałową dyskusję, lecz potrafiła korzystać tylko z funkcji aparatu i latarki.

– Ile córa ma lat? – zapytała z grzeczności.

– Piętnaście, a w zasadzie to piętnaście i pół. Już odlicza tygodnie do szesnastych urodzin. Chce zorganizować wielką imprezę.

– My Super Sweet Sixteen?

– Nie rozumiem.

– Bo ma pan za młode dzieci. Mój syn Klaudiusz, a w sumie to bardziej jego ówczesna dziewczyna, uwielbiał oglądać taki program na jakimś kanale muzycznym. Raz czy dwa razy rzuciłam okiem, ale nie dało się na to patrzeć. Młode piszczące ślicznotki w drogich furach, z wypchanymi stanikami i toną makijażu.

– Być może, nie wiem... – Wyglądał na zakłopotanego, jakby wzmianka o kiczowatym programie męcącym młodemu w głowach zbiła go z tropu. – W każdym razie Ula wierci mi dziurę w brzuchu, żebym wynajął dla niej cały klub. Śmieję się, że może jeszcze mam im wydać zezwolenie na picie alkoholu. Mówię pani, kiedyś to inaczej wyglądało. Czekano się, aż rodzice wyjdą z domu, kombinowało się tani alkohol od starszego brata któregoś

z kumpli, zagryzało się byle czym i zabawa była przednia. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby wynajmować lokal.

– Z dwojga złego wolałabym szarpnąć się na imprezę na mieście, niż sprzątać wymiociny z dywanu.

Po cichu liczyła na to, że tym jakże obrazowym podsumowaniem zakończy rozmowę, mężczyzna nie wyglądał jednak, jakby chciał wrócić do swoich spraw.

– Moja Ula to porządna dziewczyna – odparł.

– Nie wątpię. Młodość ma jednak swoje prawa, jednym z nich jest lekkomyślność i potrzeba eksperymentowania. Pan nigdy w tym wieku nie wywinął głupiego numeru?

– To co innego. Chłopcy to chłopcy.

Uuu, kolego, tak rozmawiać nie będziemy, odparła w myślach, pomna słów Klaudiusza, który prosił, a może nawet błagał, by przed kąśliwą odpowiedzią przemyślała, czy na pewno chce wszczynać kolejny konflikt. Mało rzeczy ją irytowało. No dobra, irytowała ją cała masa rzeczy, ale na nerwy wyjątkowo działało jej protekcyjne traktowanie kobiet. Sama została wychowana na cholerną mimozę, na szczęście w porę spotkała Stasia, przy którym zrozumiała, że kobieta może pozwolić sobie dokładnie na to samo, co mężczyzna. Czasami nawet na więcej, bo przecież niezręcznie byłoby zdzielić kobietę w pysk.

– Zaleciało średniowieczem – odparła, choć korciło ją, by użyć dosadniejszego określenia.

– To znaczy?

– To znaczy, że dziewczyny piją tak samo jak chłopcy, palą, próbują narkotyków, uciekają z lekcji i... Uwaga, jeśli jest pan wrażliwy, proszę zatkać uszy, bo mogą panu zrujnować światopogląd. – Konspiracyjnie przyłożyła dłoń do ust i dodała ściszym głosem: – Uprawiają seks przed ślubem.

Jeśli wcześniej częściowo żałowała opuszczenia kabiny, to widok zniesmaczonej miny nieznanego dał jej satysfakcję. Trochę było jej głupio, że zafundowała mu wywód o kwiatkach i pszczołkach, a do tego pewnie uniemożliwiła jego córce urządzenie wymarzonych szesnastych urodzin.

– Ula ma dopiero piętnaście lat – odparł, jakby to był jakiś argument.

– Piętnaście i pół – poprawiła go. – Radzę poczytać o średnim wieku inicjacji seksualnej.

– Co panią ugryzło?

– Niestety, od pewnego czasu nikt już mnie nie podgryza, a bardzo to lubiłam. Udanej podróży.

Ponownie szturchnęła łokciem małolata przysłuchującego się ich rozmowie, po czym ruszyła wzdłuż pokładu widokowego. Rozmowa z nieznanym przypomniła jej, jak kiedyś ze Stasiem nieudolnie próbowali wtajemniczyć syna w tematy związane z seksem. Poziom zażenowania mogła porównać jedynie z rodzinną imprezą – teraz już nie pamiętała, czyje to były urodziny lub imieniny – w trakcie której matka Celiny pochwaliła się wszystkim, że jej córka dostała okresu i stała się kobietą.

Ciekawe, czy równie radośnie obwieściła światu swoją menopauzę, zaśmiała się w myślach, lawirując między pasażerami. Po kilku minutach wątpliwie przyjemnego spaceru miała dość. Jeśli będzie chciała przepychać się między ludźmi, pójdzie do galerii handlowej albo pokręci się po Sopocie. Nie oznaczało to jednak, że tak szybko skapituluje i wróci do kajuty. Nie da satysfakcji Stasiowi. Co to, to nie. Najpierw bar, potem drugi bar, a jak się trochę wyludni, to wróci popatrzeć na księżyc i gwiazdy.

Już miała odbić w stronę jednego z wyjść, gdy zorientowała się, że im dłużej idzie, tym puściej robi się wokół niej. Podobne zjawisko zaobserwowała kiedyś przy kasach w swoim ulubionym hipermarkecie, w którym kolejki zawsze ustawiały się przed kasami usytuowanymi najdalej od wejścia, jakby większość osób dokonywała zakupów wzdłuż określonej trasy, kończącej się w tym samym punkcie. Kasy samoobsługowe świeciły zwykle pustkami, co zmotywowało Celinę do tego, by nauczyć się z nich korzystać.

Zaintrygowana przyspieszyła kroku. Najlepszym potwierdzeniem jej obserwacji był fakt, że nie musiała już zwalniać, by wymijać ludzi. Szła prosto, nieświadomie coraz bardziej przyspieszając, niczym klienci obładowani zakupami zmierzający do nowo otwartej kasy. Po kilku minutach marszu nie miała już nawet potencjalnych rywali, bo nikt prócz niej nie pofatygował się tak daleko.

Świat jest dziwny, pomyślała, ciesząc się przestrzenią. Poprawka, świat jest super, to ludzie są dziwni. Nie rozumiała, dlaczego pozostali pasażerowie woleli tłoczyć się jak sardynki, zamiast pójść dalej. To jakby w sytuacji, kiedy można przejść na pustą dziką plażę tuż obok, wczasowicze wybrali wciskanie się między jeden parawan a drugi, z jednej strony mając za sąsiadów grupkę małych dzieci puszczającą muzykę z przenośnego głośnika, a z drugiej rodzinę z dwójką wiecznie kłócących się dzieci. A spróbuj tylko popłynąć za daleko, żeby chociaż przez chwilę cieszyć uszy ciszą, to od razu ratownik będzie gwizdał i wołał, żebyś wróciła.

– Cisza – powiedziała, rozkładając szeroko ręce.

W takich okolicznościach mogła swobodnie rozmawiać ze Stasiem, ale wołała tego zaniechać. On się na nią nie obrazi, już nie takie rzeczy jej wybaczał, a grzechem byłoby teraz myśleć o czymkolwiek innym niż pusty pokład, szum fal i zapach morskiej bryzy.

– Cisza – powtórzyła, zdając sobie sprawę, że nie słyszy szumu fal. Nie słyszała też pracy silnika, krzyku mew czy choćby jednego podmuchu wiatru. Stała, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Nie tęskniła za gwarem rozmów, ale nie obraziłaby się za skrzeczącą mewę rozglądającą się za darmowym jedzeniem. – Cholera – dodała, takie przynajmniej miała wrażenie, bo z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Nagle poczuła przemożny niepokój i zapragnęła wrócić między ludzi. Słyszeć ich rozmowy, śmiech. Mogłaby nawet wysłuchać kolejnej opowieści o idealnej piętnastolatce, która pilnie się uczy, czyta dużo książek, chodzi spać o dwudziestej pierwszej, a zamiast stringów nosi pantaloney.

Obróciła się, by sprawdzić, jak daleko zaszła. Widok ciągnącego się w nieskończoność pokładu uzmysłowił jej, że w tym czasie mogła spokojnie dwa razy okrążyć prom, podczas gdy tak szła cały czas przed siebie i wciąż nie widziała rufy. Coś tu było nie tak. Coś z nią było nie tak.

– Stasiu, chyba zwariowałam – powiedziała, lecz znowu żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Niepewnym krokiem ruszyła przed siebie. W którąkolwiek stronę by poszła, widok był identyczny: ciągnący się w nieskończoność pokład pozbawiony pasażerów, Bałtyk i bezchmurne niebo. – Nie powinniśmy jeszcze wypłynąć z Zatoki Gdańskiej.

Gdy myślała o śmierci, nie wyobrażała sobie niczego konkretnego. Nie marzyła o niebie, nie bała się piekła, nie wierzyła w reinkarnację, przez większość życia uważała, że śmierć oznacza po prostu koniec. Wszystko zmieniło się po odejściu Stasia. Miała obawy, że wspólnie wylądują w piekle, niemniej wizja spędzenia wieczności u boku męża kusila, by przedwcześnie zakończyć życie. Sęk w tym, że Stasiu był zimnolubny.

– Stasiu? – Serce zabiło jej szybciej na widok majaczącej w oddali sylwetki. – To ty?

Czyli jednak umarłam, pomyślała, przyspieszając kroku. Nie czuła się tym faktem zasmucona. Bardziej ciekawiło ją, co dzieje się teraz w prawdziwym świecie. Pamiętała rozmowę z mężczyzną uważającym swoją córkę za idealną nastolatkę, później był już tylko spacer po pokładzie. Czy tak właśnie zmarła? Zrobiła dwa kroki, a potem upadła na ziemię? Czy ktoś próbował ją ratować? Czy rejs będzie kontynuowany?

– Cholera, popsułam tym ludziom wakacje.

Coraz wyraźniejsza sylwetka Stasia odgoniła wyrzuty sumienia. Nie było dnia, by nie myślała o mężu lub nie prowadziła z nim wyimaginowanej rozmowy, jednak dopiero teraz poczuła, jak bardzo za nim tęskni. Nieważne, czy to działa się naprawdę, nieważne, czy ktoś właśnie podkradał jej pieniądze z portmonetki, ważne, że wreszcie może mocno przytulić męża i nawrzucać mu, że inaczej się umawiali, że to ona miała pierwsza umrzeć i zostawić go z nadopiekuńczym Klaudiuszem, który przez pierwsze tygodnie sprzątałby mu, gotował i prał, aż wreszcie Stasiu, zirytowany ciągłą obecnością syna, kazałby mu wrócić do swojego życia i jak przystało na dorosłego, dzwonić raz czy dwa w tygodniu, zamiast ciągle siedzieć mu na głowie.

Zwolniła, zdawszy sobie sprawę, że osoba, którą widzi, nie jest jej mężem. Stasiu nie należał do mikrusów, ale nieznajomy przewyższał go o głowę. Był też znacznie postawniejszy. Poza tym jej świętej pamięci mąż nie lubił czerni, tymczasem nieznajomy miał na sobie ubranie w takim właśnie kolorze. Mąż zawsze powtarzał, że czarny wyszczupla, a on i tak jest już wystarczająco chudy.

Dopiero teraz dostrzegła świńską maskę, dokładnie taką samą jak u dziwaka, który dosiadł się do Laury w windzie.

– To ty... – szepnęła.

Tak jak wcześniej, słowa nie zmąciły dzwoniącej w uszach ciszy.

Wzdrygnęła się, gdy nieznajomy ruszył biegiem w jej stronę. Nie miała szans, by mu uciec. Był młodszy, wyższy, silniejszy i parł do przodu jak tur. Celina nie wiedziała, czy to demon, który przyszedł zabrać ją do piekła, czy jakiś inny diabelski pomiot błakający się po czymś w rodzaju czyścica, domyślała się jednak, że nie ma wobec niej dobrych intencji.

Działając instynktownie, doskoczyła do burty. Nie miała czasu spoglądać, jak jest wysoko ani co znajduje się pod nią. Chwila zawahania, a olbrzym ją dopadnie. Czy skrzywdził również Laurę? Czy mogła jej pomóc?

Zacisnęła ręce na poręczy. Nieznajomy już wyciągał ku niej łapska, gdy odbiła się z całych sił i wyskoczyła za burzę.

Rozdział VI

Obudził ją śmiech Antka, ten głupkowaty rechot, który zawsze odpalał mu się podczas fazy. Gdy jeszcze byli parą, nawet ją to bawiło, lubiła go przedrzeźniać i dodatkowo nakręcać, by rechotał jeszcze głośniej, ale po rozstaniu za każdym razem, gdy jej uszu dobiegał ten dźwięk, miała ochotę dzielić chłopaka czymś ciężkim po głowie.

Z trudem podniosła powieki. Musieli już wypłynąć na pełne morze, bo promem kołysało na wszystkie strony. Nie pamiętała, żeby w ogóle się kładła, ale jak sądziła po bólu głowy i suchości w ustach, mogła nie pamiętać jeszcze kilku istotnych rzeczy.

– O! – zawołał Antek. – Laurka się obudziła.

– Ciszej – warknęła.

– Nie mów, że aż tak cię siekło. Zjadłaś tyle co nic.

Potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć słowa chłopaka. Zawroty głowy nie ułatwiały skupienia, ale przypomniała sobie kanapki z grzybkami, spotkanie z dziwną staruszką i z jeszcze dziwniejszym typem w świńskiej masce. Co było potem? Z pewnością błąkała się po korytarzach, próbując znaleźć swój pokój, a gdy wreszcie jej się udało, zastała Antka i Samantę śpiących w najlepsze. Coś z nimi było nie w porządku, ale nie pamiętała co.

– Pieprzony dupek. – Miała ochotę wstać i spoliczkować chłopaka, lecz chwilowo ciało nie wyrażało chęci do współpracy. – Jak mogłeś wrzucić to gówno do jedzenia?

– Tylko nie gówno – obruszył się Antek. – To towar pierwszej jakości. Mocno się wykosztowałem, mogłabyś okazać wdzięczność.

– Mogę to ja donieść na ciebie na policję. Wiesz, jak się czułam? Nie wiedziałam, gdzie jestem, łąziłam bez sensu, a na koniec chyba mi się zdawało, że ktoś was udusił.

– Nieźle ci siadło na psychę.

Znów ten przeklęty rechot. Gdyby miała odrobinę więcej siły, zdjęłaby skarpetę i wcisnęła mu ją do ust. Zamiast tego schowała głowę pod poduszkę, by wygłuszyć dźwięki, po czym zamknęła oczy. Nie chciała przespać całego rejsu, ale na samą myśl o wstawaniu zakręciło jej się w głowie.

– Laura ma rację – usłyszała głos Samanty. – Zachowałeś się jak ostatni dupek. Takich rzeczy się nie robi.

– Ty też? – obruszył się chłopak. – No tak, zapomniałem, że łąpiesz fazy smętów.

– Sam jesteś smętem.

– Riposta roku. Długo nad nią myślałaś?

Laura mocniej docisnęła poduszkę. Nie chciała słuchać kolejnej kłótni. W uszach zaczynało jej brzęczeć, głowa bolała coraz bardziej, a statkiem bujało, jakby zalewały go sztormowe fale.

Docięnięcie poduszki pomogło. Wreszcie zrobiło się cicho, nawet jakby mniej bujało. Laura mogłaby tak leżeć cały dzień, gdyby nie kłopoty z oddychaniem. Każdy kolejny wdech kosztował ją coraz więcej wysiłku. Zaraz będzie musiała zdjąć poduszkę albo przynajmniej poluzować ucisk. Bóg jej świadkiem, że jeśli pierwszym, co usłyszy, będzie ten przeklęty rechot, to nie zważając na konsekwencje, uciszy Antka.

Puściła poduszkę. Spodziewała się ulgi, tymczasem nacisk na jej twarz wcale się nie zmniejszył. Z trudem wciągnęła odrobinę powietrza do płuc, po czym chwyciła brzeg poduszki i spróbowała ściągnąć ją z siebie. Ta ani drgnęła, jakby ktoś stał nad nią i ją dociskał.

Machając na oślep, natrafiła na czyjaś rękę.

– Puść! – próbowała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się jedynie stłumiony jęk. Jeśli to kolejny żart Antka, to tym razem przegiął. Narkotyki najwyraźniej zupełnie przeżarły mu mózg. – No, puszczaj!

Szamotała się, próbując odepchnąć napastnika. Czuła, jak z każdą sekundą słabnie, jak pozbawiony tlenu organizm coraz wolniej reaguje na impulsy. Nie rozumiała, co się dzieje. Jeśli to Antek, to dlaczego Samanta nie reaguje? Dlaczego beczynnie patrzy, jak on ją dusi?

Resztką sił chwyciła oburącz przyciskające poduszkę przedramię. Było masywne, zdecydowanie zbyt masywne jak na Antka. Nie miała siły zrzucić napastnika lub choćby strącić jego ręki. Poczula dojmującą bezradność. Wciąż się miotła i próbowała wyswobodzić, ale jej ruchy były coraz wolniejsze i mniej skoordynowane.

– Puść! – krzyknęła ponownie. Tym razem wyraźnie usłyszała swój zrozpaczony głos.

Ucisk nagle zelżał. Nie czekając ani sekundy, zrzuciła z siebie poduszkę. Nigdy wcześniej wzięcie głębokiego wdechu nie cieszyło jej tak bardzo. Łapczywie wciągała tlen, jakby chciała naoddychać się na zapas. Czuła, jak momentalnie wraca w nią życie, a wraz z nim wściekłość na Antka.

– Popierdoliło cię?! – krzyknęła, siadając na łóżku.

Chłopak leżał wtulony w Samantę. Jego ruchy nie pozostawiały złudzeń, że miał ochotę na seks. W charakterystyczny dla siebie sposób, pozbawiony choćby krztyny romantyzmu, jedną dłonią ścisnął pośladek dziewczyny, drugą wsuwał pod jej bluzkę. Samanta nie wyglądała na zainteresowaną, więc przysunął się do niej biodrami i mocno wypiął, by poczuła jego napęczniały penis. Widok tych niezgrabnych poczynań obudził w Laurze współczucie dla obiektu jego westchnień, lecz w tej chwili ważniejszy był fakt, że Antek nie zdążyłby w tak krótkim czasie wrócić do łóżka i usadowić się obok Samanty. Co więcej, oboje sprawiali wrażenie, jakby przed chwilą do niczego w ogóle nie doszło.

– Ej! – zawołała, wstając z łóżka.

Nie rozumiała, co stało się kilka chwil wcześniej. Ktoś ją dusił. Ktoś stał nad łóżkiem i z całej siły wciskał jej poduszkę w twarz. Próbowwała się uwolnić, wierzgała, nawet jeśli miała zasłonięte usta, to na pewno wydawała z siebie jakieś dźwięki. Dlaczego nikt jej nie pomógł? Dlaczego Antek z Samantą zachowywali się, jakby nic się przed chwilą nie stało? No i, do cholery, kto ją dusił i gdzie teraz jest?

– Nie teraz, bejbe – odparł chłopak, nawet na nią nie spoglądając.

Oparła ręce o biodra. Miała ochotę zrzucić go z łóżka i wykrzyknąć mu kilka szczerych słów prosto w twarz, ale Samanta ją ubiegła.

– Głuchy jesteś czy głupi? – zapytała, zrzucając z siebie jego paskudne łapska. – Powiedziałam, że nie chcę.

– Dużo mówisz, a mało z tego wynika. – Antek skupił swoje działania na pośladkach dziewczyny. – Chociaż mnie pomasuj. Daj te swoje śliczne małe rączki.

– Antek! – Samanta wstała, poprawiła wymiętą bluzkę, po czym bez uprzedzenia zepchnęła go z łóżka.

Laura się uśmiechnęła. Patrząc na zdziwioną minę Antka, prawie zapomniała, że przed chwilą ktoś próbował ją udusić.

– Powaliło cię? – spytał chłopak, gramoląc się z podłogi.

Woźniak na chwilę zostawiła kłócącą się parę i podeszła do drzwi prowadzących na korytarz. Były zamknięte. Wcześniej nie słyszała, by ktoś je zatrząskiwiał, poza tym niemożliwe, by ktokolwiek niezauważony podszedł do jej łóżka, zaatakował ją, a potem bezszelestnie opuścił kajutę. Wszystko wskazywało na kolejny skutek zażytych grzybków. Nikt jej nie dusił, sama przyłożyła sobie poduszkę do twarzy, a później wyobraziła sobie wyimaginowanego napastnika. To jedyne rozsądne wyjaśnienie. Dlaczego więc w to nie wierzyła?

– Nie na taką wycieczkę się pisałem – westchnął Antek. – Obiecałaś mi dymanko.

– Serio? – Samanta stanęła nad chłopakiem, jakby zaraz miała kopnąć go w brzuch. Jeśli Laura miałaby wybierać, wskazałaby koleżance inny cel. – Nie zapomniałeś, że nie jesteśmy tu sami?

– To tym bardziej. Kurde, dwie superlaski, a ja mam se zwalić w kiblu? Zróbmy to razem. Znamy się tyle lat. Będzie fajnie.

Przez chwilę Laura miała wrażenie, że Samanta rzeczywiście zacznie okładać go kopniakami, ale zamiast tego sięgnęła po leżącą obok torebkę, włożyła buty na obcasie i szybkim krokiem podeszła do kumpeli.

– Chodź, bo nie ręczę za siebie – powiedziała, biorąc ją pod ramię.

Użyła trochę za dużo siły, ale Laura nie oponowała. Czuła się już o niebo lepiej, ból głowy minął i jedyne, co jej doskwierało, to ogólne rozbitcie spowodowane podsuniętą przez odurzony umysł wizją duszenia. Chętnie wyjdzie do ludzi, by jak najszybciej wyrzucić to z pamięci.

– Co za gnojek – warknęła Samanta, gdy znalazły się na korytarzu. – Co on w ogóle ma w tej przejaranej głowie?

– W tej chwili najbardziej martwi mnie to, czy rzeczywiście nie zrobi sobie dobrze w łazience. To byłoby obrzydliwe. Nie dotknę tam niczego.

– Niech tylko spróbuje, to zostawimy go w Szwecji.

Dotarły do wind, Samanta objęła przyjaciółkę i mocno się w nią wtuliła. Laura nie potrafiłaby zliczyć, ile razy pocieszała ją po kolejnych kłótniach z Antkiem, ile zaliczyła po tym kaców i ile wysłuchiwała zapowiedzi, że to naprawdę koniec. Najbliżej rozstania byli tuż po wyrzuceniu Samanty ze studiów, ale nawet wtedy chłopak potrafił ją udobruchać. Od tego czasu nie wierzyła już w żadne deklaracje.

– Ale ty chuda jesteś – stwierdziła blondynka.

– Nie, to ty się ostatnio spasałaś – odgryzła się Woźniak.

– Co racja, to racja. – Samanta odsunęła się, wydeła brzuch i poklepała się po ledwo widocznej spod koszulki wypukłości. – Może jednak wrócę do Antka i spalę z nim trochę kalorii?

– Nie wymawiaj w jednym zdaniu jego imienia i palenia. To się źle skończy. Chodź, napijemy się czegoś i wytańczymy te kalorie.

Roześmiane weszły do windy. Wybierając poziom główny, na którym znajdowało się wyjście na pokład widokowy oraz przejście do strefy restauracyjno-barowej, Laura poczuła mrowienie w szyi. Początkowo ledwo zauważalne, przypominające łaskotanie piórkiem, z każdą sekundą przybierało jednak na sile.

– Chyba łapię kolejną fazę – wyznała, rozmasowując mięśnie.

– Właśnie! – Samanta klasnęła w dłonie. – Przez tego durnia zupełnie o tobie zapomniałam. Mów, o co chodzi. Śniło ci się coś?

– Sama już nie wiem. Mam nadzieję, że to wszystko było chorym snem, inaczej wyląduję w wariatkowie.

Streściła przyjaciółce przebieg ostatnich godzin albo tego, co uważała, że wówczas się wydarzyło. Słuchając o kolejnych rewelacjach, Samanta nie sprawiała wrażenia zszokowanej czy choćby lekko zdziwionej. Momentami wyglądała na rozbawioną, co deprymowało Laurę. Na szczęście nikt się do nich nie dosiadł, w przeciwnym razie ze wstydu zapadłaby się pod ziemię, a tak, to dopiero na głównym pokładzie ściszyła głos, by nikt nie usłyszał o wytworach jej umysłu.

– Wiesz, że nawet nie wyszłaś z kabiny, nie? – zaśmiała się Samanta.

Laura miała nadzieję na taką odpowiedź. Może bez tej kpiącej nuty w głosie, w miejsce której wolałaby choć odrobinę zrozumienia, ale nie zamierzała wypominać przyjaciółce braku empatii. W ich relacjach zawsze przeważały śmiech i drwiny, trudno więc oczekiwać, by nagle uległo to zmianie.

– Ciężko mi w to uwierzyć – odparła. – To wszystko było takie realne. Ta babka, koleś w masce, no i wy.

– Ale serio, widząc nasze zwłoki, po prostu poszłaś spać?

– Byłam wycieńczona.

– To już wiem, żeby nie wskazywać ciebie jako osoby do kontaktu w sytuacji zagrożenia. Zadzwońią do ciebie ze szpitala, a ty pójdziesz w kimę.

– Masz rację, lepiej wybierz Antka.

Cały czas towarzyszyło jej intensywne mrowienie na wysokości przełyku. Nie potrafiła go opisać. Z jednej strony przypominało stan zapalny gardła, z drugiej miała wrażenie, jakby coś krążyło wewnątrz jej przełyku niczym mrówki czy nawet coś gorszego. Na samą myśl o wijących się w gardle robakach zrobiło jej się słabo.

– Muszę wyjść na powietrze – powiedziała, zostawiwszy przyjaciółkę w tyle.

Ignorując pomruki niezadowolenia, przepchnęła się do balustrady, zacisnęła ręce na poręczy, wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy. Momentalnie tego pożałowała. Wystarczyło na chwilę przymknąć powieki, a wyobraziła sobie małe glisty pełzające w jej ciele. Nigdy nie mogła pochwalić się kreatywnością, nawet jako dziecko ograniczała się do kolorowania gotowych obrazków, zamiast samej coś tworzyć, tymczasem teraz oczyma wyobraźni widziała każdy obślizgły szczegół małych, włochatych wijących się stworzonek, zupełnie jakby narkotyki odblokowały śpiącą od dwudziestu lat część jej umysłu.

– Uspokój się – szepnęła. – To tylko grzybki. Wszystko jest w porządku.

Oparła się plecami o balustradę. Odszukała wzrokiem przyjaciółkę i machnęła do niej ręką. Potrzebowała jej jak nigdy przedtem. Nieważne, o czym będzie mówić, może nawet godzinę nawijać o Antku, byle ktoś utrzymywał ją w pełnej świadomości i nie pozwalał jej umysłowi na podrzucanie kolejnych chorych wizji.

– Chodź! – zawołała. Nawet nie musiała prosić stojącego obok chłopaka, by zrobił im miejsce. Wystarczyło na niego spojrzeć, a od razu się przesunął, w nadziei że dziewczyny zamienią z nim choćby słowo, o czym będzie później mógł rozmyślać, kładąc się do łóżka.

– Jesteś jak moja mała siostrzenica – zaśmiała się Samanta. – Wystarczy mrugnąć, a od razu gdzieś znika. Raz mi nawet gówniara z placu zabaw spieprzyła. Wyobraź sobie, znalazłam ją koło kiosku po drugiej stronie ulicy. Twierdziła, że poszła po gumę do żucia, ale debilka nie miała pieniędzy.

– Dałaś jej?

– No raczej. Inaczej by na mnie nakablowała, że zamiast się nią opiekować, gadałam przez telefon.

– I kto tu jest debilką?

Przysłuchujący się ich rozmowie chłopak uśmiechnął się w sposób, jaki zapewne uważał za uwodzicielski. Laura знаła tego typu grymasy na pamięć. Znała też to nagłe wyprostowanie pleców i wypięcie klatki piersiowej, jakby przybranie sztywnej pozy miało w jakikolwiek sposób wpłynąć na atrakcyjność.

– Cześć, piękny – rzuciła Samanta, najwyraźniej znajdująca się w grupie odbiorców, do której trafiają tego typu zagrywki.

Laura pokręciła głową.

– Daj spokój. Nie będziesz przecież startować do pierwszego napotkanego gościa.

– A czemu nie?

– Bo to głupie. Poza tym nie zostawisz mnie samej z tymi schizami. Masz zakaz opuszczania mnie choćby na krok, jasne?

Dziewczyna skinęła głową, choć jej uśmiech sugerował coś zgoła innego. Laura nie żartowała. Zamierzała nie spuszczać przyjaciółki z oczu. Mrowienie w przełyku ustąpiło, gdy tylko zaczęły rozmawiać. Wołała nawet nie zgadywać, co by się stało, gdyby znów została sama.

– Mam kolegę – odparł nieznajomy.

– Widzisz? – zaśmiała się Samanta. – Kolegę ma, znaczy jest lubiany. To już coś.

– No zobacz, Antek nie ma kolegów. Jednych unika, bo im wisi kasę, drudzy unikają jego.

Laura przepuściła przyjaciółkę, wyraźnie zainteresowaną nawiązaniem nowej znajomości. Cały czas nie odrywała od niej wzroku. By upewnić się, że zaraz nie zniknie, położyła jej dłoń na ramieniu.

– A gdzie ten twój kolega?

– Rozpakowuje rzeczy, powinien zaraz przyjść.

– I tak sobie sami podróżujecie?

– Mhm.

Coś ukrywał. Zdesperowana Samanta tego nie dostrzegала, ale patrząc na chłopaka z większym dystansem, gołym okiem było widać, że na chwilę stracił wcześniejszą pewność siebie. Dwaj samotni studenci nie pasowali do profilu pasażerów podróżujących do parku rozrywki w Szwecji. Na statku przeważały rodziny z małymi dziećmi, było też sporo par w różnym wieku, ale ze świecą szukać singli poszukujących rozrywki.

Poczuła na sobie wzrok stojącego obok mężczyzny. Zazwyczaj spojrzenia panów w jego wieku miały w sobie coś lubieżnego i wywoływały u Laury odruchy wymiotne. Ten jednak patrzył na nią inaczej. Wyglądał na zamyślonego, a może nawet zmartwionego.

– No to wołaj go tutaj – rzuciła Samanta.

Chłopak nie potrzebował dodatkowej zachęty. Ledwie skończyła zdanie, a od razu wyciągnął telefon i napisał coś do kolegi.

– Zaraz przyjdzie – odparł szeroko uśmiechnięty, jakby myślał, że już wyrwał dwie łatwe dziewczyny. Niestety, biedaczek nie wiedział, że do niczego nie dojdzie. Samanta chciała tylko poczuć smak wolności, ale jak przyjdzie co do czego, odepchnie go i wróci do Antka. Woźniak mogła powiedzieć wiele złego o przyjaciółce, lecz nigdy nie zarzuciłaby jej niewierności. – Tak w ogóle, to Radek jestem.

– Klaudia – odparła błyskawicznie Samanta.

- Regina. – Laura podjęła zabawę.
- Regina? – powtórzył chłopak. – Niespotykane imię.
- Taka ze mnie nietuzinkowa dziewczyna.

Samanta szturchnęła ją łokciem. Ewidentnie nie podobało jej się, że Woźniak skupiła na sobie uwagę Radka.

– Wcale nie tak rzadkie – skomentowała blondynka. – Czy aby przypadkiem w twoim kółku katolickim nie było też drugiej Reginy?

Mało brakowało, a Laura wybuchnęłaby śmiechem. Zaskoczenie na twarzy Radka nie ułatwiało zadania. Chłopak wyraźnie stracił rezon. Wciąż się uśmiechał, ale ewidentnie nie wiedział, jak zareagować.

– To prawda – odparła. – Podobno imiona popychają nas do dokonywania pewnych wyborów. W twoim przypadku było podobnie. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale ta dziewczyna, z którą leżałaś dwa tygodnie temu w poradni, lecząc kiłę, też miała na imię Klaudia.

- Wal się.
- Chciałabyś. Nie będę ryzykowała zakażenia.
- Lepiej się przyznaj, co robicie na tych waszych katolickich obozach.
- Modlimy się o dusze puszczałskich. Powtórzę, bo pewnie źle usłyszałaś: du-szę, nie du-pę.

Tym razem nie powstrzymały śmiechu. Obie potrzebowały odskoczni, obu Antek popsuł wypad, obie nie mogły pozwolić, by przez jego lekkomyślność zmarnowała się taka okazja do zabawy.

– No i go spłoszyłaś – westchnęła Samanta, gdy chłopak bez słowa odwrócił się i obrażony ruszył przed siebie.

- Czyli jednak nie był taki sympatyczny, jak twierdził.
- Ważne, że był. Teraz będę musiała od nowa kogoś szukać.
- Może ten. – Laura wskazała głową przyglądającego im się mężczyznę. – Starszy, bardziej doświadczony.
- Tja, aż tak zdesperowana nie jestem, żeby szukać tatuśka.

Nieznajomy musiał słyszeć ich rozmowę, mimo to ani trochę się nie speszył. Cały czas patrzył na Laurę, co powoli stawało się irytujące.

– Wy tak na poważnie? – zapytał nagle.

Samanta obrzuciła go wzrokiem. Uśmiech na jej twarzy nie zwiastował niczego dobrego. Woźniak znała go aż za dobrze. Tak patrzyła na Antka, gdy miała ochotę zrobić z nim coś niegrzecznego.

- A co, byłby pan zainteresowany? – zapytała, zalotnie poprawiając kosmyk.
- Nie żartuj sobie, dziecko. Mogłybyście być moimi córkami.
- I dlatego tak się nam pan ciągle przygląda? – wtrąciła Laura, nim rozmowa zboczyłaby na niewłaściwy tor. Przy czym słowo „zboczyłaby” było tu kluczowe.

– Nie – odparł nieznajomy. – To znaczy, trochę tak. – Wyprostował się, wygładził dłonią za dużą co najmniej o jeden rozmiar koszulę, po czym dodał niepewnym głosem: – Nie pomyślcie sobie o mnie nic złego, ale czy naprawdę dziewczyny uprawiają seks w wieku szesnastu lat?

Nie zdążyły porządnie się zdziwić, gdy dobiegł je krzyk dochodzący z przedniej części statku. Obie odruchowo wychyliły się, by sprawdzić, co się stało. A coś z pewnością się stało, o czym świadczyło poruszenie wśród pasażerów znajdujących się na tarasie widokowym.

– Znam ją – powiedział facet od szesnastolatek.

Laura wychyliła się, by zobaczyć, o kim mowa. Jeśli już wcześniejsze pytanie mężczyzny zbiło ją z tropu, to widok starszej, grubawej kobiety wychylającej się przez reling sprawił, że nogi się pod nią ugięły. Znała ją, jechały razem windą, a potem jej uciekła. Miała na imię Celina i poczęstowała ją mirindą, rozmawiały o Samancie, Kulcie i narkotykach, ale przecież to wszystko było tylko snem.

– Co ona... – zaczęła, lecz nie była w stanie dokończyć zdania, bo kobieta runęła do wody.

Rozdział VII

Nie pamiętał, kiedy się położył. Nie pamiętał nawet wejścia na statek i odprawy, kojarzył tylko, że towarzyszyła temu nerwowa atmosfera, nie miał jednak pojęcia, co ją spowodowało. Suchość w ustach i ból głowy sugerowały prawdopodobne przyczyny chwilowej amnezji, ale Sebastian nie przypominał sobie, by cokolwiek pił przed podróżą. Na miejsce przyjechał samochodem, tak przynajmniej mu się zdawało, czyżby więc pozwolił sobie na szaleństwo już w porcie?

Z trudem usiadł na łóżku i omiół wzrokiem kajutę. Nie była najgorsza. Nie spodziewał się luksusów, ważne, że udało się zarezerwować jedynekę. Może inni lubili zawierać znajomości w podróży, ale on nie tęsknił za towarzystwem. Czego innego było mu trzeba.

– Zimnej mirindy – wychrypiął, sięgając po puszkę ustawioną na stoliku nocnym.

Wydało mu się to dziwne, że napój był zimny, skoro od dłuższego czasu stał obok łóżka, niemniej puszka przyjemnie chłodziła dłonie, a jej zawartość zaspokoila pierwsze pragnienie. Tego było mu trzeba. Cukru, chłodu i orzeźwiającego smaku.

Od razu poczuł się lepiej. Wspomnienia wprawdzie nie wróciły, ale za to wyklarował się plan na najbliższą godzinę. Wstając, zaśmiał się, że właśnie padł ofiarą marketingu i niczym przyszły narkoman dał się skusić na darmową próbkę towaru, po czym od razu nabral ochoty na więcej. Mógł sobie tłumaczyć, że siedzenie w kajucie byłoby głupotą, skoro statek jest wypchany atrakcjami aż po brzegi, ale w tej chwili jego motywacją do wyjścia na korytarz była jedynie ochota na jeszcze jedną mirindę. Może tym razem z dodatkiem czegoś mocniejszego.

Przeciął pusty korytarz i wszedł do windy. Cały czas próbował cokolwiek sobie przypomnieć z przebiegu ostatnich godzin, lecz w głowie miał zupełną pustkę. Tak po prawdzie, to nie miał pojęcia, dlaczego jest na promie. Wiedział, że płynie do Szwecji, do jakiegoś parku rozrywki, ale co miałyby tam robić dorosły, samotny mężczyzna?

Może jednak wystarczy tego alkoholu, pomyślał, czekając, aż winda zawiezie go na główny pokład.

Widok pałętających się ludzi ostudził jego zapał. Pomimo późnej pory wszędzie roило się od dzieci w różnym wieku. Możdzeń, jak na zatwardziałego singla przystało, wolał trzymać się od rozwrzeszczanych bachorów z daleka, toteż szybkim krokiem ruszył w stronę barów. Nie całkiem wiedział, skąd zna ich położenie, ale był przekonany, że wystarczy pójść prosto i po chwili będzie na miejscu. Co dziwniejsze, wiedział również, że

skręciwszy w prawo, dotarłby do strefy dla dzieci, gdzie między innymi znajdowała się sala kinowa. Po chwili przypomniał sobie o czymś jeszcze.

Zatrzymał się i spojrzął za siebie. Tak jak kojarzył, nieopodal wind stał młody chłopak ubrany na pomarańczowo, oferujący pasażerom darmową mirindę. To zapewne od niego dostał napój, który postawił go na nogi.

– O, znowu pan – powiedział małolat na widok Sebastiana.

– Daj dwie puszki – odparł Możdzeń.

– Czyli jednak dzieciakom zasmakowało?

Sebastian nie zrozumiał żartu. Nie miał ochoty na rozmowę z przyszczatym chłopakiem, ale ten mógł nieco rozjaśnić mu pamięć.

– Powiedz mi, ile czasu minęło od naszego spotkania?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Trochę mi się tu dłuży, więc jak dla mnie, to mogliśmy się widzieć nawet w poprzednim życiu.

– Chyba lubisz żartować.

– Jakoś trzeba sobie radzić. Inaczej można zwariować, chyba pan wie, co mam na myśli.
– Mrugnął porozumiewawczo.

Sebastianowi nie spodobała się ta poufałość.

– Nie bardzo – mruknął. – Jeśli mogę ci coś doradzić, to zachowuj się bardziej poważnie, inaczej wszyscy będą cię traktować jak poczciwego głupka, a ty do końca życia będziesz robił za chodzący billboard.

Odebrał dwie puszki i ruszył w stronę baru. Pierwszą otworzył już po kilku krokach, po kilkunastu następnych wyrzucił puste opakowanie do śmietnika. Nie kojarzył, by kiedykolwiek coś tak bardzo mu smakowało. Mógłby pić i pić w nieskończoność. Rozważał nawet, czy nie wrócić do dzieciaka i nie wziąć sobie kilku puszek na zapas, ale uznał, że byłaby to spora przesada.

Stanął w drzwiach strefy restauracyjnej i się rozejrzał. Mocno rozczarowany wyglądem lokalu, otworzył drugą puszkę i duszkiem opróżnił zawartość. Jedyнным plusem przestronnego pomieszczenia przypominającego dworcową jadalnię była mała liczba gości. Myśląc o restauracji na statku, Sebastian wyobrażał sobie stoliki z widokiem na morze, w tym część ulokowaną na zewnątrz, tymczasem jedynym sensownym widokiem były dwie atrakcyjne dziewczyny popijające przy barze kolorowe drinki.

– Zjem cię! – krzyknął ktoś w korytarzu. Podobnego entuzjazmu próżno było szukać wśród klientów restauracji, którzy pomimo odstręczającego wystroju wnętrza odważyli się dać szansę tutejszej kuchni.

Sebastian spojrzął na biegnącego w jego stronę chłopca. Nie znał się na dzieciach, nie potrafił ocenić ich wieku. Potrafił za to ocenić biegnącego za synem ojca. Facet wyglądał jak typowy poczciwy tatuś z lekko zarysowanym brzuszkiem i mocniej zarysowaną łysiną. Dużo lepiej prezentowała się jego żona. Blondynka zachowała szczupłą figurę, widoczną

zwłaszcza w obcisłych dzinsach smakowicie opinających uda. Delikatny makijaż podkreślał jej urodę, ale nie pozbawiał naturalności. Gdyby nie była mężatką, Sebastian mógłby nawet próbować ją podrywać, lecz obrączka na palcu zazwyczaj podnosiła poziom trudności na tyle, by cała zabawa niewarta była wysiłku. Tu zadanie wydawało się jeszcze trudniejsze, bo kobieta obserwowała męża z wyraźnym rozczuleniem. Nie, takie mężatki nie zdradzają, nawet po głośnej kłótni.

– Jestem wściekłym piesozaurom! – krzyknął tatusiek, machając rękoma, co bardziej niż do prehistorycznego psa pasowało do pterodaktyla.

Skupiony na ucieczce chłopiec biegł prosto na Sebastiana. Możdzeń chciał powrócić do bezczelnego obserwowania dziewczyn przy barze, ale coś nie dawało mu spokoju. Tak jak wcześniej wiedział, gdzie znaleźć restaurację, tak teraz miał wrażenie, że widział już gdzieś mężczyznę udającego potwora. Chyba wówczas też wcielał się w podobne monstrum.

– Nigdy mnie nie złapiesz! – krzyknął chłopiec, po czym obiegnął Sebastiana i schował się za nim. To wystarczyło, by ojciec wyszedł z roli.

– Paweł... – rzucił zakłopotany. Kręcąc głową, spojrział na Sebastiana i dodał: – Przepraszam pana, trochę się zapomnieliśmy.

Możdzeń nie odpowiedział. Twarz mężczyzny wydawała mu się dziwna znajoma. Musieli się już wcześniej spotkać.

– No, chłopie, puść pana – dodał tamten, nie doczekawszy się reakcji.

Po chwili dołączyła do nich blondynka z córką. Dziewczynka wyglądała na młodszą od brata, a z pewnością była od niego niższa i szczuplejsza. Na widok Sebastiana skrzywiła się.

– Dobry wieczór – powiedziała kobieta, posyłając Sebastianowi serdeczny uśmiech. Z bliska wyglądała jeszcze lepiej. Nie było po niej widać wieku ani dwóch przebytych ciąży. Nazwanie jej piękną wcale nie byłoby przesadą.

– Cześć – odparł Możdzeń, ignorując męża blondynki. – Czy my się aby przypadkiem wcześniej nie poznaliśmy?

Kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Sebastian czuł się przy tym niekomfortowo, zwykle to on tak oceniał płęć przeciwną.

– Chyba stał pan za nami w kolejce – odparła po chwili.

– Ach, tak, rzeczywiście! – rzucił jej mąż, zdecydowanie zbyt entuzjastycznie. – Przecież rozmawialiśmy nawet. Opowiadał pan o swojej córce, ma na imię Ula, dobrze pamiętam? Przepraszam, że nie skojarzyłem od razu.

– Córce? – Możdzeń nie krył rozbawienia. – Boże broń. Mam nadzieję, że nie spłodziłem nikomu dzieciaka, to nie dla mnie.

Miny obojga zrzędyły w tym samym momencie. Niczym typowa dzieciata rodzinka spodziewali się standardowej rozmowy o trudach rodzicielstwa, o tym, że nie mogą się doczekać, aż ich pociechy się wyprowadzą z domu, a z drugiej strony tęsknią do czasów,

kiedy największym problemem było regularne karmienie bobasów. Tacy ludzie nie dostrzegali niczego poza swoimi dziećmi. Jeśli ktoś myślał inaczej, nie pasował do ich nudnego świata.

– Może mi się coś pomyliło – odparł tatusiek. – Chodź, Paweł, zobaczymy, co grają w kinie. Może mają *Avengersów*?

– Nie mają – odpowiedział Sebastian. – Z bajek o bohaterach grają tylko *Pidzamersów*, a to dobre dla czterolatek. W ogóle to większość ich oferty miała premierę dobrych kilkanaście lat temu, jak choćby *101 dalmatyńczyków* czy *Zakochany kundel*, którego kiedyś oglądałem na VHS.

Nie miał pojęcia, skąd wytrzasnął te informacje, był jednak przekonany, że mówi prawdę. Potrafiłby nawet opisać miejsce, gdzie znajduje się zalaminowana kartka z tytułami bajek.

– *Zakochanego kundla* wspominam akurat bardzo dobrze – wtrąciła blondynka. – Zwłaszcza scenę, jak psiaki jedzą spaghetti.

– Romantyczna szmira – zaśmiał się Moździeń. – Zawsze lubiłaś takie ckiwe historie. Aż dziwne, że nie śpiewasz od rana *My Heart Will Go On*. Pamiętasz, jak tuż po seansie *Titanica* szukałaś płyty z soundtrackiem, a potem, gdy wreszcie ją dorwałaś, to katowałaś ją przez trzy bite tygodnie?

Miał nadzieję, że to zmyślił, że dał się ponieść fantazji, że pomylił atrakcyjną blondynkę z jakąś starą znajomą, w przeciwnym razie nie znajdzie logicznego wytłumaczenia dla uruchomionych w nim wspomnień. Potrafiłby opisać dzień, kiedy poszli razem do kina. On pracował w drukarni, z której zwolnił się rok później, ona niezmiennie chodziła do tego samego biura w międzynarodowej firmie odzieżowej. Wtedy miała stanowisko młodszej specjalistki do spraw reklamy, teraz zarządzała sklepami w północnej części kraju. On miał wtedy kiepski dzień; później kiepskich dni było coraz więcej, co w końcu zmotywowało go do zmiany pracodawcy. Ona jak zawsze tryskała humorem. Odkąd się poznali, zazdrościł jej podejścia do pracy, tego, jak potrafiła się zaangażować, czuć się ważną częścią wspólnoty, podczas gdy on jedynie odbębniał osiem godzin. Rozmawiali o tym przed seansem, później dzielili się wrażeniami po filmie, który na Dorocie zrobił ogromne wrażenie.

Dorota, powtórzył w myślach. Znał jej imię. Nie przedstawiła mu się, skąd w takim razie mógł je znać? Wiedział też, że jej matka ma na imię Alina, a dzieci to Karolinka i Paweł, choć przed chwilą padło tylko imię chłopca.

– Może jednak się znacie? – zaśmiał się gapowaty mąż Doroty. – Rzeczywiście było tak, jak pan mówi. Pamiętam to doskonale. Miałem strasznie nieprzyjemny dzień w drukarni, chciałem odpocząć, obejrzeć coś fajnego, a film okazał się ciągnącą się w nieskończoność zenadą.

– Po prostu się nie znasz, kochanie – odparła Dorota. – Ja nie marudziłam na twoich filmach wojennych, o westernach już nawet nie wspomnę. To trochę hipokryzja narzekać

na kiczowatość *Titanica*, równocześnie zachwycając się sztampowymi historiami o terroryzujących miasteczko złych facetach w kapeluszach i o tym, jak sprzeciwia im się wybitny rewolwerowiec, oczywiście w kapeluszu, bo jakżeby inaczej.

– Nie spłycaj.

– Sam zacząłeś.

Możdzień słuchał ich rozmowy, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że sam kiedyś w podobny sposób przekomarzał się z Dorotą. Może to siła sugestii, ale dałby sobie rękę uciąć, że jest fanem westernów i filmów wojennych, a na 1917 poszedł do kina aż dwa razy, pierwszy raz z żoną, a drugi raz sam.

Jaką żonę, zganił się w myślach. Nie znał tych ludzi, coś mu się pokręciło, przypadkiem trafił z drukarnią i filmem. Być może pracował z tym gościem? Być może od niego usłyszał wszystkie te historie, ale z jakiegoś powodu teraz nie mógł go sobie przypomnieć? To wydawało się jedynym rozsądnym wyjaśnieniem. Niepokojącym, lecz rozsądnym.

– Ja już lepiej pójdę tam, dokąd zmierzałem – powiedział. – Bawcie się dobrze, tylko nie przesadzajcie z tymi psozaurami, Pawełek przecież nie tak dawno bał się dinozaurów.

Zdziwione miny obojga nieoczekiwanie uspokoiły Sebastiana. To kolejny dowód, że od początku wygadywał głupoty. Oni zresztą wcale nie byli lepsi. Przecież pamiętałby, że stali razem w kolejce, a ten tekst o rzekomej córce, Uli? Skąd w ogóle pomysł, że miał córkę?

Czuł, że powinien odejść i zapomnieć o tej dziwnej rozmowie. Rozpamiętywanie jej nie przyniesie niczego dobrego. Mimo to nie mógł ot tak zostawić pięknej Doroty. Coś go do niej przyciągało, jakaś niewidzialna moc, przez którą byłby gotów porzucić postanowienie o życiu w pojedynkę. Mógłby nawet przygarnąć jej dzieciaki, które w odróżnieniu od większości małolatów nie płakały, nie wrzeszczały i nie zabiegały nieustannie o uwagę. Potrafił wręcz wyobrazić sobie siebie udającego piesozaura.

– Masz na imię Dorota, prawda? – zapytał.

– Mhm – odparła. Po jej minie widać było, że próbowała sobie przypomnieć, czy wcześniej nie przedstawiła się dziwnemu nieznanemu.

– Na drugie masz Agnieszka, a na trzecie Kinga. Nie podobało ci się to imię, ale proboszcz wymagał dostarczenia odręcznie napisanego życiorysu patrona wybranego imienia, a twoja koleżanka nie mogła się zdecydować, więc opisała dwie patronki, w tym Kingę, którą później ci oddała. – Oby to był stek bzdur, błagał w myślach. Szeroko otwarte oczy kobiety niestety sugerowały coś zgoła odmiennego. – Masz niewielką bliznę na lewej łydce – kontynuował – mniej więcej w połowie, od wewnętrznej strony. To pamiątka z wakacji na Kaszubach, gdy za namową kuzynki precyzyjnie się przecisnął przez dziurę w płocie, nieszczęśliwie zahaczając o ostry drut. Chyba miałyście kraść maliny. Swoją drogą uwielbiasz maliny. Możesz jeść je w każdej postaci: surowe prosto z krzaka, dzemy z malin, soki, nalewki. Wolisz te późniejsze, z września, mówisz, że są słodsze i bogatsze w smaku.

Stojący do tej pory za Sebastianem chłopiec najwyraźniej wyczuł, że dzieje się coś dziwnego, bo bez słowa wrócił do rodziców. Możdzeń mógłby dalej wymieniać znaki szczególne Doroty, począwszy od pieprzyka na pięcie, którego na początku ich znajomości wziął za kawałek czekolady przyklejony do stopy, a skończywszy na niezmiennej od kilku lat fryzurze łonowej.

– To nie jest śmieszne – stwierdził jej mąż, którego imienia za nic nie potrafił sobie przypomnieć. – Chodźcie, i tak już za dużo czasu zmitrężyliśmy.

Jego obecność wydawała się zbędna. Był tylko przeszkodą pomiędzy Sebastianem a Dorotą. Bez niego łatwiej będzie mu dogadać się z kobietą, o której wiedział tak wiele i do której ciągnęła go niemożliwa do opisaniasiła. Tym większe było jego zdziwienie, gdy Dorota skinęła głową, chwyciła córkę za rękę i odwróciła się na pięcie. Przecież ona też to czuła! Widział to w jej oczach!

– Czek... – Głos ugrzązł mu w gardle.

Powróciła znajoma suchość w ustach, tym razem intensywniejsza, niosąca ze sobą bolesne drapanie. Doznanie przybierało na sile z każdym oddechem. Jeszcze raz otworzył usta, by zawołać Dorotę, rzucić kolejnym fragmentem jej życiorysu, ale miał coraz większe trudności z zaczerpnięciem oddechu. Musiał się napić. Nie wiedział dlaczego, czuł jednak, że tylko to mu pomoże. Potrzeba zwilżenia gardła była silniejsza niż moc przyciągająca go do Doroty. Zresztą teraz i tak nie byłby w stanie wydusić z siebie żadnego słowa.

Masując obolałą szyję, podszedł do baru. Bał się, że nie będzie w stanie złożyć na głos zamówienia, ale na szczęście tu również sponsor linii rejsowej zadbał o odpowiednią ekspozycję towaru. Ustawione na kontuarze puszek mirindy tylko czekały, aż ktoś po nie sięgnie. Sebastian nie potrzebował dodatkowego zaproszenia. Spragniony chwycił chłodną puszkę, otworzył ją z charakterystycznym pstryknięciem i jednym haustem opróżnił jej zawartość. Ból natychmiast zelżał. Wciąż był odczuwalny, ale stał się tylko cieniem poprzedniego odczucia, jakby papier ścierny zamienił się w delikatną bibułę.

– Suszy? – zaśmiał się stojący za barem mężczyzna.

Sebastian tylko skinął głową, po czym sięgnął po kolejną puszkę.

– Jest za darmo, proszę się częstować – dodał tamten. – Osobiście proponuję nieco wzbogacić smak. Lekkie Cerveza con limon powinno panu przypaść do gustu. To nic innego jak piwo z gazowanym napojem pomarańczowym, do tego lód.

– Chyba jednak podziękuję.

– Może w takim razie mirinda z likierem pomarańczowym Cointreau i syropem z granatów?

– Nie mam ochoty na alkohol. Bez niego i tak mam spory bałagan w głowie.

– To może coś mocniejszego, na przykład...

– Powiedziałem, że nie jestem zainteresowany – warknął Możdzeń, przerywając natrętowi.

Mężczyzna wyglądał znajomo. Miał około czterdziestu lat i mocno przekrwione oczy. Sebastian wolał się nie zastanawiać, czy mieli okazję wcześniej się poznać. Bał się, że przypomni sobie szczegóły z życia barmana, o których nie powinien mieć pojęcia.

Opróżniwszy puszkę, otarł usta i spojrzał na stojące przy kontuarze dziewczyny. Wcześniej nie widział zawartości trzymany przez nie szklanek, ale pomarańczowy kolor drinków sugerował, że dały się skusić na jedną z propozycji Artura, bo tak miał na imię, o czym Sebastian był przekonany w stu procentach.

– Raz się żyje – mruknął pod nosem, po czym chwycił kolejną puszkę i ruszył w stronę dziewczyn.

Mniej więcej w połowie drogi zdał sobie sprawę, że to idiotyczny pomysł. Był od nich co najmniej dwa razy starszy. Gdyby na jednej z niezliczonych imprez w trakcie studiów zaliczył wpadkę, jego nieślubne dziecko mogłoby chodzić z nimi do jednej klasy, a on byłby niczym sfrustrowany Kevin Spacey w *American Beauty*.

Kolejne wspomnienie z Dorotą wróciło niczym bumerang. Kolejny film, kolejny wspólny seans. Scena z workiem unoszącym się na wietrze. On śmieje się, że to przeintelektualizowane, ona dostrzega w tym głębię. On mówi, że sam nakręciliby coś lepszego, ona jak zawsze w takich sytuacjach rzuca mu kpiące spojrzenie. Potrafiła tak się uśmiechnąć, że mężczyzna czuł się jedynie wyrośniętym chłopcem w krótkich spodenkach.

– Tja, aż tak zdesperowana nie jestem, żeby szukać tatuśka. – Śmiech jednej z dziewczyn przywrócił go do rzeczywistości, o ile stan, w którym się znajdował, miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistością.

Przyglądały mu się z uśmiechem, który równie dobrze mógł oznaczać zainteresowanie, jak i drwinę z ambicji podstarzałego lowelasa. Nie były piękne, ale nie mógł nazwać ich brzydkimi. Brunetka była trochę za chuda, blondynka zdecydowanie zbyt wyuzdana, obie jednak w jakiś sposób się uzupełniały. Nie zmieniało to faktu, że nie dorastały Dorocie do pięt.

– Cześć – powiedział, podchodząc bliżej. – Co tak same tu siedzicie? Gdzie wasi chłopcy? Nie boją się, że ktoś ukradnie was im sprzed nosa?

– Zbyt wielu kandydatów nie ma – odparła blondynka.

Szkoda, wolałby pogadać z brunetką.

– Nikt chyba nie założył, że takie piękne dziewczyny można znaleźć w tak obskurnym miejscu.

– Widzę, że bajerę ma pan opanowaną.

– Żaden ze mnie pan. Sebastian jestem, dla znajomych Seba.

– Klaudia – odparła blondynka. – A to Regina.

Brunetka delikatnie pchnęła koleżankę. Obie wyglądały na nieźle wstawione, co zwiększało szanse Sebastiana na uratowanie wieczoru. W tej chwili nie pogardziłby umiejętnością wyłuskiwania fragmentów życiorysu rozmówczyń, wiedziałby

przynajmniej, jakiej słucha się teraz muzyki, jakie się ogląda seriale, co jest modne, a jakich słów lepiej unikać, by nie wyjść na zgreda. „Zgred” zapewne znajdował się na tej liście. Z drugiej strony niosło to ze sobą pewne ryzyko, bo dowiedziawszy się, że jeszcze dwa lata temu potajemnie oglądały bajki, a ich ojcowie nazywali je gwiazdeczkami, syrenkami czy małymi księżniczkami, mógłby stracić ochotę na nawiązanie bliższej znajomości.

– Miło mi was poznać – rzucił, przeskakując wzrokiem z jednej na drugą. – Oświećcie mnie, proszę, co robicie same w takim miejscu?

– Też się nad tym zastanawiamy od kilkunastu minut. – Blondynka wciąż nie dawała dojść do głosu koleżance. – Już miałyśmy się stąd zawijać, gdy napatoczył się starszawy jegomość dający nadzieję na odrobinę rozrywki.

– I gdzie zniknął? – Zmrużył oczy i przyłożył do czoła uformowaną w daszek dłoni. Rozglądając się po lokalu, zrozumiał, że tego typu żartami może co najwyżej utrwalić wizerunek rubasznego wujaszka, z którego fajnie się pośmiać. – Powiedzcie lepiej, czym zajmujecie się na co dzień.

Kolejny kiepski strzał, uznał, obserwując nietęgą miną dziewczyn. To nie była randka z czterdziestoletnią rozwódką, która lubi opowiadać o swojej pracy i zainteresowaniach. Młodzi mają inne potrzeby. Lubią się głośno śmiać, pić i tańczyć. Tego ostatniego wolał nie proponować, ale w piciu miał niemałe doświadczenie.

– Jestem księgową – odparła Klaudia.

– A ja jestem Regina – wtrąciła brunetka.

– Chyba złapałaś zwiechę. Już nas przedstawiłam, wieśniaro.

– Sama jesteś wieśniarą. Ja jestem Regina i zajmuję się byciem Reginą. Jestem sobą, to rzecz nieosiągalna dla innych.

Dziewczyny ewidentnie nie potrzebowały już wspomagaczy. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy blondynka wyciągnęła z przewieszanej przez oparcie krzesła torebki owiniętą w folię kanapkę.

– No, mówię, wieśniara – parsknęła Regina. – Będziesz tu teraz jeść?

– Nie ja, tylko Seba. – Przez kilka sekund dziewczyna obracała kanapkę w dłoniach, nie mogąc znaleźć krawędzi folii. Po kilku kolejnych sekundach zniecierpliwiona rozdarła opakowanie, wyciągnęła kanapkę i podała ją Możdzeniowi. – Smacznego – dodała.

Nie wiedział, jak się zachować. Z dawnych lat pamiętał zasadę, by na randkach nie zamawiać makaronu, dań z ciągnącym się serem czy skrzydełek kurczaka, po których tłuszcz i panierka zostają na twarzy i dłoniach, lecz nie przypominał sobie, by na liście znajdowały się kanapki, ale też nie widział powodu, by teraz jeść cokolwiek.

– Dzięki, nie jestem głodny – odparł. – Wolałbym się czegoś napić.

– To jest naprawdę bardzo smaczne. – Blondynka nie odpuszczała.

– Mimo wszystko spasuję.

Obie przybrały smutne minki. O ile Klaudii nie pasował taki grymas, o tyle Regina wyglądała przesłodko. Aż chciało się ją przytulić, pogłaskać i pocałować w czółko.

– Nie daj się prosić. Jak zjesz, to spełnimy jedną twoją zachciankę.

Czuł, że jego szeroki uśmiech zdradza brudne myśli, ale nie był w stanie go powstrzymać. Z boku musiał wyglądać jak stary zbok śliniący się do studentek znajdujących się daleko poza jego zasięgiem. Taka zresztą była prawda, co najwyraźniej nie przeszkadzało dziewczynom. W tej chwili sprawiały wrażenie naprawdę gotowych na zrealizowanie jego fantazji, jaka by ona nie była.

– Stoi – odparł, po czym ugryzł kanapkę. Korciło go, by doprecyzować, co jeszcze stoi, ale nie chciał ich spłoszyć.

– Ma się ten dar przekonywania – zaśmiała się blondynka.

– Musisz jeszcze przekonać mnie, żebym weszła w ten układ – skomentowała Regina. – Wiesz, że ten napalenię wymyśli coś zbrozonego.

– Już nie udawaj świętej. Nie takie rzeczy robiło się na wyjazdach. Żyje się tylko raz.

– Powtórzysz to Antkowi?

Kawałek kanapki utkwiał Sebastianowi w gardle. Jadł, połykając duże kawałki, byle jak najszybciej pozbyć się chleba i móc się skupić na tym, co najprzyjemniejsze. Imię chłopaka, najpewniej sympatii którejś z dziewczyn, nie ułatwiało mu zadania.

– Antek? – powtórzył z pełnymi ustami. Kończył właśnie ostatni kęs.

– Jej gach – odparła Regina.

– Jeśli już, to były. Twój zresztą też.

– Czyli lubicie dzielić się chłopakami?

Wolał nawet nie wyobrażać sobie, jaką lubieżną minę zrobił teraz. Z wrażenia aż zaschło mu w gardle, więc wychylił się po stojącą na kontuarze puszkę mirindy.

– Widzisz, mówiłam, że zbok – podsumowała Regina. – Wszyscy kolesie w jego wieku tacy są. Nie mieszaj mnie w to, zadeklarowałaś się, to teraz masz problem.

– Powiedziałaś „zadek” – parsknęła jej koleżanka.

Moździeń nie zrozumiał blondynki. W tej chwili zresztą nie bardzo go ona interesowała. Czuł powrót drapania w gardle, czym prędzej otworzył więc puszkę i wypił zawartość. Nie miał pojęcia, ile przez ostatnią godzinę wlał w siebie płynu, ale ten zdawał się nie docierać do pęcherza, jakby coś wchłaniało mirindę niczym gąbka. Odpowiadał mu ten stan rzeczy. Gdyby teraz wyszedł za potrzebą, po powrocie raczej nie zastałby już dziewczyn.

– Zadek-larowałaś – dodała Klaudia, wyraźnie rozbawiona swoim cokolwiek wątpliwym spostrzeżeniem.

– A ty znowu o dupach. Śmiało, podpowiadaj mi, czego ma sobie zażyczyć, to może jeszcze bardziej się wyszczerzy.

– Oj tam, oj tam, dobrze wiesz, że zaraz nie będzie w stanie wcielić żadnych fantazji w życie. Ciekawe, jaką złapie fazę.

Nie miał siły zareagować. Czuł, że jeśli chociaż na chwilę odstawi napój, dopadnie go to okropne uczucie prowadzące do bezdechu.

– Chyba już złapał – skomentowała brunetka.

– Tak szybko to nawet ciebie nie siekło. To powinno trwać jakąś godzinę, może pół, a nie kilka minut.

– Może miał pusty żołądek? Pamiętam, jak mnie wzięło przed studniówką, kiedy piłyśmy wino truskawkowe od twojej ciotki. Cały dzień nic nie jadłam i po dwóch szklankach czułam się, jakbym lewitowała.

– Pamiętam. Omal nie zarzygałaś mi wtedy butów.

– Ale impreza się udała.

Myśl o nudnościach przywołała kolejny obraz z Dorotą w roli głównej. Była znacznie młodsza niż teraz, co wcale nie oznaczało, że atrakcyjniejsza. Wręcz przeciwnie. Zmęczona, zaniedbana, z podkrążonymi oczami, momentami sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się przewrócić. Sebastian powtarzał, że wygląda pięknie, że ma naturalną urodę i gdyby nie jej złe samopoczucie, zaciągnąłby ją do łóżka i spędził z nią tam cały weekend. Było w tym sporo prawdy, choć nigdy nie był łóżkowym długodystansowcem, więc w praktyce ich współżycie ograniczyłoby się do kilku epizodów, po których oboje leżeliby w oczekiwaniu na odzyskanie sił. Nigdy wcześniej równie często się nie uśmiechał. Szczerzył się tak bardzo, że bolały go mięśnie twarzy. Wiedział jednak, że musi tryskać optymizmem za nich dwoje, inaczej strach przed tym, co ich czekało, sparaliżuje Dorotę. To była ich pierwsza ciąża. Paweł od początku pojawienia się w brzuchu matki nie dawał jej wytchnienia. Mdłości, zawroty głowy, bóle mięśni, zmęczenie – nie odpuszczał aż do samego rozwiązania, które na szczęście przebiegło dość szybko i bez komplikacji. Mały słodki bobasek nie wyglądał na kogoś, kto mógł narobić takiego spustoszenia w organizmie matki. Wydawał się taki spokojny i bezbronny, jakby wszystko, co złe, zostało w ciele Doroty. Kolejne dni i tygodnie jedynie potwierdzały tę tezę. Pawełek był po prostu ideałem.

– Odleciał na dobre.

Słowa blondynki odgoniły wspomnienie, albo raczej coś, co usiłowało wyglądać jak wspomnienie, a w rzeczywistości było tylko kolejną ułudą.

– Ile tych grzybków tam było?

– Bo ja wiem, trzeba by spytać Antka. Pewnie tyle co w każdej, chyba że do swojej porcji dorzucił więcej.

– To jego? Wścieknie się.

– Nie mój problem.

Głosy dziewczyn delikatnie się zniekształciły, jakby ktoś przetworzył je w programie muzycznym. To wystarczyło, by przed oczami Sebastiana znów pojawiła się Dorota. Tym razem słuchała nowej piosenki Cher. Abstrahując od kiczowatego wyglądu wokalistki, którą Sebastian kojarzył głównie z rewelacyjnej piosenki wykonanej wraz z bohaterami

kreskówki *Beavis and Butt-Head*, Moźdzeniowi nie podobało się komputerowe zniekształcenie głosu w refrenie. Dorota posądziła go wówczas o głowę zamkniętą na nowości, co miało się z prawdą, bo starał się być na bieżąco, niemniej uważał, że zniekształcanie głosu jest zwykłym oszustwem. Porównał je do grania koncertów z playbacku.

Potrząsnął głową, by pozbyć się wyimaginowanych wspomnień. To nie było jego życie. Nie miał nic do efektu auto-tune, nie kojarzył piosenek z bohaterami bajek, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak takie coś mogłoby wyglądać.

– Patrz na niego – rzuciła jedna z dziewczyn. Nie wiedział, która. Wyglądały teraz dziwnie podobnie, nawet włosy miały w identycznym jasnobrązowym kolorze.

– Jesteście jak bliźniaczki – odparł. – Zawsze chciałem zaliczyć bliźniaczki.

Następne wspomnienie wpychało mu się do umysłu. Dotyczyło bliźniąt. Nie wiedział jeszcze, czy chodziło o ciążę Doroty, czy jakiejś jej znajomej. Nie chciał tego wiedzieć. Nie chciał zatracić się w kolejnej wizji.

– Obawiam się, kochanieńki, że w tym stanie możesz zaliczyć co najwyżej glebę – zaśmiała się któraś.

– Chodźcie, spełnijcie moje życzenie. Zapraszam do mojej kajuty.

Wstał i szybkim krokiem ruszył w stronę wind. Wątpił, by dziewczyny go posłuchały i ruszyły za nim, ale chciał jak najszybciej opuścić to miejsce. Musiał coś robić, działać, skupić na czymś myśli, inaczej znów zaskoczy go wizja wycinka z życia Doroty. Nie miał pomysłu, co robić. Z jednej strony logiczne wydawało się, by ją odszukać, ale co jej powie? Zaskoczy ją kolejną rewelacją na jej temat? A może znów dopadnie go ten przekłety ból gardła, przez który nie wydusi z siebie ani słowa?

– Chodź, będzie beka – usłyszał za plecami.

– Przecież on jest zrobiony na całego.

– Tym lepiej. Jak będzie lipa, to wrócimy.

Dogoniły go szybciej, niż zakładał. Wydawało mu się, że idzie żwawym tempem, podczas gdy dziewczyny nie tylko się z nim zrównały, ale po chwili bez najmniejszego problemu go wyprzedziły. Skonsternowany stwierdził, że przeszedł raptem kilka kroków.

– Coście mi dały? – zapytał.

– Naturalny wspomagacz dobrego nastroju.

Nie zdążył dopytać, gdy z dwóch stron wzięły go pod ramię i poprowadziły do przodu. Po chwili poczuł w kieszeni czyjaś dłoń.

– Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – usłyszał. – Szukam twojej karty pokładowej.

– Niech sobie wyobraża, co chce. W końcu to jego życzenie.

– Tak gadasz, bo nie czujesz tego sterczącego wacka pod palcami. A powiem ci, że jest co czuć. Interes Antka przy nim to pikuś.

Czy to działa się naprawdę? Czy rzeczywiście szedł właśnie z dwiema ślicznymi studentkami do swojej kajuty, gdzie spełnią jedno jego życzenie? A może to kolejna wizja?

Może któraś z nich to młodsza wersja Doroty? Może druga jest jej siostrą bliźniaczką? A może nigdy nie poznał Doroty, tylko cały czas myślał o jej siostrze?

Nie zauważył, kiedy znaleźli się w windzie. Trochę żałował, że na tak długo odpłynął myślami. Chętnie zaczepiłby chłopaka z napojami, pokazał mu, jak wyrwa się laski, o jakich tamten mógł tylko pomarzyć, po czym wzięłyby kilka puszek na zapas.

– Nie wierzę, że naprawdę to robimy – usłyszał, gdy wyszli na korytarz.

– Czułam, że to będzie szalony rejs.

– Tylko żadnych zdjęć ani filmów.

Weszli, a w zasadzie to wpadli, do kajuty. Od razu przed oczami stanęła mu noc poślubna, gdy w podobny sposób wparowali z Dorotą do hotelowego pokoju. Chcieli wówczas jak najszybciej nacieszyć się swoimi nagimi ciałami i dać upust żądzy, ale najpierw musieli uporać się ze zdjęciem sukni ślubnej, co okazało się nie lada wyzwaniem.

Nie chciał tego wspomnienia. Nie chciał żadnych wspomnień. Liczyło się tylko tu i teraz. Później będzie wspominał, jak zaliczył dwie głupiutkie dziewczyny. Pewnie opowie o tym wszystkim kumplom, ale nikt mu nie uwierzy.

– Ciasno tu masz – stwierdziła jedna z nich, kładąc się na łóżku.

Nie zastanawiając się ani chwili, podszedł do niej, pochylił się i pocałował ją w szyję. Była taka młoda, delikatna i pachnąca. Dorota, mimo nieziemskiej urody, nie mogła pochwalić się taką szyją. Wieku nie oszukasz. Wprawdzie wciąż miała idealną figurę, kształtne piersi i apetyczne pośladki, które uwielbiał ścisnąć i masować, ale szyja pozostawiała wiele do życzenia. Nie była obwisła ani pomarszczona, niemniej czas nie obszedł się z nią tak łaskawie, jak z resztą ciała.

– Co ty?! – usłyszał z tyłu.

Odwrócił się, by zaprosić drugą dziewczynę do zabawy, gdy dostrzegł przerażenie w jej oczach. Drobna, chuda, skulona, wyglądała teraz jak małe dziecko. Nie chciał tak o niej myśleć, to mogłoby osłabić jego erekcję.

Wrócił spojrzeniem do leżącej pod nim dziewczyny. Ona również wyglądała na przerażoną. Dopiero teraz Sebastian zrozumiał, co stało za ich nagłą przemianą. Tak po prawdzie, to zważywszy na okoliczności, obie zachowywały się nad wyraz spokojnie. Powinny krzyczeć, bronić się lub przynajmniej wzywać pomocy, tymczasem strach zupełnie je sparaliżował.

Zacisnął mocniej palce na szyi dziewczyny. Nie pamiętał, kiedy zaczął ją dusić, ale bardzo mu się to spodobało. Słabo się do tego zabrał, jej koleżanka mogła w tym czasie uderzyć go czymś w tył głowy lub po prostu uciec na korytarz i zacząć krzyczeć. Ta jednak skuliła się i grzecznie czekała na swoją kolej.

– Chodź – powiedział, przekonany, że go posłucha.

Tym razem na jego twarzy próżno było szukać lubieżnego uśmiechu. Kąciki ust miał uniesione wysoko, lecz emanowały od niego spokój i ulga. Doroty na pewno nigdy nie dusił, miał więc pewność, że tym razem nie zaatakuje go żadne wspomnienie.

Rozdział VIII

W trakcie ostatnich tygodni wielokrotnie wyobrażała sobie własną śmierć. Nie była w tym specjalnie oryginalna, w myślach zazwyczaj ograniczała się do połknięcia całej zawartości pudełeczka z lekami przeciwbólowymi, w grę wchodziło też zatrucie gazem, ale bała się, że przy okazji podtruje sąsiadów lub doprowadzi do eksplozji. W fantazjach wydarzenia miały różny przebieg. Czasem ubierała się odświętnie i kładła się na łóżku, na którym czekał już Stasiu. Mąż głaskał ją po głowie, szeptał czułe słówka, opowiadał o wszystkich pięknych rzeczach, które wspólnie zrobią. Niekiedy myślała o tym, co może pójść nie tak, na przykład że nie da rady spokojnie zasnąć, zaczną ją męczyć skurcze żołądka, jakby organizm za wszelką cenę chciał pozostać na tym świecie. W innym scenariuszu zamiast skurczy pojawiał się równie upierdliwy Klaudiusz. Te wizje były zdecydowanie najgorsze. Jak na przewrażliwionego syna przystało, nie wystarczyłoby mu, że odratowałby matkę wbrew jej woli, on w imię troski wprowadziłby się do niej i otoczył ją synowską miłością.

Celinie nigdy nie przeszło przez myśl, by skoczyć z okna, podciąć sobie żyły czy rzucić się pod pędzący pociąg. Nie chciała sprawiać innym kłopotu. No, może raz wyobraziła sobie, że skacze z dachu, celując w rosnące przy płocie drzewo wiśni, które i tak od lat nie owocowało. Mieszkająca obok Danuta ani myślała je ścinać, choć obu im ograniczało dostęp do słońca. Celina szybko jednak zaniechała tego pomysłu. Po pierwsze szansa, że w nie trafi, była niewielka, po drugie, znając upór Danki, nawet połamane gałęzie nie zmusiłyby tej starej wariatki do wycięcia drzewa i posadzenia w jego miejsce czegoś bardziej praktycznego. I co miałyby smaczniejsze owoce; Wichrowskiej nie mieściło się w głowie, jak ktoś o zdrowych zmysłach i sprawnych kubkach smakowych może lubić wiśnie.

Skąd wobec tego sen o skoczeniu do morza? Pomijając kwestię skuteczności takiego rozwiązania – bo przy odrobinie pecha załoga zdążyłaby ją odszukać i odratować – śmierć na morzu niosłaby ze sobą wiele problemów. Celina nie chciała psuć ludziom rejsu ani zmuszać kogokolwiek do szukania jej ciała. Poza tym nie mogła tego zrobić Klaudiuszowi. Utonąłby w wyrzutach sumienia, bo to on wykosztował się na bilet i nakłonił matkę, by wsiadła na prom. Nie, coś takiego zupełnie by go rozbiło.

– Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy. – Kobięcy głos wyrwał ją z zamyślenia.

Celina otworzyła oczy i zerwała się z łóżka. Była przekonana, że ucięła sobie drzemkę w kajucie, lecz głos nieznanego zdawał się temu przeczyć. Chyba że jakaś obca baba

wtargnęła do jej kabiny.

– Co... – zaczęła, ale nie była w stanie wydusić z siebie nic więcej.

Miała rację, obca baba wtargnęła do kabiny, tylko że to ona była tą obcą babą. Pamiętała szerokie łóżko, fioletowy wystrój i wykończenie w ciemnym drewnie, tymczasem teraz znajdowała się w znacznie skromniej urządzonej, kilkuosobowej kajucie z piętrowymi łózkami. Zgadzała się tylko piramidka z pomarańczowymi napojami.

– Przepraszam, mamó – dodała nieznajoma. – Widzę, że jesteś zmęczona, ale sama sobie nie poradzę.

Celina nie spodziewała się czegoś takiego. Zdezorientowana rozejrzała się po pomieszczeniu, nigdzie jednak nie dostrzegła innej osoby, do której blondynka mogła kierować słowa. Oprócz niej byli tam jeszcze skulony obok kobiety chłopiec i nieco młodsza dziewczynka przeglądająca kolorową książkę.

„Mamo”, powtórzyła w myślach. Tak do niej zwróciła się nieznajoma. Celina miewała kłopoty z pamięcią, ale bez przesady, nie zapomniałaby przecież, że urodziła córkę. Kiedyś nawet rozważali ze Stasiem drugie dziecko, a w zasadzie to Stasiu od czasu do czasu przebąkiwał, że Klaudiuszowi przydałoby się rodzeństwo, ale ona w tej sprawie była nieugięta. Poród i pierwsze kilka miesięcy opieki nad wiecznie niezadowolonym Klaudiuszem wybiły jej z głowy kolejną ciążę. Niech inni martwią się o ujemny przyrost naturalny.

– Już dobrze, kochanie – dodała blondynka. Siedziała obok syna i gładziła go po plecach. Chłopiec wyglądał na zupełnie roztrzęsionego.

Ku własnemu zaskoczeniu, Celina знаła powód kiepskiego samopoczucia dziecka. Doskonale pamiętała zachowanie jego ojca, Sebastiana, który z siebie tylko znanego powodu nastraszył małego, udając dinozaura. Nie rozumiała, dlaczego wybrał akurat taką formę zabawy, skoro Pawełek bał się tych stworów jak samego diabła. Podobnie jak zięć, nie znała powodu nietypowej fobii, ale ze wszystkich sił starała się pomóc. Wspólnie jeździli do terapeuty, wspólnie próbowali przepracować strach i powoli, krok po kroku, oswajać się z prehistorycznymi istotami. Koledzy w szkole nie pomagali, stąd decyzja o zmianie placówki. Wszystko już wychodziło na prostą, ale Sebastian musiał wyjść przed szereg i znów zafundować dziecku terapię szokową. Mężczyźni i to ich samcze myślenie... Dziecko boi się wody? Trzeba je wrzucić do głębokiego basenu. Dziecko płacze? Niech się wykrzyczy i zrozumie, że szantaż emocjonalny nic nie da. Dziecko po latach cię nienawidzi i nie chce utrzymywać z tobą kontaktu? To wszystko przez nadopiekuńczą matkę, która od małego kładła mu głupoty do głowy i zrobiła z niego miękką kluchę. Jej świętej pamięci mąż był dokładnie taki sam.

Potrząsnęła głową, zszokowana własnymi myślami. Nie miała przecież córki ani zięcia, a co dopiero mówić o wnukach. Klaudiusz nie miał szczęścia do dziewczyn, sam zresztą też nie był wymarzoną kandydatem na męża. Uzależniony emocjonalnie od rodziców, poczciwy, ale ciapowaty, świetnie nadawał się na przyjaciela, ale już niekoniecznie na

życiowego partnera. Sebastian był jego przeciwieństwem. Pewny siebie, trochę arogancki i szorstki w obyciu, może brakowało mu empatii, za to mógł imponować kobietom.

– Zwariowałam – szepnęła do siebie, siadając na łóżku.

Czuła, że powinna pomóc Dorocie. Córka jej potrzebowała.

Nie, ta kobieta nie jest jej córką. Celina ma tylko jedno dziecko. Jedno kochane, nadopiekuńcze dziecko: Klaudiusza.

– Poczytaj mi, babciu.

Nawet nie zauważyła, kiedy podeszła do niej Karolinka. Dziewczynka trzymała w dłoni książkę z dziwaczną okładką, na której niesympatyczny starzec stroił dziwne miny, siedząc w wannie.

– *Doktor Proktor i wanna czasu* – przeczytała Celina. – Co to za dziwactwo?

– Kryminał o szalonym naukowcu i jego dwóch pomocnikach. Poczytamy razem?

Nie czekając na odpowiedź, wręczyła babci książkę i zajęła miejsce obok. Celinie zrobiło się miło, czując dotyk malutkiego, ciepłego ciała. Dziewczynka była idealna. Nie marudziła, nie płakała bez powodu, lubiła się przytulać, a gdy dorośli nie mieli czasu, potrafiła sama zająć się sobą. Wichrowska pamiętała dzień jej narodzin, gdy razem ze Stasiem opiekowali się malutkim wnukiem. O ile przy pierwszym porodzie była spokojna o zdrowie córki i dziecka, o tyle w przypadku drugiej ciąży nie mogła pozbyć się obaw. Średnio raz w tygodniu dzwoniła do Doroty i dopytywała o samopoczucie. Nie potrafiła wytłumaczyć czarnych myśli, ale do dnia porodu wstrzymała się z zakupem ubrań dla wnuczki. Staś, jak to Staś, wyśmiał ją, powiedział, że z nudów zaczyna jej odbijać i lepiej, gdyby ugotowała jakiś obiad, zamiast łązić po domu i smęcić. Że też mężczyźni muszą być tacy gruboskórni...

– No, nie wiem, czy to lektura dostosowana do twojego wieku – stwierdziła Celina, wertując pierwsze strony. Po wcześniejszych dylematach nie było już śladu. – Pełno tu puszczania bąków i innych dydaktycznie wątpliwych żartów. Skąd to wytrasnęłaś?

– Tata kupił Pawłowi, ale on nie chce tego czytać.

Poczuła na sobie wzrok córki. Nie musiała nic mówić. Spędziły niezliczoną ilość godzin, rozmawiając o niereformowalnym podejściu Sebastiana do dzieci. Mozdzeń wbił sobie do głowy, że musi zrobić z syna prawdziwego mężczyznę. Zamiast cieszyć się z inteligencji emocjonalnej dziesięciolatka, pękać z dumy, że ten opiekuje się młodszą siostrą, jest czuły i delikatny, że wyrośnie z niego porządny człowiek, za cel obrał sobie nawracanie Pawła na bardziej chłopięce rozrywki. Zmuszał go do wspólnego oglądania meczów, choć ze wszystkich aspektów piłki nożnej chłopca interesowały jedynie oprawy kibicowskie. Co rusz podsuwał mu pistolety, monster trucki czy modele do sklejania, teraz najwyraźniej postanowił uczynić go fanem kryminałów. Dobrze, że nie wpadł na pomysł, by zmuszać Pawła do czytania opowieści z dreszczykiem, co z pewnością oznaczałoby powrót do nocnego moczenia.

– Mam lepszy pomysł – odparła Wichrowska. – Mama musi chwilę odsapnąć, więc pójdziemy we troje do kina. Co wy na to?

– Przecież to prom, babciu – zaśmiała się Karolinka.

– A co, myślisz, że marynarze nie lubią oglądać filmów? – Wstała z łóżka, odrzuciła książkę w róg, po czym klasnęła w dłonie i dodała: – Raz, raz! Idziemy zobaczyć, czy mają tu jakieś dobre bajki. Kto pierwszy w sali, ten ma pierwszeństwo wyboru!

Paweł ani drgnął. Inne dziecko może dałoby się przekonać obietnicą lodów lub kupnem zabawki, ale Celina z doświadczenia wiedziała, że na chłopca nie działają łapówki. W jego przypadku najlepiej skutkowało czas i obecność mamy.

– Idźcie same – powiedziała Dorota, która najwyraźniej doszła do identycznego wniosku.

– Ale wiesz, jak to jest, bez Pawełka nie zdołam przegłosować Karolinki, żeby oglądać *Spider-Mana*. Potrzebuję sojusznika.

– Może dołączymy do was później. Poleżymy jeszcze trochę i pomyślimy, co dalej. Bez presji.

– Oczywiście. Wiecie, gdzie nas szukać. Jak nie będziemy w kinie, to rozglądajcie się za największym deserem lodowym na pokładzie, bo mamy zamiar taki spałaszować, co nie, księżniczko?

Dziewczynka energicznie kiwnęła głową, po czym bez pożegnania z mamą otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Celina od razu ruszyła za nią. Chciała jeszcze przytulić córkę i życzyć jej wytrwałości, lecz wiedziała, że nie może nawet na chwilę spuścić tego małego pędziwiatra z oczu. Nigdy nie rozmawiała o tym z córką ani szwagrem, ale ciekawiło ją, czy obserwując poczynania Karoliny, Sebastian odczuwał niedosyt, że dziewczynka jest tak mało dziewczęca. Pewnie, gdyby miał wybór, bez wahania zamieniłby tych dwoje charakterami.

Ciekawe, co teraz robi, pomyślała, przemierzając korytarz. Oby nie zapijał złości w barze. Jeśli ma choć odrobinę rozumu, kupi coś na przeprosiny dla żony i dzieci, a potem poświęci im cały wieczór. To on powinien wpaść na pomysł zabrania Pawełka do kina, choć może lepiej, że tego nie zrobił, bo pewnie wyskoczyłby z *Transformersami* albo *Parkiem jurajskim*. Z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo.

– Mama z tatą się pokłócili? – zapytała chodząca od ściany do ściany Karolinka.

Celina nie widziała powodu, by okłamywać dziewczynkę. Mała przecież miała oczy i rozum. Wmawianie, że wszystko jest w porządku, tylko namieszałoby jej w głowie.

– Odrobinę – odparła. – Nie przejmuj się, zaraz wszystko sobie wyjaśnią.

– Nie przejmuję się. Tata na pewno wymyśli coś fajnego.

– Też mam taką nadzieję.

Nie chciała być typową teściową zawsze stojącą po stronie córki, w tym wypadku wina Sebastiana była jednak niepodważalna. Celina nie słyszała ich późniejszej rozmowy, ale to, co zobaczyła, wystarczyło, by wyrobić sobie opinię. Nic nie zapowiadało takiego

zachowania zięcia. W drodze do portu tryskał optymizmem, szeptali do siebie coś z Dorotą, uśmiechali się, żartowali, skąd więc ta nagła zmiana?

Ciekawe, jak teraz zareagowałby Stasiu. Z jednej strony zawsze bronił córki, każdego kręcącego się przy niej chłopca traktował jak potencjalnego wroga, z biegiem czasu zaakceptował jednak Sebastiana i bardzo go polubił. Dzielili wspólne zainteresowania, z piłką nożną na czele, lubili komentować bieżącą sytuację polityczną, co niekiedy doprowadzało do mniejszych lub większych kłótni, od czasu do czasu zdarzało im się nawet pojechać razem nad jezioro, z którego wracali bez ryb, ale z wielkim kacem.

– Nonsens – mruknęła, gdy otworzyły się drzwi windy.

Stasiu nigdy nie był na rybach. Śmiał się, że nie potrzebuje kupować drogich wędek i wyjeżdżać o świcie, by w spokoju wypić kilka piw. Bezczyenne wpatrywanie się w splotki nie było dla niego. Poza tym zwyczajnie nie lubił ryb. Jadał je tylko w Wigilię, obowiązkowo powtarzając, że karp trąci glonami, a łosoś pozbawiony jest smaku. Rokrocznie odgrzązał się, że w następne święta będzie jadł tylko mięso, ale i tak w grudniu grzecznie stawał w kolejce przy stoisku rybnym. Raz nawet poważnie się zastanawiał, czy nie zabrać Klaudiusza na ryby i nie spędzić z nim trochę czasu na osobności, lecz oboje z Celiną stwierdzili, że nie potrafiliby nawet nabić robaka na haczyk, a co dopiero mowa o późniejszym patroszeniu i czyszczeniu z łusek. W domu Wichrowskich tylko Celina nadawała się do takich rzeczy.

Wysiadła na głównym pokładzie. Przez te wszystkie rozmyślenia zapomniała, po co właściwie tu przyszła. Jakikolwiek był powód opuszczenia kajuty, ogrom ludzi snujących się w tę i w tę zachęcał do odwrócenia się na pięcie i rychłego powrotu.

– Babciu? – powiedziało jakieś dziecko z tyłu.

Z braku lepszego pomysłu ruszyła w stronę wyjścia na zewnętrzny pokład. Tam przynajmniej będzie można odetchnąć świeżym powietrzem. Poza tym Klaudiusz na pewno ucieszy się ze zdjęć, może nawet specjalnie dla niego nakręci, jak okręt opuszcza port.

– Babciu?!

Spojrzała w dół na wpatrzoną w nią dziewczynkę. Mała stała tuż przed nią z wysoko zadartą głową i rękoma opartymi na biodrach. Przybrała groźną minę, co w tym wieku wyglądało przeuroczo. Dorosły grymas nie pasował do słodkiego noska i jeszcze słodszych oczu.

– Do mnie mówisz, młoda damo? – spytała Wichrowska.

– Kino jest w tamtą stronę. – Dziewczynka wskazała palcem korytarz.

– Dziękuję za informację, ale raczej nie skorzystam. Wątpię, żeby grali tu moje ulubione filmy, chyba że mają osobną salę dla staruszek nienadążających za nowościami.

Rozejrzała się w poszukiwaniu opiekunów małej. Wyglądała na rezolutną, lecz była jeszcze za młoda, by kręcić się sama w takim tłumie.

– Ale obiecałaś – odparła dziewczynka. Groźną minę zastąpiło bardziej pasujące do jej wieku smutne skrzywienie buzi. Wyćwiczonemu grymasowi z pewnością zawdzięczała wiele darmowych cukierków.

– Ja? – zaśmiała się Wichrowska. – Dziecko, coś ci się pomyliło. Powiedz lepiej, gdzie są twoi rodzice?

– Przecież wiesz. Mama została z Pawłem, a tata się pogniewał. Miałyśmy iść na film, a potem na ogromne lody. Obiecałaś.

Małej coś mocno się pomieszało w głowie. Celina nie obraziłaby się za taką wnuczkę albo za jakiegokolwiek wnuka, jednak obserwując relacje Klaudiusza z kobietami, takie prawdopodobieństwo oceniała na zerowe. Jedynej szansy na powiększenie rodziny upatrywała w dzieciatych rozwódkach doświadczonych przez los i rozumiejących, że ciapowaci mężczyźni może nie są tak pociągający, za to przynajmniej nie biją, nie zdradzają i pamiętają o odebraniu dzieci z przedszkola.

– Rozejrzyj się, proszę – odparła. – Może gdzieś tutaj jest twój tata?

Dziewczynka grzecznie wykonała polecenie. Skupienie na jej młodej buzi wyglądało rozczulająco.

– Nie ma – stwierdziła.

– A mama?

– Nie. Mówiłam przecież, że została z Pawłem.

– Rozumiem... – Celina ciężko westchnęła. Nie mogła tak zostawić dziewczynki. – Jesteś pewna, że nie widzisz tu nikogo z rodziny?

– Widzę ciebie, babciu.

– Mhm.

Na szybko rozważyła możliwe rozwiązania. Mogła stanąć z małą gdzieś z boku i poczekać, aż któregoś z jej opiekunów zda sobie sprawę, że zgubiło dziecko. Dziewczynka wspominała o zagniewanym ojcu, więc być może to on nie zdał testu na odpowiedzialnego rodzica. Pewnie pokłócił się o coś z żoną, po czym poszedł w długą, nie zaprzatając sobie głowy córką.

– A pamiętasz może numer swojej kajuty? – zapytała.

Mała pokręciła głową.

– Może chociaż piętro?

Identyczna odpowiedź.

– No dobra, w takim razie musimy poszukać kogoś, kto nam pomoże. Zaraz podejdziemy do pracowników obsługi i poprosimy, by przekazali komunikat o uroczej dziewczynce, której zapewne szukają zaniepokojeni rodzice. Jak masz na imię?

Dziecku zaszklily się oczy. Celina starała się mówić spokojnie, ale mała najwyraźniej zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Nie rozumiem – odparła łamiącym się głosem.

– Nie przejmuj się, zaraz sobie ze wszystkim poradzimy. Chodź.

Coś ciepłego i miękkiego chwyciło ją za dłoń. Instynktownie chciała się odsunąć, ale po chwili poczuła się dziwnie miło. Pomimo obawy, że zaraz wparuje tu ojciec małej, zbulwersowany faktem, że jakaś obca stara baba trzyma jego córkę za rękę, pogładziła kciukiem delikatną skórę i poprowadziła małą w stronę personelu witającego gości. Dziewczynka nie stawiała oporu. Wyraźnie przygnębiona i wystraszona, grzecznie podążała za Wichrowską. Celina miała ochotę przytulić małą. Nie wiedziała, czy przeważa w niej złość na nieodpowiedzialnych rodziców, czy współczucie dla bezbronnej dziewczynki. By nie powiedzieć o kilka słów za dużo, skupiła się na tej drugiej emocji.

– Dzień dobry – powiedziała do dwóch nieco za bardzo uśmiechniętych dziewczyn wskazujących podróżnym drogę do kabin. Sama ledwo zmusiła się do podniesienia kącików ust. – Mamy mały problem. Ta młoda dama zgubiła swoich rodziców, możecie państwo jakoś nadać komunikat czy coś? – Z chęcią dodałaby kilka epitetów pod adresem matki i ojca dziewczynki, ale nie chciała jej dodatkowo stresować.

– Yyy... – wydukała jedna z hostess. Druga nie wyglądała na bardziej rozgarniętą.

– Wezwijcie kierownika, kapitana czy kogokolwiek bardziej kompetentnego – doradziła Celina.

– Jasne, momencik.

Dziewczynka miała coraz smutniejszą minę. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. Celina nie potrafiła jej pocieszyć. Nie miała doświadczenia z dziećmi, zdążyła już zapomnieć, jak było z Klaudiuszem, który zresztą nigdy nie sprawiał problemów wychowawczych. Teoretycznie wszystkie dzieci lubiły słodkie, mała wspomniała coś o lodach, może więc wziąć ją do cukierni i tam poczekać na któregoś z rodziców? A może kino? Tylko czy tak można błąkać się po statku z obcym dzieckiem? Czy nie lepiej zostawić je pod opieką załogi?

Poczuła, jak dziewczynka cofa dłoń. Serce podpowiadało, że nie powinna na to pozwolić, że mała potrzebuje bliskości, ale empatii wystarczyło jej tylko na to, by ciężko westchnąć i rzucić banalne pocieszenie:

– Wszystko będzie dobrze.

Na szczęście hostessy działały sprawniej, niż układały zdania. Już po kilku minutach jedna z dziewczyn prowadziła w ich stronę mężczyznę w granatowym garniturze i białej koszuli. Mogliby iść szybciej, nie zaszkodziłoby też, gdyby tak wesoło ze sobą nie rozmawiali, ale Wichrowska postanowiła powstrzymać się od komentarza. W tej chwili liczyło się tylko dobro dziecka.

– Dzień dobry, pani Celino – rzucił spokojnie nieznajomy.

Nie pamiętała, by komukolwiek się przedstawiała, tymczasem mężczyzna zachowywał się, jakby byli znajomymi. Zaintrygowana przeczytała napis na plakietce przypiętej do marynarki, ale imię Artur nic jej nie mówiło.

– W czym mogę pomóc? – spytał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Skąd...? – zaczęła Celina, ale uznała, że to nie czas na wyjaśnianie takich rzeczy. Może później dopyta, skąd mężczyzna znał jej imię, teraz miała ważniejsze sprawy na głowie. – Jak już pewnie panu przekazano, zgubiła się dziewczynka.

– I pani ją znalazła – odparł, wciąż uśmiechnięty w sposób niepasujący do powagi sytuacji. Być może na szkoleniu wbijano mu do głowy, by szczerzyć się do klientów, ale zapomnieli dodać, że czasem może to zostać źle odebrane.

– Nie chce podać swojego imienia, mówi tylko, że jej rodzice się pokłócili. – Przeszło jej przez myśl, by spytać, czy Artur zna również personalia dziewczynki, skoro wiedział, jak Celina ma na imię, ale wydawało się to niedorzeczne. Zamiast tego zaproponowała: – Może zaprowadzicie ją państwo w jakieś spokojniejsze miejsce i rozpoczęcie poszukiwania?

Artur pogładził się po ogolonym policzku. Pomimo przyklejonego do twarzy uśmiechu sprawiał wrażenie zmęczonego, a na pewno rozkojarzonego, jakby głowę zajmowały mu pilniejsze kwestie.

– Przejdźmy się kawałek – powiedział, po czym chwycił Celinę za rękę i delikatnie pociągnął w stronę wind.

Wichrowska, zdziwiona bezpośredniością mężczyzny, pozwoliła się odciągnąć od roztrzęsionej dziewczynki.

– Co pan robi? – zapytała wreszcie.

– Oszczędzam Karolinie traumatycznych wspomnień.

– Karolinie? Czyli zna pan jej imię?

– Pani Celino, proszę się skupić. – Potarł przekrwione oczy. Wcześniej Wichrowska nie zwróciła na nie uwagi, ale teraz spostrzegła, że mężczyzna wygląda, jakby męczyła go alergia. – Naprawdę nic pani nie pamięta?

Nie odpowiadał jej ton głosu tego człowieka ani jego zachowanie. Nie powinni byli zostawiać wystraszonej dziewczynki z hostessami, które zamiast jakoś ją zająć, wróciły do kierowania ruchem pasażerów.

– Czego mam niby nie pamiętać? – warknęła. – Skąd pan w ogóle zna moje imię?

– To akurat jest stałe, zmieniają się inne rzeczy.

– Nie rozumiem.

– Ja jeszcze też, ale to się zmieni. Niech zgadnę, jest pani przekonana, że ma jednego syna, Klaudiusza, tak?

Skinęła głową. Nic z tego nie rozumiała. Wcześniej założyła, że jakimś cudem mężczyzna przed przyjściem sprawdził dane widoczne przy rezerwacji biletu, ale nie miała żadnego wyjaśnienia, skąd mógł wiedzieć o Klaudiuszu.

– To jakiś żart? – zapytała. – Syn kazał panu to zrobić?

– Pani nigdy nie miała syna. Urodziła za to piękną córkę, Dorotę. Wybrała się pani na wycieczkę z jej rodziną – mężem i dwójką dzieci, Karolinką i Pawłem.

Mówił dalej, ale Celina już go nie słuchała. Pamiętała wszystko: narodziny Doroty, pierwszy krok dziewczynki, pierwszy dzień w przedszkolu, maturę, ślub, narodziny wnuczki, pierwszy krok wnuczki, pierwszy dzień wnuczki w przedszkolu... Jak mogła jej nie rozpoznać? Co się z nią stało? To alzheimer?

– Proszę się skupić – Poczwała, jak Artur kładzie dłonie na jej ramionach. – Od pani najbliższych decyzji zależy, czy Karolinka przeżyje.

Rozdział IX

Samancie nie zamykały się usta. Całą drogę do portu nawijała o tym, co będą robić na promie, jakie przygotowała ubrania i jakie zdjęcia musi koniecznie opublikować na swojej ścianie. Antek, delikatnie mówiąc, nie podzielał jej entuzjazmu. Jak na kogoś, kto wpadł na pomysł wspólnego rejsu i nakłonił swoją dziewczynę do wydania ostatnich oszczędności, mógłby choć trochę się z tej wyprawy cieszyć, tymczasem sprawiał wrażenie, jakby przyjechał tu za karę.

– Co on taki naburmuszony? – spytała Woźniak, czekając, aż kolejka do odprawy wreszcie ruszy z miejsca. Od dobrych kilku minut jakiś palant okupował jedyne czynne okienko.

– Sama go zapytaj – odparła blondynka. – Od rana zachowuje się jak obrażone dziecko.

– Pokłóciliście się?

– A żeby to raz. Wkurza mnie, kiedy tak snuje się jak cień. Mamy się bawić, a nie smęcić. Wygląda, jakby już dopadła go choroba morska.

Kolejka wreszcie drgnęła. Pacan niepotrafiący przedstawić dokumentów odszedł obrażony od okienka, a jego miejsce zajęła starsza babka. Kobieta wydawała się znajoma, ale Laura nie potrafiła przypomnieć sobie jej imienia. Może to jakaś sąsiadka? Albo jeszcze gorzej, była nauczycielka.

– Te, Antek. – Samanta szturchnęła chłopaka łokciem. – Co ty, okresu dostałeś?

– Bardzo śmieszne – odburknął.

Laura go nie poznawała. Kiedy widzieli się ostatnim razem, nawijał jak nakręcony. Dobrą godzinę zastanawiał się na głos, ile alkoholu i jakiego wziąć na pokład, by z jednej strony nie nawalić się bez sensu w kajucie, a z drugiej nie wydać za dużo przy barze i na miejscu w Szwecji. Inna sprawa, że wówczas był nakręcony. Ostatnio sporo eksperymentował z różnymi narkotykami, może teraz dopadł go zjazd energetyczny?

– Może chcesz coś zjeść? – zapytała Samanta, która z kolei była pobudzona bardziej niż zwykle, jakby chciała nadrobić zachowanie chłopaka. – Głodny jesteś nie do zniesienia.

Wyciągnęła z torebki kanapkę zawiniętą w przezroczystą folię. Laura nie wierzyła własnym oczom. Nigdy nie podejrzewałaby przyjaciółki o kulinarne zapędy. Często powtarzała, że jest na wiecznej diecie, w związku z czym nie widzi sensu w staniu przy garach, skoro sama ogranicza się do jabłka albo wafli ryżowych, a tu taka niespodzianka.

– Co ty – zaśmiała się Woźniak. – Udajesz troskliwą żonkę?

Antek nagle poderwał głowę. Samanta, skupiona na wymyślaniu kąśliwej odpowiedzi, nie zauważyła tego, ale chłopak ewidentnie ożywił się na wzmiankę o ślubie.

– Pokaż – rzucił, niemal wyrywając dziewczynie kanapkę z rąk, po czym szybko odwinął folię i wgryzł się w chleb. – Pycha – rzucił z pełnymi ustami. – Laurka, ty też powinnaś coś wszamać, bo cię wiatr porwie z promu.

Nerwowe ruchy i szybka zmiana tematu dały Laurze do myślenia. Może przesadzała, może z chłopakiem wszystko było w porządku, tylko po prostu wstał lewą nogą, lecz nie mogła pozbyć się wrażenia, że zamierza oświadczyć się Samancie. Romantyczny rejs promem wydawał się idealną okazją do poproszenia dziewczyny o rękę, ale oboje byli jeszcze tacy młodzi! W tym wieku decyzja o zaobrączkowaniu zazwyczaj była podyktowana niechcianą ciążą, a Samanta nie wyglądała ani się nie zachowywała, jakby zaliczyła wpadkę.

– Z tego, co widzę, to ty planujesz kogoś porwać – powiedziała, puszczając do Antka oko. – Mamy do pogadania.

Samanta z szerokim uśmiechem obserwowała, jak chłopak pałaszuje kanapkę. Wyglądała na dziwnie zadowoloną. Laura domyślała się, że obserwowanie, jak ktoś ze smakiem pochłania przyrządzone przez siebie jedzenie, może być miłe, ale ten uśmiech był jednak zagadkowy. Patrząc na nią, można by odnieść wrażenie, że przygotowała co najmniej polędwicę Wellingtona albo inne cudo rodem z kanałów kulinarnych.

– Jesteście jacyś dziwni – stwierdziła.

– Dziwnie dopiero będzie – zapewniła ją Samanta, po czym pochyliła się w stronę przyjaciółki i szepnęła jej na ucho: – Dodałam do środka grzybków. Też już trochę ich zjadłam, ale spoko, mam spory zapas.

Od serii bluzgów uratowało ją zwolnione właśnie miejsce przed okienkiem do odprawy. Gdyby nie fakt, że właśnie przyszła ich kolej, Laura zbeształaby przyjaciółkę i wyrzuciła wszystkie kanapki do śmietnika, a tak ograniczyła się tylko do tego drugiego.

– Co ty?! – oburzyła się blondynka, gdy Woźniak wyrwała jej torebkę.

Laura bez słowa wyciągnęła nafaszerowane narkotykami jedzenie i wyrzuciła do kosza.

– Jesteś pojebana – odparła. – Ogarnij się wreszcie, dziewczyno, bo skończysz w pieprzonym Monarze.

Wcisnęła przyjaciółce torebkę, po czym wzięła Antka pod ramię i poprowadziła do okienka. Było jej żal chłopaka. On też nie był święty, często działał jej na nerwy, ale nigdy nie wrzuciłby komuś narkotyków do jedzenia lub drinka. Tak się po prostu nie robi. Jeśli Antek naprawdę chciał oświadczyć się tej wariatce, to będzie musiał chyba wstrzymać się do drogi powrotnej. Najlepiej, jeśli wstrzyma się na zawsze, inaczej Samanta pociągnie go na dno.

– O co chodzi? – zapytał, gdy stanęli przed okienkiem.

Laura nie zamierzała publicznie tłumaczyć, że został odurzony grzybkami. Byłoby to równoznaczne z powrotem do domu i wezwaniem policji.

– Dzień dobry – powiedziała do mężczyzny wpatzonego w ekran komputera, kładąc przed nim swój paszport.

Pracownik portu potarł oczy, po czym niechętnie podniósł wzrok. Wyglądał na wyczerpanego, jakby wciąż odczuwał skutki rozmowy z namolnym pasażerem, przez którego czas odprawy znacznie się wydłużył.

– Ach, to wy – powiedział, nieznacznie się uśmiechając. – Co tym razem was sprowadza?

– Chcemy się odprawić i wejść na statek? – Zmarszczyła czoło, przybierając wyraz twarzy, który Antek nazwał kiedyś miną urażonej księżniczki. To było dawno temu, kiedy jeszcze czuli do siebie coś więcej niż zwykłą sympatię. Teraz nie potrafiła przypomnieć sobie kontekstu, ale za to doskonale utkwilo jej w pamięci, że co najmniej przez pół roku ludzie z klasy nazywali ją księżniczką i wcale nie było w tym nic miłego.

– Tyle to wiem – odparł nieznajomy. – Pytam, jaki macie w tym cel.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz, żadne z was nic nie rozumie, w tym tkwi problem. Nie rokujecie. Nakłady na was nie przynoszą żadnych efektów. Tracie tylko mój czas i energię.

Facet chyba naźarł się grzybków, pomyślała, próbując zrozumieć, co przed chwilą usłyszała. Antek wyglądał na równie zdziwionego, choć w jego przypadku mógł to być już efekt działania narkotyku.

– Nakłady? – powtórzyła. – Przecież sami opłaciliśmy rejs. Coś chyba się panu pomieszało.

– Dlaczego akurat wy? Czemu uparł się na jakieś głupie dzieciaki? – Pokręcił głową, po czym ostentacyjnie postukał palcami w klawiaturę. Nie sprawdził ich tożsamości, mimo to po chwili z drukarki wyszły trzy karty pokładowe z ich nazwiskami i numerem kajuty. – Witamy na MF „Baltica” – fuknął. – Ciekawe, czy w ogóle dożyjecie opuszczenia portu.

Laura przeprosiła w myślach podróżnego, który wcześniej tak długo zajmował okienko. Zdążyła nazwać go palantem, tymczasem na to miano zasługiwał ktoś inny.

– Złożę na pana skargę – oświadczyła, odbierając karty pokładowe.

– Już to widzę.

– Co cię ugryzło, człowieku?

Nie czekając na odpowiedź, odciągnęła Antka i razem ruszyli w stronę korytarza prowadzącego bezpośrednio na statek. Nie chciała rozpamiętywać spotkania z tym dziwolągiem. Nienawidziła takich mężczyzn. Brzydziła się nimi. Podstarzali erotomani, wyobrażający sobie nie wiadomo co. Bez cienia wstydu potrafili ślinić się do młodych dziewczyn, puszczając do nich oko czy nawet chwytając je za tyłek w autobusie. Powinno się takim z klucza wydłubać oczy i obciąć te paskudne łapska.

– Niezły świr – skomentował Antek.

– Zwykły debil. Nie mówmy o nim, nie chce mi się o tym myśleć, i tak już popsuł mi humor. Powiedz lepiej, czy dobrze odczytałam twoją reakcję. Chcesz...

– Ciszej! – Mocno chwycił ją za dłoń.

– Serio? O kurde, myślałam, że coś mi się przywidziało. Ale jaja!

Spojrzała przez ramię na podążającą za nimi Samantę. Powinna cieszyć się szczęściem przyjaciółki, ale po chwilowym entuzjazmie poczuła lekkie ukłucie zazdrości. To irracjonalne, przecież rozstali się z Antkiem dawno temu, poza tym nie w głowie jej były ślub i dzieci. Była na to za młoda, a byłemu chłopakowi daleko do ideału, dla którego mogłaby stracić głowę. Skąd w takim razie to dziwne uczucie?

– Jak chcesz to zrobić? – spytała, odganiając nieprzyjemne myśli. To byli jej przyjaciele. Musi cieszyć się z nimi, nawet jeśli Samanta nie zasługiwała na takiego faceta. – Romantyczna kolacja czy coś bardziej wymyślnego?

– No właśnie nie wiem. Od rana kombinuję i na nic mądrego nie wpadłem. Przecież nie padnę, ot tak, na kolano. Samanta zasługuje na coś więcej.

Bardzo chciała przyznać mu rację, ale w tej chwili nie miała najlepszego zdania o przyjaciółce. Nie chodziło nawet o brak odpowiedzialności, bo zamiast skupić się na nauce, przebalowała cały rok, a potem dziwiła się, że ją wyrzucili. To, co udawało się w liceum, na studiach straciło skuteczność. Tam nikt jej nie przepchnął do kolejnej klasy za ładne oczy. Więcej o jej charakterze mówiło to, że zamiast wyciągnąć wnioski, dalej balowała za kasę rodziców.

– Dupa z ciebie – stwierdziła, upewniając się, że Samanta ich nie słyszy. – Trzeba było wcześniej mnie wtajemniczyć, to byśmy wspólnie coś wymyślili.

– Myślisz, że nie chciałem? Nawet napisałem SMS-a, ale go skasowałem. Jakoś głupio prosić byłą dziewczynę o pomoc w zaaranżowaniu oświadczyn dla innej.

– Co, myślałeś, że będę zazdrosna? Antek, przypominam, że to ja rzuciłam ciebie, a nie na odwrót.

– Nie musisz mi tego przypominać...

Nie wiedziała, jak odebrać słowa chłopaka. Pewnie sobie coś wmawiała, ale w jego głosie wyczuła smutek, jakby wciąż nie mógł przeboleć ich rozstania.

– Dobra, nie ma co gadać o przeszłości – stwierdziła. – Trzeba działać. Tylko powiedz, dobrze się czujesz?

– A jak mam się czuć? Od wczoraj mam sraczkę ze stresu. Nie wiem, co zrobię, jak mi odmówi. Matka powiedziała, że to idiotyczny pomysł, ale co ona może wiedzieć? Te kanapki to znak. Samanta nigdy mi nie przygotowała jedzenia. Nawet nie chciało jej się podgrzewać niczego w mikrofali, a tu taka niespodzianka.

– Tja. Mnie też zaskoczyła – mruknęła Laura. Czuła, że powinna powiedzieć mu o dodatkowym składniku kanapek, ale nie chciała psuć atmosfery. Poza tym doskonale pamiętała, jak kiedyś ktoś jej ściemnił, że wypila drinka z pigułką gwałtu, co niemal błyskawicznie wywołało u niej atak paniki. Choć w rzeczywistości nikt niczego nie

dosypał, to wmówiła sobie, że mięśnie jej wiotczeją i coraz trudniej jej się oddycha. Mało brakowało, a skończyłoby się wezwaniem karetki.

Tamto wspomnienie wywołało nieprzyjemne mrowienie w przelyku. By odgonić je jak najdalej, Laura skupiła myśli na zaręczynowej niespodziance.

– Podobno mają tu strefę spa – powiedziała. – Musisz tam pójść, obadać teren i pogadać z pracownikami. Może pomogą ci coś zorganizować. Na przykład wysypią podłogę płatkami róż, które doprowadzą was do jacuzzi. Obok ustawią stoliczek z szampanem i przekąskami. Posiedzicie chwilę, w tle będzie leciała romantyczna muzyczka, a ty się oświadczysz.

– No nie wiem, jakoś płatki róż nie pasują mi do Samanty.

– No to może zrób to w Szwecji? Znajdziemy jakieś klimatyczne miejsce z dala od ludzi. Uklęknieisz, poprosisz o rękę i powiesz, że to przedsmak waszej podróży poślubnej.

Chłopak pokręcił głową. Laura nie rozumiała, skąd u niego to negatywne nastawienie. Oba pomysły wydawały się całkiem fajne, zwłaszcza ten pierwszy. Sama pomyślałaby przychylniej o kandydacie na męża, gdyby leżała sobie w ciepłej wodzie i popijała szampana. Kto wie, może nawet powiedziała by „tak” Antkowi?

– Marudzisz trochę, wiesz? – stwierdziła. – Jak chcesz dopasować oświadczyzny do Samanty, to powinieneś włożyć pierścionek do buły z kebabem.

Roześmiali się równocześnie. Patrząc z boku na trójkę przyjaciół, można było odnieść wrażenie, że to Laura z Antkiem nadają na tych samych falach, a podążająca kilka metrów za nimi blondynka znalazła się tu przez przypadek. Kiedyś tak właśnie było. Samanta nawet nie przepadała za Antkiem, wkurzało ją, że Laura wszędzie go ze sobą zabiera, dopiero kilka miesięcy po ich rozstaniu tych dwoje zaczęło zbliżać się do siebie.

– W sumie to trochę dziwne, że spiknąłeś się z moją najlepszą przyjaciółką – powiedziała. – Chyba nigdy poważnie o tym nie rozmawialiśmy. Samanta niby coś tam mnie zagadnęła, czy miałabym coś przeciwko, ale ty ani słowem się nie zająknąłeś.

– A to jakiś problem?

– Ludzie raczej tak nie robią, musisz przyznać.

Chłopak spojrzał przez ramię. Jeśli obawiał się, że Samanta ich podsłuchuje, to mógł odetchnąć z ulgą. Blondynka, skupiona na manifestowaniu obrazy z powodu wyrzuconych kanapek, zupełnie ich ignorowała.

– Jesteś zazdrosna? – spytał półszepem. – Teraz mi z czymś takim wyskakujesz?

– Nie jestem – odparła błyskawicznie. – To znaczy, chyba nie jestem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale jakoś nie potrafię wyobrazić sobie waszego ślubu.

– Laurka, no proszę cię, nie rób mi tego. I tak jestem cały zestresowany. Nie każ mi się zastanawiać, czy jednak mam u ciebie jakieś szanse.

– Co?! – Stała i odsunęła się od Antka. Gdyby nie Samanta, która właśnie podeszła, zdrowo by go ochrzaniła. Co on sobie myślał? Jak mógł wyskoczyć z takim tekstem? Na szczęście blondynka nie była dobra w umiejętnościach odczytywania emocji, przez co nie

zdała sobie sprawy, jak zrobiło się niezręcznie. Wciąż obrażona, obrzuciła ich tylko zimnym wzrokiem, po czym ruszyła dalej.

– Nie kłócić mi się tu, dziubaski – rzuciła na odchodne.

Żadne z nich jej nie odpowiedziało. Obserwująca ją para stała bez słowa, analizując wypowiedziane przed kilkunastoma sekundami słowa. Oboje najchętniej cofnęliby czas i zapomnieli o wszystkim, ale ktoś musiał zachować się jak dorosły. Antek nie wyglądał na gotowego do podjęcia rękawicy, Laura wzięła ten ciężar na siebie.

– To normalne, że masz wątpliwości – powiedziała ściszym głosem, choć Samanta już zniknęła za rogiem i nie mogła ich słyszeć. – Każdy miałby je na twoim miejscu.

– Teraz mam większe niż wcześniej.

– Wiem, że nie miałeś na myśli tego, co powiedziałeś. Tworzycie z Samantą świetną parę, skup się na tym.

– Łatwo powiedzieć. Wiesz, ile razy żałowałem, że się z nią związałem? Zrobiłem to tylko po to, żeby być blisko ciebie. Myślałem, że się wściekniesz, poczujesz się zazdrosna. Nie wiem, zrobisz cokolwiek, bym do ciebie wrócił. A ty nic, zupełnie cię to nie obeszło.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Bardzo mnie to zabolęło, ale co miałam zrobić?

– Cokolwiek. Dać mi choćby jeden sygnał. Bez mrugnięcia rzuciłbym Samantę i wrócił do ciebie.

Laura cofnęła się o krok. Nie chciała kontynuować tej rozmowy. Czułaby wtedy, że zdradza przyjaciółkę. Może ich relacji nie można było uznać za idealną, ale przecież znały się prawie od zawsze, spędzały razem mnóstwo czasu. Nie mogła zaprzepaścić tego pod wpływem impulsu, rozsądniej będzie trzymać chłopaka na dystans.

– Wybij to sobie z głowy – odparła.

– Przecież widzę, że też coś do mnie czujesz.

Skrócił dzielący ich dystans i chwycił ją za dłoń. Laura nie była w stanie się odwrócić. Czowała, że nie odmówi, jeśli chłopak klęknie i poprosi ją o rękę. To było irracjonalne, pewnie po kilkunastu minutach będzie tego żałować, ale...

– Stop! – krzyknął ktoś w korytarzu.

Oboje z Antkiem spojrzeli w stronę, skąd dobiegł ich męski głos.

– To ten psychol – stwierdził chłopak. – Ciekawe, czego chce.

– Raczej nie zamierza nas przeprosić.

Mężczyzna sprawiał wrażenie rozgniewanego. Szedł szybko, energicznie ruszając rękoma. Miał zaciśnięte pięści, jakby chciał ich zaatakować. Nawet jeśli wcześniejsza groźba Laury była bez pokrycia, to teraz naprawdę złożył na niego skargę.

– Dość tego – warknął nieznajomy, po czym chwycił ją za przedramię i pociągnął do siebie.

– Ej, to boli! – Próbowała wyswobodzić rękę, ale uchwyt był zbyt silny.

– To dopiero przedsmak prawdziwych wrażeń. Nie mogę dłużej słuchać tych melodramatycznych wywodów. Nie obchodzą mnie rozterki dzieciarni. To nic nie wnosi.

Już wołałem was nawalonych jak stodoły, przynajmniej wasza historia szybko się kończyła.

Drugą ręką chwycił Antka. Chłopak stawiał opór, ale też nie był w stanie się przeciwstawić. Jak na złość w korytarzu nie było nikogo, kto mógłby im pomóc.

– Idziemy – dodał tamten, ciągnąc ich w stronę promu.

Był zadziwiająco silny – albo im nagle ubyło energii. Laura nie potrafiła zaprzeć się nogami ani zrobić czegokolwiek, by go powstrzymać. Mogła uderzyć faceta wolną ręką, złapać się czegoś, coś jednak kazało jej być w pełni posłuszną. Może nieświadomie najadła się grzybków? Antek też zupełnie się poddał. Oboje grzecznie szli przed siebie. Nawet gdyby ich puścił, pewnie nie spróbowaliby ucieczki.

Bez słowa przeszli długim korytarzem, następnie weszli na pokład, minęli uśmiechnięty personel i skierowali się do wind, gdzie czekała już na nich Samanta. Dziewczyna nie wyglądała na zdziwioną obecnością pracownika odprawy. Wciąż była naburmuszona.

– Wejść – nakazał mężczyzna, po czym wepchnął ich do kabiny. To irracjonalne, ale w tej chwili Laura najbardziej się bała, że zdradzi Samancie temat ich rozmowy. – Nie chcę was więcej widzieć – dodał, po czym odsunął się, robiąc miejsce jeszcze jednemu pasażerowi.

Woźniak odruchowo przywarła do ściany. Znała go. Widziała go już wcześniej. Nie miała pojęcia, gdzie, ale tej świńskiej maski nie sposób pomylić z niczym innym.

– Udanej podróży – dodał mężczyzna, gdy zamykały się drzwi windy.

Rozdział X

Nawet nie próbowała się tłumaczyć, dlaczego potraktowała Karolinę jak kogoś obcego. Dziewczynka nie potrzebowała słów, tylko czynów, dlatego zamiast wymyślać usprawiedliwienia, po prostu mocno objęła małą i wtuliła twarz w pachnące truskawkowym szamponem włosy. Najchętniej poniosłaby ją na barana, ale kręgosłup mógłby tego nie wytrzymać.

– Przepraszam, kochanie – szepnęła łamiącym się głosem. – Babcia jest przy tobie i nigdy cię nie zostawi.

Wnuczka wciąż pociągała nosem. To musiało być dla niej traumatyczne przeżycie. Najpierw niezrozumiałe zachowanie ojca, później babci, która twierdziła, że jej nie zna – aż dziwne, że Karolinka tak dobrze się trzymała.

– To nie było śmieszne – odparła cichutko, mocno wtulona w Celinę, jakby w obawie, że ona znów ją zostawi.

– Wiem, przepraszam. Babcia jest już stara i coś jej się pomieszało w głowie. Postaraj się już o tym nie myśleć. Jest jeszcze szansa na kino i lody?

Nie dosłyszała odpowiedzi. Bała się, że wnuczka będzie chciała wrócić do mamy. To byłaby naturalna reakcja, niemniej Dorota i tak miała już dość zmartwień. Potrzebowała wsparcia, a nie kolejnego ciężaru, z którym musiałyby poradzić sobie sama.

– Ja to mam ochotę na ciepły jabłecznik z lodami waniliowymi – dodała Celina, choć w tej chwili nic nie przeszłoby jej przez gardło.

– Blee – odparła Karolinka.

– Jak to blee? To idealne połączenie.

– Jabłecznik jest blee. Lepiej do lodów dać podwójną bitą śmietaną. I posypkę. I sos czekoladowy. I na górę jeszcze jedną posypkę.

– Brzmi jak coś, po czym babcia nie będzie mogła wstać z łóżka. Podoba mi się!

Wyprostowała się i chwyciła drobną rączkę. Celowo unikała gwałtownych ruchów, choć dawna Celina energicznie klasnęłaby dłońmi i zapodała jakieś radosne hasło. Teraz wszystko mogło wystraszyć dziewczynkę. Na szczęście Karolinka była silna i odważna, strach pomyśleć, jak na jej miejscu zachowałyby się Paweł.

Wspólnie ruszyły korytarzem. Dopiero teraz Wichrowska odważyła się rozejrzeć po przestronnym pomieszczeniu. Nie rozumiała słów mężczyzny, który przywrócił jej pamięć. Była mu wdzięczna za pomoc, ale druga część jego wypowiedzi brzmiała zupełnie bez

sensu. Może użył jakiejś metafory, może Celina coś źle usłyszała, w końcu była zdezorientowana. Tak czy siak, nie zamierzała teraz tego rozpamiętywać, zwłaszcza że ten człowiek wrócił już do swoich obowiązków.

Po powrocie trzeba będzie zrobić badania, pomyślała. Nigdy nie przypuszczała, że dopadnie ją alzheimer czy inne schorzenie, które uniemożliwia rozpoznawanie najbliższych. Prędzej obstawiałaby kłopoty z sercem lub nowotwór. Robiło jej się słabo na samą myśl, że mogłaby zapomnieć twarze własnej rodziny, stracić kontakt z rzeczywistością, nie wiedzieć, gdzie jest. Przestać być sobą. To chyba najgorszy sposób pożegnania się z bliskimi. Po czymś takim śmierć człowieka jest ulgą dla wszystkich. Gdyby mogła wybrać, chciałaby umrzeć dokładnie tak jak Stasiu. Bez żadnej zapowiedzi, tak po prostu pójść wieczorem spać i już się nie obudzić. Tylko kto by ją znalazł? Ile czasu by upłynęło, nim Klaudiusz postanowiłby przyjechać i sprawdzić, dlaczego nie odbiera? Dzwonił dość często, więc raczej nie zdążyłaby solidnie przegnić i zaalarmować smrodem sąsiadów. Tyle dobrego z tej jego nadopiekuńczości.

Nie wiedziała, skąd wzięły się rozważania na temat choroby i śmierci, tak jak nie miała pojęcia, dlaczego nagle naszała ją ochota na lody. Nigdy nie była amatorką słodczy. Nie żeby jakoś specjalnie dbała o dietę, nic z tych rzeczy, ale jeśli już grzeszyła, to zdecydowanie wołała żeberka w piwie lub soczystą golonkę. Jak to mawiał Staś, z deserów najbardziej lubiła schabowego.

– Babciu, wolniej – usłyszała.

Odruchowo spojrzała w bok, spodziewając się zobaczyć jakąś emerytkę ciągnącą za sobą wnuczkę, tymczasem zdała sobie sprawę, że to ona trzyma za rękę małą dziewczynkę.

– Matko święta – szepnęła, cofając dłoń. – Dziecko, co ty tu robisz?

Mała wygięła usta w podkówkę. Patrzyła na Celinę z mieszaniną smutku, żalu i złości. Ta ostatnia nie pasowała do drobniutkiej twarzyczki, po której zaraz miały popłynąć łzy.

– Spokojnie – dodała Wichrowska, rozglądając się za jej opiekunami. – Nie bój się.

– To bez sensu – rzucił jakiś mężczyzna.

Wichrowska nie zauważyła, skąd przyszedł. Wyłonił się znikąd, po czym kucnął przy dziewczynce, chwycił ją pod pachy i uniósł wysoko.

– Dałem pani szansę – dodał gniewnym tonem. – Więcej tego błędu nie powtórzę. Żadnej ingerencji, żadnych kół ratunkowych. Radźcie sobie sami.

Nie zważając na protesty dziewczynki, ruszył w stronę windy. Mała coś krzyknęła, machała rączkami, ale nie miała siły wyrwać się z uścisku mężczyzny, który najwyraźniej był jej ojcem. Po chwili przestała stawiać opór. Wyglądała, jakby nagle opuściła ją cała energia. O smutku świadczyły tylko spływające po policzkach łzy.

– Też mi ojciec – westchnęła Celina. – Niektórzy nie powinni robić sobie dzieci.

Odprowadziła ich wzrokiem. Była przekonana, że mężczyzna wsiądzie z córką do windy, ten jednak wsadził małą do kabiny, a sam oddalił się korytarzem. Nawet na nią nie spojrział

ani nie pomachał jej na pożegnanie. Nim zamknęły się drzwi, do środka wszedł dziwnie wyrosnięty facet w masce na twarzy.

– Stasiu, Stasiu – westchnęła. – Sam widzisz, że już nie pasuję do tego świata. Co jeden, to dziwniejszy. Nie nadążam za tym wszystkim.

Wciąż miała ochotę na coś słodkiego. Co dziwne, była to ochota na słodzony napój oferowany podróżnym przez młodego chłopaka ubranego na pomarańczowo. O ile potrafiłaby znaleźć wyjaśnienie dla nagłej potrzeby zjedzenia ciepłej szarlotki z lodami, o tyle pociąg do napoju o chemicznym posmaku wydawał się zaskakujący. Im dłużej jednak o nim myślała, tym większe czuła pragnienie. Trochę z ciekawości, trochę z rozbawienia kaprysem organizmu, podeszła do młodziana i poprosiła o jeden.

– W butelkach nie macie? – zapytała, gdy wręczył jej zimną puszkę.

– Niestety, nie. Promocja obejmuje tylko napoje w puszkach.

– Ale to przecież musi strasznie zalatywać metalem.

– Bo ja wiem? Mnie tam smakuje.

– Zdziwiłabym się, gdyby powiedział pan inaczej. No nic, zobaczymy, co to za wynalazek. – Otworzyła puszkę i powąchała napój. – Pomarańczy to tu nie czuć – stwierdziła. – Sama chemia i metal.

– Gwarantuję, że wypije pani całość na miejscu i poprosi o jeszcze jedną.

Miły chłopak, stwierdziła. Dojdzie do czegoś w życiu. Klaudiusz w jego wieku nie wychodził nigdzie z domu, nawet do głowy by mu nie przyszło, żeby poszukać stażu czy praktyk, a tu proszę, inni już zarabiają pierwsze pieniądze.

Ostrożnie upiła łyk. Napój był przyjemnie chłodny i zadziwiająco pomarańczowy. Celina nie wiedziała, czego się spodziewać, ale z pewnością nie oczekiwała tak intensywnego smaku owoców. Gdyby nie wiedziała, co trzyma w ręku, pomyślałaby, że to gazowany sok pomarańczowy. Czując na sobie spojrzenie chłopaka, przechyliła mocniej puszkę i duszkiem opróżniła jej zawartość.

– Niesamowite – stwierdziła, z trudem powstrzymując się od beknięcia.

– Mówiłem, że pani podejdzie. Jeszcze jedna?

– No raczej. Coś pan do niej dosypuje?

– Jeśli już, to producent, ja przecież daję zamknięte opakowania.

Wzięła drugą puszkę. Gdyby nie poczucie sytości, pewnie otworzyłaby ją na miejscu i ponownie wypić duszkiem. Nigdy nie podejrzewała siebie o takie łaknienie. Zawsze miała problemy z regularnym zażywaniem płynów, było to uciążliwe zwłaszcza w ciepłe dni, gdy Klaudiusz nieustannie podsuwał jej szklanekę z wodą, a ona nie miała najmniejszej ochoty nic pić. Teraz będzie mądrzejsza i zaopatrzy się w mirindę.

– Jak mnie lekarz opieprzy za wysoki poziom cukru, to skieruję go do pana – zaśmiała się. – Na razie idę spalić trochę kalorii.

– Udanego seansu.

Odruchowo podziękowała. Dopiero po kilkunastu krokach zdała sobie sprawę, że chłopak życzył jej przyjemnego oglądania filmu, chociaż nie zamierzała iść do kina. Nie wiedziała nawet, że jest coś takiego na pokładzie. Musiało mu się coś pomylić, rozmawiał z mnóstwem pasażerów i pewnie ktoś wcześniej opowiadał, że ma ochotę coś obejrzeć. Dlaczego wobec tego poczuła potrzebę sprawdzenia repertuaru?

Nogi same poprowadziły ją do strefy dla dzieci, a później do pustej sali kinowej. Widok kolorowych pufów robiących za fotele nie wzbudził jej entuzjazmu. W takich warunkach nie usiedziałyby nawet pięciu minut. Prędzej położyłyby się na podłodze obok Karolinki i Pawła, pewnie przymknęłyby na chwilę oczy i ucięła sobie drzemkę. Zazwyczaj ceniła sobie umiejętność zasypiania w każdych warunkach, było to przydatne podczas podróży pociągiem do Krakowa czy w trakcie nielicznych męskich spotkań Stasia, gdy siedział do rana z kumplami i głośno śmiali się i przekrzykiwali. Ostatnimi laty jej supermoc była jeszcze bardziej przydatna, bo panowie nie młodzieli, a wraz z wiekiem pogarszał im się słuch, mówili więc i śmiali się jeszcze głośniej. Czasami zdarzały się jednak kłopotliwe sytuacje, jak chociażby podczas pokazu zdjęć Doroty i Sebastiana, kiedy to siedząc wygodnie w fotelu, nagle zaczęła chrapać.

Wspomnienie żartów ze strony zięcia, który podczas kolejnego pokazu puścił w tle kołysankę, zmroziło Wichrowską. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani jak tu trafiła. Ostatnie, co pamiętała, to droga ze smutną Karolinką i jej wyjaśnienia, na jaki deser ma ochotę. Co było potem? Dlaczego się rozdzieliły? Gdzie teraz była mała?

Spojrzała na ściskaną w dłoni puszkę. Jak przez mgłę kojarzyła uśmiechniętego chłopaka rozdającego napoje. Już wtedy nie było z nią Karolinki. Miały przecież razem pójść na lody, a potem do kina. Co się stało?!

– A widzisz? – Poderwała się na dźwięk głosu córki. – Mówiłam, że to tutaj.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak bardzo ucieszyła się na widok Doroty. No, może podobną reakcję wywołał piskliwy krzyk, gdy położna witała ją na tym świecie. Wtedy jednak Wichrowska była zbyt zmęczona, by świadomie przeżywać emocje.

Znalazła ją. Na pewno znalazła Karolinkę i razem szukały babci. Czekala ją połajanka ze strony córki, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Najważniejsze, że małej nic się nie stało.

– Babcia! – usłyszała radosny głos Pawełka.

Chłopiec ile sił w nogach podbiegł do Celiny. Kucnęła, by uściskać wnuka. Nie rozumiała, jak mogła o nim zapomnieć, przecież to taki słodki dzieciak. Potrzebował jej wsparcia. Matka skoczyłaby za nim w ogień, ale każde dziecko potrzebuje jeszcze kogoś. Zazwyczaj jest to ojciec, lecz Sebastian, delikatnie mówiąc, nie sprawdzał się w tej roli.

– To jak? – zapytał. – Jest *Spider-Man*?

– Jeszcze nie zdążyłam sprawdzić. Rozejrzyjmy się, pewnie gdzieś tu można znaleźć repertuar.

Nie czekając na babcię, chłopiec podbiegł do kontuaru i podniósł leżącą na ziemi kartkę. Miło było widzieć wnuka ogarniętego takim entuzjazmem. Celina bała się, że przez całą podróż będzie chodził przygaszony, a tu taka niespodzianka. Oby tego nie popsuł. Dorota i tak już za dużo przeszła. Najpierw nieodpowiedzialne zachowanie męża, a później jeszcze bardziej nieodpowiedzialne zachowanie matki. Aż dziwne, że nie wytrącało jej to z równowagi.

– Nie ma – stwierdził Paweł. W jego głosie nie słychać było smutku. – Są za to *Minionki*. Możemy to obejrzeć?

Celina wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, na jakiej zasadzie funkcjonowało kino. Nigdzie nie dostrzegła harmonogramu wyświetlanych filmów, więc może to widzowie decydowali o repertuarze. Jeśli tak, to jako jedyni chętni mogli wybierać do woli.

Spojrzała na rozglądającą się po sali córkę. Jej zaniepokojona mina nie zwiastowała niczego dobrego.

– Gdzie Karolinka? – zapytała, podchodząc do Celiny.

Tego pytania Wichrowska bała się najbardziej. Kurczowo chwyciła się nadziei, że Karolinka odnalazła mamę, przez co zamiast od razu wszcząć alarm, udawała, że wszystko jest w porządku.

– Nie ma jej z wami? – odparła, choć znała odpowiedź.

– Nie rozumiem. Przecież wyszłyście razem. Puściłaś ją samą do łazienki?

– Ja... – Nie potrafiła dokończyć zdania. Nie powie przecież, że na chwilę straciła pamięć. To teraz nie miało znaczenia. – Nie wiem...

Na twarzy Doroty pojawiło się zaniepokojenie. To jeszcze nie był strach, ten za chwilę rozgości się tam na dobre. Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć, że jej matka zgubiła wnuczkę.

– Jak to nie wiesz? – zapytała spokojnie. Lata spędzone z wrażliwym na głośne dźwięki synem nauczyły ją trzymać nerwy na wodzy. – Co się stało? Gdzie jest Karolina?

– Byłyśmy razem. Potem przyszedł ten mężczyzna, Artur, i ją zabrał. Wsiedli razem do windy, to znaczy on ją wsadził do windy i poszedł. Chyba myślałam, że jest jej ojcem. Potem wsiadł ten olbrzym w masce...

Słyszała bełkot wydobywający się z jej ust. Mówiła bez ładu i składu. Sama tak naprawdę nie wiedziała, co się stało, kojarzyła jedynie wyrywki, niczym na pokazie slajdów. Raz była z Karolinką, później jej nie było, potem znowu była, a na koniec Celina znalazła się sama w sali kinowej. Co wydarzyło się po drodze? Czy rzeczywiście oddała wnuczkę obcemu mężczyźnie? Jeśli tak, to dlaczego mała nic nie mówiła? Dlaczego nie wzywała pomocy? Przecież wokół kręciło się mnóstwo ludzi!

– O czym ty mówisz? – syknęła Dorota. – Jaki znowu Artur? Jaka maska? Co się stało? Spotkaliście Sebastiana?

– Przepraszam. Ja...

Poczuła pieczenie w przetyku. Bolało i uniemożliwiało dokończenie zdania. Przypominało zgagę, ale było wielokrotnie silniejsze.

– Mamo! – ponagliła ją córka. – Gdzie jest Karolina?

Nie miała siły odpowiedzieć. Szczytem jej możliwości było złapanie oddechu, choć to też kosztowało ją coraz więcej wysiłku. Musiała powiedzieć Dorocie, by odszukała kapitana promu i zapytała go o Karolinę. Powinna też ostrzec ją przed olbrzymem w masce świni, który w ostatniej chwili dosiadł się do małej, tylko jak miała to zrobić? Nawet w pełni sił nie potrafiłaby pokazać tego gestem; była beznadziejna w kalamburach, zarówno jako osoba zgadująca, jak i pokazująca. Trochę lepiej radziła sobie z rysowaniem, ale przecież nie narysuje świńskiej maski. Córka i tak patrzyła na nią jak na wariatkę, po czymś takim nie będzie już traktować jej poważnie.

– Mamo, do cholery! Co się stało?

Podniesiony głos matki sprawił, że Paweł upuścił kartkę z tytułami filmów. Dorota nawet na niego nie spojrzała. Zazwyczaj reagowała na każdy sygnał wysłany przez chłopca, teraz patrzyła tylko na walczącą o oddech Celinę, która zgubiła Karolinę.

– Ja... – próbowała powiedzieć Wichrowska, ale jej głos świszcział i chrypiał, a po wydobyciu z siebie tej jednej sylaby zaczęła kaszleć. Zgięła się wpół i potarła bolące coraz bardziej gardło, po policzku popłynęła jej łza.

Wiedziała, że nie będzie w stanie nic przekazać córce. Zamiast tego podeszła do wnuka, podniosła zalaminowaną kartkę i oparła się o kontuar. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Potrzebowała chwili, by uspokoić oddech i drżące dłonie, a jednak się to nie udało. Ponownie zaczęła kaszleć, do oczu napłynęły jej łzy. Jęknęła cicho i powoli wyciągnęła rękę w stronę leżących na blacie flamastrów. Chwyciła jeden, otworzyła i przycisnęła końcówkę do śliskiej powierzchni kartki. Nie zastanawiała się, co napisać, słowa same z niej wypłynęły, niosąc ze sobą powrót wszystkich wspomnień. Pamiętała swoje dzieciństwo, rodzinny dom regularnie atakowany przez miejscową hołotę, niezadowoloną z faktu, że jako jedyni nie uczęszczali co niedzielę na mszę świętą i nie ochrzcili córki. Pamiętała pierwsze spotkanie ze Stasiem, drugie spotkanie ze Stasiem, trzecie spotkanie ze Stasiem i wreszcie czwarte spotkanie ze Stasiem, podczas którego jej się oświadczył. Pamiętała zatroskane miny rodziców, przeprowadzkę, ślub i narodziny Klaudiusza. Potem wszystko poszło już z górki.

– Co się dzieje? – spytała Dorota.

Pomimo bólu i problemów z oddychaniem Wichrowska uśmiechnęła się szeroko. Wreszcie wszystko zrozumiała. Wreszcie wszystko zyskało sens. Wreszcie sprzeczne wspomnienia, zamiast ze sobą kolidować, grzecznie ustawiły się obok siebie. Życie z Klaudiuszem nie przekreślało życia z Dorotą. Małżeństwo z troskliwym Stasiem nie zaprzeczało małżeństwu z oschłym Stasiem. Fakt posiadania dwójki wnucząt nie kłócił się z ich brakiem. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, obie rzeczywistości współgrały ze sobą.

Wręczyła córce kartkę.

– Artur? – przeczytała Dorota. – Jaki znowu Artur?

W odpowiedzi Wichrowska wskazała dalszą część lakonicznej wskazówki.

– Sebastian, Laura, Celina. Nie rozumiem. Gdzie Karolinka?

Celina ponownie wskazała imię pracownika dokonującego odprawy, będącego jednocześnie kapitanem promu i pełniącego zapewne wiele innych funkcji. Nie łudziła się, że to w czymś pomoże. Nie teraz. Było już za późno na uratowanie dziewczynki, ale kolejnym razem może się udać. Najważniejsze, by Dorota z Pawełkiem wyszli z sali kinowej, dzięki czemu szybciej będzie można zakończyć ich obecną historię.

– Nic z tego nie rozumiem – dodała Dorota. – Poczekaj tu, mam, nigdzie się nie ruszaj. Gdzie, do cholery, jest Sebastian?

Chwyła Pawła za rękę i pociągnęła w stronę korytarza. Chłopiec nie zaprotestował. Wystraszony sytuacją podążał za matką jak na ścięcie. Niestety, to porównanie było bardzo trafne.

Wichrowska odłożyła kartkę z zapisaną przez nią wiadomością na kontuar, po czym rozejrzała się po pomieszczeniu. Musiała działać szybko. Była coraz słabsza, a mężczyzna w masce się zbliżał. Co do tego nie miała wątpliwości.

Jak przystało na strefę przeznaczoną dla dzieci, nie znalazła żadnego ostrego przedmiotu. Teoretycznie mogła spróbować przejść do sąsiedniego pomieszczenia, ale podświadomie czuła, że to właśnie tutaj powinna rozegrać się następna scena. Z jakiegoś powodu sala kinowa przyciągnęła ją, Sebastiana i ich oprawcę. To nie mógł być przypadek, to miejsce miało odegrać swoją rolę, ale ona jeszcze nie wiedziała jaką.

Pochyliła się, by sprawdzić zawartość szuflady umieszczonej pod blatem kontuaru. Gwałtowny ruch wywołał ponowny kaszel, który jeszcze bardziej rozognił ból gardła. Mało brakowało, a przez mgłę w oczach, wywołaną napływającymi łzami, przeoczyłaby nożyczki upchnięte pod paczką folii do laminowania. Nie wiedziała dlaczego, ale była przekonana, że Artur zostawił je tam specjalnie na tę okazję.

Na odgłos ciężkich kroków powoli podniosła wzrok. Wystarczyło jedno spojrzenie na olbrzyma w masce, by przypomniawszy sobie ich poprzednie spotkanie. Była wówczas na zewnętrznym pokładzie, przez chwilę myślała, że wreszcie spotkała się ze Stasiem, ale prawda była zdecydowanie mniej romantyczna. Wtedy jeszcze nie pamiętała niczego, mimo to podjęła jedyną słuszną decyzję i odebrała sobie życie.

Monstrum powoli skracало dzielący ich dystans. Z każdym jego krokiem dźwięki otaczające Celinę traciły na intensywności. Po chwili nic już nie słyszała. Trochę tego żałowała, chciałyby usłyszeć pewność w swoim głosie, zdecydowanie i siłę, która zdziwiłaby olbrzyma w obłej masce.

– Cześć, synku – powiedziała, taką przynajmniej miała nadzieję. – Bądź, proszę, dla nich delikatny.

Skończywszy zdanie, podniosła rękę, w której ścisnęła nożyczki, i pewnym ruchem wbiła sobie w bok szyi. Nie bała się bólu. Nie bała się powolnej śmierci. Nie bała się

wpatzonego w nią Klaudiusza. Żałowała, że nie zdjął maski, by się z nią pożegnać, ale czuła, że jeszcze przyjdzie na to czas.

Rozdział XI

Miał złe przeczucia. Nie potrafił sprecyzować, czego konkretnie się obawia, ale przez cały dzień towarzyszył mu dojmujący niepokój. Było to tym dziwniejsze, że od wielu dni ekscytował się rejsem do Szwecji i tym, co wtedy będzie robił z Dorotą. To w końcu ich piętnasta rocznica ślubu. Nie mogli pozwolić sobie na szaleństwo w trakcie podróży poślubnej czy pierwszych rocznic, potem pojawiły się dzieci i uniemożliwiły jakiegokolwiek dalsze eskapady, więc teraz szarpnęli się na coś ekstra. Dzieciaki będą bawić się pod okiem babci, a dorośli przynajmniej przez chwilę poczują niczym nieskrępowaną wolność. Skąd wobec tego wątpliwości, czy powinni wejść na pokład?

– Masz szczęście, że nie wyglądałeś tak piętnaście lat temu – skomentowała Dorota. – Patrząc na tę minę smutnego buldoga, pomyślałabym, że żenisz się za karę.

– Chyba skapcianałem – odparł, zmuszając się do uśmiechu.

– Masz jeszcze większe szczęście, że piętnaście lat temu nie rzucałeś takimi tekstami. Kochany, nie chcę słyszeć, jaki jesteś stary i jak bardzo ci się nie chce, bo poszukam sobie kogoś z większym wigorem.

Dostrzegł uśmiech na twarzy stojącego za nimi mężczyzny. Byli w zbliżonym wieku, ale na tym podobieństwa się kończyły. Sebastian był wyższy, ubierał się lepiej, miał postawniejszą sylwetkę, więcej włosów na głowie, a przede wszystkim piękną żonę i wspaniałe dzieci. Chętnie wytknąłby to nieznanemu i podkreślił, że ten może tylko marzyć o takim życiu. Zamiast tego zignorował go.

– Kuszą cię jurni masażyści? – zapytał, wracając wzrokiem do żony.

– Liczba mnoga? Nie zastanawiałam się nad tym, ale masz rację, wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

Nieznajomy otworzył szeroko oczy, jakby brał ich rozmowę na poważnie. Sebastian miał ochotę zwrócić mu uwagę, że nieładnie jest podsłuchiwać, a jeśli już ktoś czuje taką potrzebę, to powinien robić to dyskretniej, a nie gapić się jak szczur na ser. Bo tym właśnie był. Cholernym szczurem.

Sebastian pokręcił głową. Nie miał pojęcia, skąd w jego głowie wzięły się podobne myśli. Nie znał gościa, nie miał powodu, by go nie lubić, a przed chwilą czuł do niego wręcz coś na pograniczu nienawiści.

– Żartowałam – dodała Dorota, opacznie odczytując powód jego zakłopotania. Znacznie lepiej poradziła sobie z przekierowaniem jego myśli. Wystarczyło, że położyła obie dłonie

na klatce piersiowej męża i czule go pogładziła, by zapomnieć o obserwującym ich mężczyźnie. Zawsze go to uspokajało. – Nie jesteś chyba zazdrosny?

– Ja? – Zaśmiał się. – Wystarczy, że spojrzę w lustro, by zyskać pewność, że lepszej partii nie znajdziesz.

– No... – Przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy, uważnie mu się przyglądając. – Tu i ówdzie można by parę rzeczy poprawić.

– Nie bluźnij. – Pocałował żonę w usta. Jego dłonie odruchowo powędrowały w stronę jej pośladków. O ile mocno przesadził na swój temat, o tyle o figurze Doroty mógł mówić wyłącznie w samych superlatywach. Była wprost olśniewająca. Uwielbiał każdy centymetr jej ciała. Nie potrafiłby wskazać, czy bardziej podniecają go kształtne piersi, których nie zdołała zniszczyć dwójka dzieci – choć swego czasu Karolinka ich nie oszczędzała – jędrne pośladki, płaski brzuch czy zmysłowe uda. Miał niebywałe szczęście, że przed laty w ogóle zwróciła na niego uwagę.

Odsunął się, by podziwiać jej śliczną twarz. Widok wciąż wpatzonego w nich mężczyzny popsuł mu jednak nastrój.

– Gościu – rzucił. – To już przesada. Przestań się gapić, co?

Nieznajomy zrobił zdziwioną minę, jakby nie widział w swoim zachowaniu nic złego.

– Kochanie. – Dorota pokręciła głową, po czym odwróciła się do nachalnego typka i dodała miłym głosem: – Przepraszamy, trochę się stresujemy podróżą.

Zawsze tak było. Zawsze, zamiast go wspierać, stawała po drugiej stronie. Winny nie był buc, który zajechał mu drogę, o nie, zły był Sebastian, który niepotrzebnie wcisnął klakson. To nic, że dostawca spóźnił się o dobrą godzinę i przywiózł zimne jedzenie. Problemem był Sebastian, który żądał zwrotu pieniędzy. Czasami odnosił wrażenie, że Dorota współczułaby nawet złodziejom, którzy ich okradli, a których Sebastian miał czelność zgłosić na policję.

– No gapi się ciągle, debil jeden – warknął.

– I co z tego? – zapytała cicho. – Daj spokój.

– Co „daj spokój”? Niech on da spokój. Życiowy nieudacznik.

Nie rozumiał, skąd ta złość. Powinien raczej śmiać się z niedojdy, który z pewnością na lekcjach WF-u zawsze był wybierany jako ostatni i przypadała mu w zaszczytcie rola bramkarza. Zachowanie faceta było de facto komplementem dla Sebastiana, dowodem uznania dla jego pięknej żony i cudownej rodziny, dlatego więc aż się w nim gotowało, by strzelić frajera w pysk? To nie w jego stylu. On nawet nie zwykł używać takich określeń wobec ludzi.

– Spójrz lepiej na Pawła – powiedziała Dorota, wskazując dziesięciolatka wpatzonego w plakat z dwiema uśmiechniętymi stewardesami. Obserwując go, można by odnieść wrażenie, że niczym napalony nastolatek podziwiał kształty modelek upiększonych w programie komputerowym, ale oboje z Dorotą wiedzieli, że w rzeczywistości chłopca

interesowała konstrukcja widocznego w tle promu. – Myślisz, że można gdzieś zamówić taki model do sklejania?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Nie wiem też, czy to dobre hobby dla dziesięciolatka.

– Oj, nie marudź. Ciesz się, że nie traci czasu przed komputerem.

– Zamiast tego ślęczy zgarbiony nad biurkiem, wdychając klej i farby. Po prostu nie chcę, by wyrósł na dziwaka, jak ten z tyłu. Po co w ogóle samotny facet płynie do rodzinnego parku rozrywki? Co on, chce dzieci podglądać?

– Przesadzasz.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę, że gość mnie irytuje.

Kolejka przesunęła się do przodu. Od okienka dzieliła ich już tylko jedna rodzina, co, wzięwszy pod uwagę dotychczasowe tempo obsługi, powinno oznaczać około pięciu do dziesięciu minut oczekiwania. Tyle wytrzyma. Później nie chce widzieć tego człowieka na oczy.

– Przepraszam – dodał. – Z dwojga złego chyba wolisz niebezpiecznego łobuza od smutasa, którym byłem od rana.

– A czemu mam wybierać między dżumą a cholera? Chcę mojego Sebastiana.

– Obiecuję, że się zaraz ogarnę. Po prostu chcę już wejść na prom i odciąć się od wszystkiego. Poszukam też tego modelu do sklejania, boję się jednak, że może być jeszcze za trudny dla Pawła.

Nigdy nie wierzył w karmę, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że świat zrewanżował mu się właśnie za zmianę nastawienia. Ledwo skończył zdanie, a zwolniło się miejsce przy okienku. Jakby tego było mało, stojąca przed nimi rodzina chyba o czymś sobie przypomniała i przepuściła Możdzeniów. Sebastian nie wnikał w powód ich decyzji, najważniejsze, że oddalił się od namolnego typu.

– Trzymaj – powiedziała Dorota, wręczając mu dokumenty całej piątki. – Idę po mamę i dzieciaki. Zaczynij bez nas, tylko bądź uprzejmy dla pracownika.

Nie skomentował złośliwości. Zasłużył sobie na to. Żona i tak potraktowała go ulgowo. Mogła mu zrobić awanturę, ale ktoś w tym małżeństwie musiał zachować rozsądek, inaczej ich piętnasta rocznica ślubu upłynęłaby pod znakiem ciągłych kłótni.

Podszedł do okienka szczerze uśmiechnięty. Może nie tryskał entuzjazmem jak kilka dni temu, lecz czuł się zdecydowanie lepiej niż jeszcze przed godziną.

– Dzień dobry. – Podał dokumenty podstarzałemu pracownikowi obsługi siedzącemu po drugiej stronie szyby. Spodziewał się kogoś młodszego, ale facet do tej pory radził sobie wyśmienicie, więc Sebastian nie miał zamiaru wydziwiać.

Mężczyzna wyprostował się na krześle, po czym wychylił się i spojrzał ponad ramieniem Sebastiana.

– Widzę, że rodzinka w komplecie – stwierdził. – To dobrze, to bardzo dobrze.

– Taaak – odparł Możdzeń, zdziwiony jego słowami. – Zaraz żona ich tu zagoni.

– Nie ma takiej potrzeby. Najważniejsze, żeby miał ich pan na oku. Nie chcę powtórki z rozrywki. Czas na zabawę się skończył, pora robić postępy.

Bez spoglądania na dokumenty sięgnął po wydrukowane wcześniej karty pokładowe i przesunął je w jego stronę. Moźdzeń nie wiedział, jak interpretować te słowa. Być może to jakiś dziwny żart, bardziej prawdopodobne jednak, że mężczyźni coś się pomyliło, więc bez słowa chwycił wydrukowane bilety.

– Mówię poważnie – dodał tamten, nie puszczając dokumentów. – Trzymaj się rodziny, nie spuszczaaj ich z oczu. Jak nie zrobisz postępu, to pożałujesz.

– Trochę się pan zapędził...

– Ty się nigdzie nie zapędź, bo znowu się pogubisz. Pał sześc Dorotę, ona odgrywa drugorzędną rolę. Skup się na dzieciach. One teraz są najważniejsze.

Sebastian wyrwał mu z dłoni karty pokładowe. Ten dziwny facet prowadzący odprawę wzmógł w nim poczucie niepokoju. Wróciło męczące go od rana wrażenie, że wydarzy się coś złego. Mógł sobie powtarzać, że to króciutki rejs, że nawet jeśli napotkają sztorm, to na tak ogromnym promie będzie on ledwie odczuwalny, że jedyną niedogodnością jest wczesna pobudka, mimo to miał ochotę odwrócić się na pięcie i wrócić do domu.

Czuł, że powinien coś odpowiedzieć. Mężczyzna patrzył na niego przekrwionymi oczami. Emanowała z niego niczym nieuzasadniona wrogość. Im dłużej Sebastian mu się przyglądał, tym bardziej ten człowiek wydawał mu się znajomy. Może już gdzieś się spotkali? Może się pokłócili? Tylko gdzie? Pracowali razem w drukarni? Kręciło się tam mnóstwo dziwnych osób. Może tamten stracił przez niego robotę?

– Nie odpływaj myślami – dodał mężczyzna. – Chwila nieuwagi i wszystko weźmie w łeb.

Sebastian spojrział przez ramię na Dorotę. Żona wciąż nakłaniała dzieciaki, by wzięły swoje bagaże i podeszły do drzwi. O ile Paweł grzecznie stanął przy walizce, o tyle Karolinka udawała, że nie słyszy matki. Jak znał upór córki, walka mogła potrwać dłuższą chwilę.

Wrócił wzrokiem do podstarzałego pracownika linii rejsowych.

– O co ci chodzi, człowieku? – warknął. – Naćpałeś się?

– Dobrze, że o tym wspomniałeś. – Mężczyzna potarł oko. – Masz absolutny zakaz picia alkoholu. Pełna abstynencja, rozumiesz?

– Zrób sobie przerwę, człowieku, albo najlepiej idź do domu. Masz szczęście, że obiecałem coś żonie, w przeciwnym razie inaczej byśmy teraz rozmawiali.

Już miał odejść od okienka, gdy facet wychylił się i złapał go za rękę.

– Skończ z tym duszeniem – powiedział stanowczo. – W ten sposób do niczego nie dojdiesz. Po coś przecież wzięłeś taką wielką walizkę.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Facet bredził. Sebastian odwrócił się i podszedł do Doroty. Oddalając się od okienka, czuł na sobie wzrok wariata za szybą. Wiedział, że nie powinien rozpamiętywać jego słów, że to wynurzenia szaleńca, mimo to utkwiał wzrok

w opartej o ścianę walizce. Rzeczywiście była wielka, ale jej zawartość w głównej mierze to ubrania niepotrzebnie wepchnięte tam przez Dorotę. Spakowała mnóstwo zapasowych bluzek, spodni, butów, jakby wyjeżdżali co najmniej na tydzień.

– Ferajna! – zakrzyknął, odganiając niepokojące myśli. – Co to za ociąganie się? Brać bagaże i wchodzimy na pokład. Kto się nie dostosuje, idzie spać głodny. Takie zasady panują na morzu!

Dorota uśmiechnęła się, jak to kobieta obserwująca zabawę męża z dziećmi. Mina pełna miłości i rozczulenia była najlepszą nagrodą dla Sebastiana. Koniec marudzenia. Koniec smętów. Koniec przejmowania się głupotami.

– Mamy pierwszą kandydatkę! – dodał, poklepując Karolinę po plecach. – Szkoda, słyszałem, że na pokładzie podają wybitne lody. Dziś jest wyjątkowy dzień, więc nie ma żadnych limitów. Żal by było zmarnować taką okazję.

Mrugnął porozumiewawczo do żony. Nie ustalili tego wcześniej. Dorota była zwolenniczką zdrowego odżywiania, równocześnie sprzeciwiała się przekupstwu, niemniej piętnasta rocznica ślubu rządziła się swoimi prawami.

– Nawet na toffi? – zapytała dziewczynka.

– Na toffi, krówki, karmel, a dla taty na słony karmel.

– Tak!

Poderwała swoją walizkę, jakby ta zamiast ubraniami i książeczkami była wypełniona samym powietrzem. Starszy o rok Paweł ruszał się znacznie wolniej. Chłopiec wyglądał, jakby rozwiązywał trudne zadanie matematyczne, choć w rzeczywistości pewnie zastanawiał się, czy lepiej zjeść tort czekoladowy, czy ogromny deser lodowy, bo znał ograniczenia swojego żołądka.

– Widzisz, cukier już dodał im energii – zaśmiał się Moźdzeń.

– A nie musimy wszyscy podejść do okienka? – zapytała Dorota.

– Na szczęście nie. Koleś z obsługi jest chyba naćpany. Chodźmy stąd, chcę jak najszybciej rozpocząć świętowanie.

Chwycił dwie najcięższe walizki i ruszył za dziećmi. Wiedział, że nie powinien przejmować się słowami dziwaka, ale wolał mieć młodych na oku. Przynajmniej przez najbliższe dwie, trzy godziny, później w całości poświęci się Dorocie.

– Wiesz, że jak się objedzą cukrem, to nie będą mogli zasnąć? – zapytała.

– To już problem twojej matki – zaśmiał się. Widząc niezadowoloną minę żony, dodał: – Przecież i tak chcieliśmy pozwolić im trochę poszaleć. Nic się nie stanie, jeśli pójdą spać później niż zwykle.

– Niby nie, ale pamiętaj, że czeka nas wczesna pobudka. Jak się nie wyśpią, to jutro nie będą miały siły na zabawę.

– O to będziemy się martwić później.

Udawał bez troskę, ale argumenty żony do niego przemówiły. Nie pomyślał o tym wcześniej. Chciał tylko zobaczyć uśmiechy na twarzach dzieci, by wyrzucić z głowy

wszystkie troski i wątpliwości.

– Ten koleś z kolejki wciąż się na nas gapi – stwierdziła Dorota.

Nic na to nie odpowiedział ani nie spojrzał na wścibskiego mężczyznę. Czuł, że jeśli napotka jego spojrzenie, nie zdoła utrzymać nerwów na wodzy i przywali mu w twarz. By nie zrujnować rodzinnego wypadu, przyspieszył kroku i razem z dziećmi przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Karolinka najwyraźniej odczytała jego zachowanie jako zaproszenie do wyścigu, kto pierwszy dotrze do kajuty, bo po chwili wyrwała do przodu, jakby tylko zwycięzca mógł się cieszyć nielimitowanym dostępem do słodkości.

Objuczony ciężarem z trudem dotrzymywał jej tempa. Gdy dotarli do schodów, spojrzał przez ramię w nadziei, że żona lub teściowa wyręczą go w rywalizacji z dziewczynką. Nie chciał spuszczać jej z oczu, a z walizkami nie będzie w stanie wspiąć się na schody z narzuconą przez nią prędkością.

– Chwila – rzucił zasapany.

Karolinka go zignorowała, wręcz przyspieszyła kroku. Nawet z dwiema ciężkimi walizkami powinien móc bez problemu ją przegonić, czuł jednak, jak z każdym krokiem bagaże coraz mocniej dociskają go do ziemi. Był przekonany, że wcześniej nie były takie ciężkie.

Przypomniawszy sobie słowa pracownika obsługi, który wspominał o zawartości jego walizki. Wówczas go zignorował, uznał, że coś mu się pokręciło, teraz jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że gdzieś po drodze dorzucono mu coś do bagażu. Wielokrotnie słyszał historie o narkotykach wrzucanych potajemnie do walizek podróжных, ale takie rzeczy kojarzyły mu się z krajami Ameryki Południowej. Poza tym przy walizkach cały czas ktoś się kręcił, nie było szansy, by niepostrzeżenie coś do nich podłożono. Zamiast szukać powodu rzekomego zwiększenia ciężaru bagaży, powinien martwić się swoim osłabieniem, przez które tak szybko się zmęczył. Najwyraźniej kiepskie samopoczucie psychiczne odbiło się na jego kondycji. A może brało go jakieś choróbko? Może lepiej wrócić do domu, żeby nie rozłożyło go na pełnym morzu?

Nie szukaj okazji, skarcił się w myślach. To twoja cholerna piętnasta rocznica ślubu. Wszystko ma być idealnie.

– Gdzie Karolinka? – usłyszał głos żony.

Wyciągnął rękę, by wskazać dziewczynkę wyprzedzającą go o kilka stopni, ale tam nie było już nikogo.

– Leć za nią – odparł. – Ja się strasznie zasapałem.

– Puściłeś ją samą? Serio?

Wyminęła Sebastiana i ruszyła na górę. W innych okolicznościach skomentowałby, jak apetycznie opinają się jej spodnie na pośladkach, ale to nie była pora na sprośne żarty. Co gorsza, najprawdopodobniej prędko taka nie nadejdzie.

– Kochanie! – usłyszał podniesiony głos Doroty. – Poczekaj na nas, przecież wiesz, że nie możesz się sama oddalać.

– Przecież czekam! – odparła dziewczynka. W jej głosie słychać było wyraźną nutkę pretensji.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie oddalaj się. Prom jest pełen ludzi, łatwo tam się zgubić. Masz cały czas być przy nas, zrozumiano?

Sebastian odprowadził wzrokiem Alinę i Pawła wspinających się po schodach. Sam też powinien już się ruszyć, ale czuł, że w obecnym stanie będzie musiał zrobić co najmniej jeden przystanek, toteż wolał jeszcze chwilę odsapnąć. Nie rozumiał, skąd takie zmęczenie, dopiero co śmiał się z siebie, że skapcانياł, ale bez przesady, to tylko dwie walizki! Powinien wnieść je na górę, nawet jeśli byłyby wypełnione cegłami.

Stęknął, podnosząc bagaż, po czym ruszył po schodach. Gdzieś powinna znajdować się winda dla osób starszych i niepełnosprawnych, ale już widział minę Doroty, gdyby zobaczyła go w towarzystwie roześmianych emerytek. Przytykom nie byłoby końca, a on dziś był dziwnie przewrażliwiony, wolał więc nie wystawiać swojej cierpliwości na kolejną próbę.

– Tata chyba nie chce lodów – zaśmiała się Karolinka, gdy zasapany dołączył do nich.

– Dziecko – westchnął. – W tej chwili o niczym innym nie marzę. Kapiel, lody, zimne piwko.

– Dla ciebie to raczej koktajl warzywny, kochanie – skomentowała Dorota.

– Aż tak mnie nienawidzisz? – zaśmiał się. – W ogóle to coś ty naładowała do walizek? Toć to waży z tonę!

– Najpotrzebniejsze rzeczy. Jak nie masz siły, to ja je wezmę.

– Na płaskim każdy może ciągnąć walizy. Trzeba było przejąć się biednym mężem tam na dole. Moje plecy i ramiona potrzebują długiego masażu.

Postawił bagaże na ziemi i ciągnąc je, ruszył korytarzem prowadzącym bezpośrednio na prom. Milczeniem pominął fakt, że czuł opór niczym samochód osobowy holujący wrak ciężarówki. Dorota i tak pewnie stresowała się, że zapomniała spakować czegoś ważnego. Ciekawe, jak się zachowa, gdy któreś z dzieci zdecyduje się na samodzielny wyjazd na kolonie.

Walizki stawały się coraz cięższe. Momentami miał wręcz wrażenie, że ktoś ciągnie je w przeciwną stronę. Pokonał zaledwie kilka metrów, a już bolały go mięśnie ramion i pleców. Nie da rady dociągnąć ich do kabiny. Dorota i Alina były za słabe, by poradzić sobie choćby z jedną... A może zostawi tę lżejszą pod ścianą, a potem po nią wróci.

Już miał poinformować o swoich planach żonę, gdy odłamało się jedno z kółek największej walizki.

– No i masz! – warknął. – Było tyle tego tam ładować?!

Zdziwione miny Karoliny i Pawła uświadomiły mu, że powiedział to zbyt głośno. Nawet jeśli racja była po jego stronie, to formą przekazu wytrącił sobie argumenty z rąk. Zamiast przyznać się, że przesadziła, Dorota skupi się na podnoszeniu głosu w obecności dzieci, co w ich domu było niedopuszczalne.

– Następnym razem sam nas spakujesz – odparła spokojnie. – Łatwo narzekać, trudniej wziąć na siebie odpowiedzialność. – Podeszła do Sebastiana i dodała: – Daj mi tę mniejszą, z jedną uszkodzoną chyba sobie poradzisz, czy moja mama ma ją zanieść za ciebie?

Nie czekając na reakcję męża, złapała za uchwyt i pociągnęła walizkę. Sebastian spodziewał się, że nie da rady nawet ruszyć z miejsca, tymczasem szła w takim tempie, jakby nie czuła najmniejszego oporu. Dobrze, że nie miała zapędów feministycznych, w przeciwnym razie nasłuchałby się andronów o prawdziwej sile kobiet, ich wytrzymałości i o tym, że żaden facet nie zniósłby trudów porodu.

Schował do tylnej kieszeni spodni oderwane kółeczko, po czym oburącz pociągnął walizkę. Zdziwiony, stwierdził, że nie czuje różnicy względem targania dwóch bagaży. Znow miał wrażenie, że bierze udział w zawodach strongmanów.

– Może ja się tym zajmę, tatusiu? – zapytała rozbawiona sytuacją Karolinka.

– Ty też przeciwko mnie? Dopiero co załatwiłem ci Nielimitowany dostęp do pustych kalorii. Mogłabyś okazać odrobinę wdzięczności.

– Jestem za mała, by znać takie słowa, tatusiu.

Rezolucja małej była rozczulająca. Jeszcze chwila, a jego słodki aniołek zmieni się w wiecznie naburmuszoną nastolatkę, która w najlepszym wypadku zacznie traktować ojca jak powietrze. Wówczas będzie wracał wspomnieniami do takich dni, toteż musiał wycisnąć z nich jak najwięcej.

– Patrz na to! – zawołał za córką. Rozłożył ręce i napiął bicepsy niczym bokser w trakcie ważenia przed walką. Na szczęście miał luźną koszulę zakrywającą wątpliwej wielkości muskuły, ale waleczną miną mógłby konkurować z niejednym wojownikiem. – W młodości mówili na mnie Arnold, kiedyś ci wyjaśnię dlaczego.

Postawił wszystko na jedną kartę. Albo podoła wyzwaniu i podniesie ciężką walizkę, albo utrwali w pamięci córki wizerunek ojca ofiermy. Zamierzał unieść bagaż nad głowę i rzucić jakimś chwytliwym hasłem, które jeszcze nie przyszło mu do głowy. Musiał pokazać dziewczynce, że ma silnego ojca, który obroni ją przed całym złem tego świata i który za kilka ładnych lat będzie straszył wszystkich jej adoratorów.

Nie miał doświadczenia w podnoszeniu ciężarów, pamiętał jedynie, by przykucnąć, a nie schylać się i ryzykować uszkodzenie kręgosłupa. Na szczęście walizka okazała się znacznie lżejsza niż wcześniej, jakby pozytywne nastawienie wróciło mu siły. Koniec końców nie zrealizował planu i ograniczył się do uniesienia bagażu na wysokość klatki piersiowej, ale przynajmniej wymyślił niegłupie hasło:

– Supertata pozamiatał!

Dorota udawała, że nie zwraca uwagi na dziecinne popisy męża, Sebastian jednak dostrzegł charakterystyczny uśmiech na jej twarzy, zdradzający, że znow widzi w nim idealnego męża. Teraz wystarczyło zatachać walizkę do kabiny i utuczyć wszystkich

deserami. Miał nadzieję, że podają tu smaczne tiramisu. Nic tak dobrze nie działało na Dorotę jak ten włoski deser i dobra kawa.

Nie dając poznać po sobie zmęczenia, odstawił walizkę i pociągnął ją do przodu. Wolał nawet nie myśleć, jak jutro będzie wyglądać ich poranek, gdy po nocy pełnej wrażeń przyjdzie mu dotaczać walizki do autokaru.

Z nieskrywaną ulgą przyjął widok hostess witających podróżnych. Jeszcze większą radość przyniosły mu widoczne za plecami dziewczyn windy. Troska o ojcowski wizerunek dodała mu siłę, ale czuł, że jeszcze chwila, a odpadną mu ręce. Na szczęście Karolinka z Pawłem tak byli zaaferowani obietnicą deseru, że zignorowali pokaźnych rozmiarów miśka i od razu wbiegli do windy.

– Wszyscy się nie zmieścimy – stwierdziła Dorota.

Sebastian z głośnym westchnieniem upuścił walizkę.

– Niech zgadnę, jednogłośnie wybrałaś mnie na ochotnika do czekania na kolejną windę?

– Mięśnie i kondycja do poprawki, ale umysł działa na pełnych obrotach. Tak, zostajesz, żeby złapać oddech. Widzimy się na dole. Pamiętaj, piąte piętro.

– Mhm.

Udawał obrażonego, ale stwierdził, że krótka przerwa dobrze mu zrobi. Od walki z ciężarami zaschło mu w gardle, a kilka metrów dalej stał chłopak rozdający darmowe napoje. Przy Dorocie wstydziłby się napić czegoś słodkiego, zwłaszcza że zaraz mieli iść na lody, a w tej sytuacji odrobinę się orzeźwi bez oceniających spojrzeń żony.

Począł, aż zamkną się drzwi windy, po czym zostawił absurdalnie ciężką walizkę przed panelem z przyciskami i poszedł do ubranego na pomarańczowo młodziana. Nie musiał martwić się o złodziei, nawet trochę by się ucieszył, gdyby ktoś uwolnił go od tego balastu.

– Pana to się tu nie spodziewałem – zaśmiał się chłopak na powitanie, po czym wyciągnął w stronę Sebastiana puszkę mirindy. – Ma pan spust.

Kolejny dziwak, pomyślał Możdżeń, odbierając z jego rąk napój. Tym razem nie miał jednak siły ani ochoty wchodzić z nikim w dyskusję i nawet nie podziękował, tylko odwrócił się i poszedł w stronę windy. Opróżniając puszkę duszkiem, czuł się niczym skacowany alkoholik zerujący na szybko piwo pod sklepem. Miał zresztą ochotę wrócić do chłopaka i wziąć od niego dwie kolejne puszkę na później, bo słodzony napój wyjątkowo mu zasmakował. Po chwili żałował, że zaniechał tego pomysłu.

– Ty... – mruknął, odruchowo zaciskając pięści.

Większość osób uśmiechnęłaby się do mężczyzny trzymającego dla nich windę, Sebastian miał jednak ochotę wepchnąć natręta do środka i zaspawać drzwi, by już więcej nie mógł podsłuchiwać i podglądać jego rodziny.

– O, znowu się spotykamy – powiedział tamten. – Proszę, proszę, chyba mamy kajuty na tym samym piętrze.

Dopiero teraz Moźdzeń zorientował się, że jego walizka leży w środku. Gdyby nie ten fakt, kazałby mężczyźnie jechać samemu.

– O co ci chodzi, człowieku? – zapytał. – Nie wystarczyło ci gapić się na nas w kolejce? Podśłuchiwałeś moją rozmowę. Wniosłeś moją walizkę. Po co? Jeśli szukasz kumpli, to źle się do tego zabrałeś.

Natręt nie odpowiedział. Sebastian wziął to za dobrą monetę. Wsiadł do środka, wcisnął przycisk piątego piętra, po czym odwrócił się do faceta plecami.

– Rzeczywiście, źle zaczęliśmy – rzucił tamten, gdy tylko zasunęły się drzwi. – Wcale na was nie patrzyłem, to znaczy patrzyłem, ale dopiero gdy pan spojrzał na mnie.

– Inaczej to zapamiętałem.

– To podobno częste zjawisko. Wystarczy przepytac świadków tego samego zdarzenia, by usłyszeć kilka zupełnie różnych relacji. By nie szukać daleko, moja córka, Ula, twierdzi, że przez całe wakacje w Rewalu mieszkaliśmy z białym kotem, którego dokarmiali właściciele pensjonatu, tymczasem tam nie było żadnych kotów. Owszem, dwie czy trzy noce spała w łóżku ze zwierzakiem, ale to był pies. I to czarny, da pan wiarę? Do dziś idzie w zaparte, że ją okłamujemy. Oczywiście mam zdjęcia, na których Ula pozuje z psiakiem, ale ona wie swoje.

Winda jechała potwornie wolno. Jak na złość zaciął się licznik wskazujący mijane piętra, przez co Sebastian nie wiedział, jak długo jeszcze będzie musiał znosić towarzystwo tego dziwaka.

– W ogóle to był udany wypad – kontynuował mężczyzna. – Wiadomo, jak jest nad polskim morzem, jedna wielka loteria pogodowa, czasem to i przez dwa tygodnie leje. My wtedy siedzimy i gramy w karty. Trochę się spaceruje, rybkę się zje czy gofra, tylko generalnie pieniądze wyrzucone w błoto. Ale wtedy to co innego. To był chyba nasz najlepszy rodzinny wyjazd. Słoneczko, lekki wiaterek, ciepła woda. Ula to ciągle siedziała w piachu i robiła jakieś ciastka i torty. Co chwila musiałem udawać, że coś jem, i się tym zachwycać. Wiadomo, niby fajne, ale na dłuższą metę męczące.

Sebastian przestąpił z nogi na nogę. Zirytowany wcisnął świecący się przycisk piątego piętra. Winda dawno już powinna dojechać na miejsce.

– Raz to Ula wywinęła nam straszny numer. Wiadomo, jak jest, piwko, słońce, woda, to i łatwo zasnąć na ręczniku. Nie żeby było jakieś pijaństwo, nic z tych rzeczy, tylko zmęczenie robi swoje. Nie wiem, jak długo bawiła się sama, ale w końcu, nie budząc nas, wstała i ruszyła wzdłuż brzegu. Proszę sobie wyobrazić moją reakcję, gdy zorientowałem się, że jej nie ma. Serce mi stanęło. Byłem przekonany, że się utopiła. – Zrobił pauzę, jakby oczekiwał, że Sebastian dopyta o finał tej jakże emocjonującej historii. Jego jednak interesował tylko koniec wspólnej jazdy windą. – Znaleźliśmy ją jakieś dwieście, może nawet trzysta metrów dalej. Stała spokojnie na brzegu i zbierała muszelki. Oczywiście dziś tego nie pamięta i twierdzi, że coś sobie wymyśliłem.

Mężczyzna coraz bardziej działał mu na nerwy. W zasadzie Sebastian powinien go rozumieć, sam przecież swego czasu zarzucał znajomych historiami o Karolinie i Pawle, zachwycał się wszystkim, co robili, błędnie zakładając, że kogokolwiek to interesuje. Do dziś, jak spotyka się z rodzicami kolegi Pawła z klasy, gdy wyczerpią się tematy piłkarskie i zostaną omówione najświeższe doniesienia, rozmowa schodzi na dzieci. Paweł to, Paweł tamto, Paweł ostatnio i tak dalej, i tak dalej. Dlaczego wobec tego nieznajomy aż tak go wkurzał?

– Źle to zabrzmiało – ciągnął mężczyzna – ale podobny numer wykręciła rok później. Wtedy pogoda, delikatnie mówiąc, nie dopisywała, więc jak tylko słońce wyglądało zza chmur, to lecieliśmy na plażę. Wiadomo, piasek mokry, woda zimna, więc...

– Wystarczy. – Sebastian obrócił się twarzą do natręta.

– Wiem, że...

– Nic nie wiesz. Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Nie obchodzi mnie ta historia. Nie obchodzą mnie twoje wyjazdy. Nie obchodzi mnie twoja córka. Siedziałem cicho w nadziei, że wreszcie dojedziemy, ale coś tu jest nie w porządku. Dawno już powinniśmy wysiąść na piątym piętrze.

Mężczyzna otworzył usta, na szczęście zachował jednak odpowiedź dla siebie. Jeszcze jedno słowo, jeszcze jedna głupia historia o Uli, a Sebastian by nie wytrzymał i zdrowo nim potrząsnął.

Błoga cisza trwała raptem kilka sekund, w trakcie których Moźdzeń nie zdążył nawet dokładnie przyjrzeć się konsoli.

– Myśli pan, że to jakaś awaria? – zapytał natręt.

– Nie wiem.

– Wydaje się, że jesteśmy w ruchu.

– Nie sądzę, dawno już byśmy dojechali.

– Niby racja. Tam pewnie jest przycisk wezwania pomocy.

– Właśnie go szukam.

– My kiedyś z Ulą utknęliśmy w windzie hotelowej. To było bodaj w Karpaczu, a może w Szklarskiej Porębie... Cholera, nie pamiętam. Musiałbym jej spytać, choć jak już wspominałem, pewnie inaczej to zapamiętaliśmy. W każdym razie...

Sebastian zadziałał instynktownie. W pierwszej chwili chciał rzucić się natrętowi do szyi, przypomniał sobie jednak słowa pracownika obsługi, który wspominał o zawartości jego walizki. Wtedy Moźdzeń go nie zrozumiał, uznał, że mężczyźni coś się pomyliło, dopiero teraz wszystko stało się jasne. Każde słowo miało sens. Każde słowo było ważne. Musiał trzymać się rodziny, nie mógł spuścić ich z oczu. Zrobił ogromny błąd, pozwalając im jechać bez niego, na szczęście ktoś mu dopomógł i spowolnił windę, by mógł sobie wszystko poukładać w głowie. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, komu należały się podziękowania.

Nie słuchał kolejnych wynurzeń natrętnego gaduły. Znał je wszystkie na pamięć. Wiedział, w jakich okolicznościach dziewczyna skrzyła sobie kostkę, kiedy była zagrożona powtarzaniem klasy z biologii i kiedy zgubiła dokumenty, a w zasadzie to nie zgubiła, tylko udawała, że zgubiła, żeby nie wyszło na jaw, że zamiast biletu miesięcznego kupiła sobie sukienkę. Mógłby napisać jej biografię, mimo że nigdy nie widział Uli na oczy. Zamiast tracić czas na słuchanie kolejnej opowieści, otworzył walizkę i wyjął z niej czarne zawiniątko.

Uśmiech na nowo zawitał na twarzy Sebastiana, gdy poczuł w dłoni słodki ciężar. To on sprawiał, że walizki ważyły tak dużo. To przez niego oderwało się plastikowe kółko. To o nim mówił pracownik obsługi. Niepozorny, ważył co najwyżej dwieście gramów, cierpliwie czekał, aż ktoś po niego sięgnie, a teraz rwał się do pracy.

Możdzień odwinął nóż i zacisnął palce na rękojeści. Wiedział, co ma zrobić. Nie bał się, ale też nie czuł ekscytacji. Miał zadanie do wykonania. Nic więcej.

– Chyba przyspieszyliśmy – zauważył natręt.

Pewnie chciał powiedzieć coś jeszcze, rzucić kolejną rodzinną anegdotkę, lecz wydał tylko z siebie cichy jęk, gdy ostrze wbiło mu się w brzuch. Sebastian mógłby go tak zostawić leżącego w kałuży własnej krwi, cierpiącego, walczącego o każdą sekundę życia, robiącego pod siebie ze strachu, powoli umierającego w naiwnej nadziei, że nadejdzie pomoc. Nie chciał się nad nim znęcać, toteż wyciągnął ostrze i wbił je ponownie. Potem jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, aż otworzyły się drzwi windy.

Nie spoglądając na swoje dzieło, wyprostował się i wytarł nóż o spodnie. Nie mógł się teraz rozpraszać. Dawno już wyczerpał margines błędu. Kolejne rozkojarzenie mogło wszystko zniweczyć. Musiał pamiętać. Musiał pozostać świadomy. Musiał działać.

– Trzymaj się rodziny – powtórzył słowa pracownika obsługi. Czuł, że powinien znać jego imię, ale nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. Teraz liczyło się tylko zadanie.

Spokojnym krokiem przemierzył korytarz. Miał ze sobą kartę pokładową, lecz wolał zapukać, by Dorota powitała go w progu. Gdyby kierował się emocjami, zaczęłby od teściowej, ale względy praktyczne zadecydowały, że pierwsza powinna zginąć Dorota. To ona mogła narobić najwięcej hałasu, a w przyływie adrenaliny nawet skutecznie stawić mu opór.

Ściskając ostrze, zapukał do drzwi. Szumiąca w uszach krew zagłuszyła tupot małych stóp. Sebastian zdał sobie sprawę z popełnionego błędu dopiero wtedy, gdy w szczelinie między drzwiami a futryną pojawiła się twarz Karolinki. Było już za późno na zmianę decyzji. Dziewczynka dostrzegła połyskujące ostrze. Musiał improwizować. Musiał działać. Musiał wypełnić zadanie.

– Przepraszam – powiedział cicho, po czym przystąpił do pracy.

Rozdział XII

Impreza rozkręciła się na dobre. Może to wpływ grzybków, może pozytywnego nastawienia, ale Laurze nie przeszkadzała popowa muzyka ani szalejące na parkiecie małolaty. Tańczyła, wygłupiała się, pozwalając ślinić się na swój widok szesnastolatkom, którzy w mig zapomnieli o solenizantce i koleżankach. Zazdrosne miny dziewczyn napędzały ją jeszcze bardziej. Gotowa była zatańczyć wolny taniec z którymś z nastolatków, byle tylko doprowadzić je do szału. Sama niedawno była na ich miejscu. Owijała sobie chłopców wokół palca, traciła jednak ich zainteresowanie, gdy na parkiet wychodziła jakaś dwudziestolatka. Fajnie było stanąć po drugiej stronie.

– Ale się na ciebie gapią – zaśmiała się Samanta. – Na twoim miejscu bałabym się iść do kibla.

– To pójde do męskiego, tam przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

– Jesteś okropna.

– Nie, po prostu nie zamulam jak ty. Rusz dupę, nie przesiedzisz przecież całego wieczoru. Nie myśl o Antku, masz tu całe stado napalonych dzieciaków chętnych złapać cię za cycek.

– Kiedy właśnie ja nie chcę żadnego napaleńca. Trochę mi się przejedli. Chciałabym po prostu z kimś pogadać.

– Na mnie nie licz. Nie dzisiaj. Nie po to wydałam w ciul kasy, żeby cię teraz pocieszać. Sorry, bejbe.

Wypiła pomarańczowego drinka i ruszyła z powrotem na parkiet. Energia ją rozpierała. Zdawała sobie sprawę, że wczorowa przyjaciółka została z Samantą, pozwoliła się dziewczynie wygadać i obie obrobiłyby Antkowi dupę, ale w obecnym stanie nie wysiedziałyby nawet minuty. Nogi same rwały się do tańca, biodra bez jej woli kołysały się seksownie, a spojrzenie przeskakiwało z jednego chłopca na drugiego w poszukiwaniu idealnego kandydata do towarzystwa. Ilościowo było w czym wybierać, niemniej większość chętnych była zbyt nawalona lub zbyt napalona – albo jedno i drugie. Z braku lepszej opcji uśmiechnęła się zalotnie do wpatzonego w nią bruneta. Wysoki, całkiem dobrze zbudowany, może nawet i miałby u niej szansę w innych okolicznościach, niemniej dyskwalifikował go strój. Białe spodnie kojarzące się Laurze z wieśniactwem, czarne lśniące buty i fioletowa koszula może i robiły wrażenie na jego rówieśniczkach, ale w dorosłym świecie taki komplet nadawałby się co najwyżej na potańcówkę w remizie.

Wystarczył jeden gest, by chłopak poderwał się na nogi i ruszył w jej stronę. Oczywiście musiał się przy tym prężyć i komicznie wymachiwać rękami.

– Zatańczymy? – zapytał, choć jego pewny siebie uśmiech sugerował, że zna już odpowiedź na to pytanie. Mało brakowało, a nie minąłby się z prawdą, jednak w ostatniej chwili Laura dostrzegła dwóch chłopaków wyglądających na studentów, co z klucza czyniło ich atrakcyjniejszymi niż napaleni licealiści.

– Sorry, nieaktualne – odparła.

Na pocieszenie pocałowała go w policzek, co zapewne będzie rozpamiętywał przez najbliższy tydzień. By dodatkowo poprawić mu humor i rozbudzić wyobraźnię, oddalając się, zakręciła biodrami, jakby chciała rozbudzić prom. Czowała na sobie pożądliwe spojrzenie nastolatka. W oczach jego koleżanek wyszła na ostatnią sukę, ale kogo to obchodzi? Niech sobie dziewczuszki piszczą w swoim gronie, niech świętują szesnaste urodziny, niech myślą, że są już prawie dorosłe i wiedzą, czym jest życie. Prawdę poznają dopiero po maturze.

Stała przed dwoma łakomymi kąskami. Nie potrafiła zdecydować, którego zatrzyma dla siebie, a którego podaruje Samancie. Tak naprawdę żaden nie był w jej typie, ale mając w pamięci słowa przyjaciółki, postanowiła zostawić dla niej tego w okularach. Skoro popsuł sobie wzrok, to pewnie dużo czyta, a skoro dużo czyta, to może ma do powiedzenia coś ciekawego. Ona nie potrzebowała dziś pogaduszek.

– Cześć, chłopcy – rzuciła, opierając dłonie o biodra.

Spodziewała się wzbudzić w nich zainteresowanie, tymczasem obaj spojrzeli na nią dziwnym wzrokiem, jak na wariatkę.

– Cześć, Regina – odparł ten bez okularów. – Myślałem, że o tej porze odmawiasz różaniec.

Nie zrozumiała żartu. Bo to chyba był żart, skoro okularnik zaśmiał się pod nosem. Może to geje ze specyficznym poczuciem humoru?

– Uznałabym, że mnie z kimś pomyliłeś, ale to raczej niemożliwe – odparła, nie dając za wygraną. – Jestem jedyna w swoim rodzaju, o czym możecie się przekonać, dosiadając się do naszego stolika.

– Ach, tak, jest i Klaudia. Pozdrów ją i życz szybkiego powrotu do zdrowia. Wybaczcie, dziewczyny, ale mamy inne plany.

Wyminęli Laurę i ruszyli w stronę solenizantki i jej koleżanek. Woźniak nie wierzyła własnym oczom. Jak ktokolwiek mógł połasić się na takie gówniary, podczas gdy miał przed sobą najgorętszy towar na statku? Nie po to wciskała się w ciasną spódniczkę, by zostać w niej cały wieczór. Nie taki był plan!

Poczuła ochotę na kolejnego drinka. Nigdy nie mieszała alkoholu z grzybkami, ale na razie czuła się na tyle dobrze, by móc sobie pozwolić na więcej. Co wypije, to wytańczy, a nadmiar spożytkuje w inny sposób. Najwyżej poszczęści się wieśniakowi w białych spodniach.

Skinęła do wpatrzonego w nią barmana, dając znać, by przygotował jej drinka. Starszawy gość wyglądał i zachowywał się, jakby pracował na zastępstwie, choć trzeba było mu przyznać, że alkohol podawał przedni. Szkoda, że uczeplił się mirindy jako głównego składnika. Może i dobrze smakowała, ale cukier i kalorie były zabójcze dla bioder.

Spojrzała ukradkiem na dwóch studentów. Dziewczyny rzuciły się na nich jak szarańcza. Laura oczami wyobraźni widziała kpiącą minę przyjaciółki, która zaraz wytknie jej porażkę z dzieciarnią. To nic, że sama marnowała czas przez naćpanego dupka, któremu wcześniej przez pół godziny trzymała głowę nad kibelem. W sumie, może to nawet lepiej? Przynajmniej będzie miała dzięki komu poprawić sobie humor. Z dwójga złego lepiej, żeby darła z niej łacha, niż rozpamiętywała scysję z Antkiem.

Chyba jednak nie ma takiej potrzeby, uznała, podchodząc do stolika. Wcześniej tak była zaaferowana poszukiwaniem kandydata dla siebie, że nie zwróciła uwagi na nowego towarzysza Samanty. Blondynka jak zawsze musiała robić wszystko na opak i gdy miała do wyboru kilkanaścioro dzieciaków, zdecydowała się na podryw podstarzałego tatuśka.

Stała przed gołębeczkami i czekała, aż przyjaciółka ją przedstawi.

– O, jesteś – rzuciła zdziwionym głosem Samanta, choć musiała ją zauważyć znacznie wcześniej. – To jest właśnie Laura, o której ci mówiłam.

– Na chwilę ci spuścić z oczu, a kogoś sobie przygruchasz – zaśmiała się Woźniak.

Mężczyzna się nie uśmiechnął. Podobnie jak młodszy o jakieś trzydzieści lat nastolatek wyprostował plecy, choć w odróżnieniu od tamtego wcale nie chciał jej zaimponować.

– To nie tak – odparł szybko. Sprawiał wrażenie zestresowanego, jakby bał się, że został przyłapany na podrywaniu nieletniej.

– To jest ojciec Uli, dzisiejszej solenizantki – wyjaśniła Samanta. – Zaprosiłam go, bo nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Masz z tym problem?

– Impreza z przyzwoitką? Słabe, panie tatuś, bardzo słabe. Niech pan da się dziewczynom wyszaleć, inaczej impreza zaraz padnie.

Spojrzał na Laurę, ale zamiast skupić się na jej oczach, zawiesił wzrok znacznie niżej. Może i na pierwszy rzut oka nie zachowywał się jak kolejny napaleniak, niemniej i on uległ magii krótkiej spódniczki.

– Przepraszam – rzucił, odwracając głowę.

– Nic się nie stało. Po to wkładam miniówkę, żeby przyciągała wzrok. Nie ma czego się wstydzić.

– To nie tak. Po prostu... – Ciężko westchnął, po czym dodał: – Po prostu boję się, że moja córka kiedyś będzie tak wyglądać.

Samanta obiema dłońmi zakryła usta, nim wydobyło się z nich głośnie parsknięcie. Laura nie zamierzała się powstrzymywać. Nie zależało jej na tatuśku. Wkurzona zachowaniem studentów, musiała jakoś odreagować.

– Ta pańska Ula to ta w bordowej kiece bez ramiączek? – zapytała.

– Tak. Do samego końca nie mogła się zdecydować, co włożyć. Spakowała tyle ubrań, że z trudem domknęliśmy walizkę.

– Musiał się pan wykosztować. Rozumiem, że stawia pan bilety dla wszystkich?

– Dla większości. Część rodziców zdecydowała się pokryć koszty we własnym zakresie.

– Czyli Ula to pańskie oczko w głowie? Córeczka tatusia?

Niepewnie pokiwał głową. Nie wiedział, do czego Laura zmierza, ale po wyrazie jego twarzy było widać, że nie spodziewa się niczego dobrego. Obawy tatuśka były jak najbardziej uzasadnione, niemniej nie wiedział jeszcze, że dziewczyna, którą obraził, wykorzysta jego słaby punkt.

– Wie pan, jakie panują zwyczaje na szesnastkach? – zapytała.

Znów niepewny ruch głowy, tym razem wyrażający negatywną odpowiedź.

– To pana uświadomię – dodała kpiąco. – Wszystko to są niepisane zasady, niemniej z doświadczenia wiem, że dzieje się tak na większości imprez urodzinowych. Zaczniemy od chłopców. Obowiązkowe picie przed zabawą; w zależności od charakteru jedni piją tanie wino, inni piwo, najlepiej mocne, a najtwardsi idą w wódkę. Też pan kiedyś był młody i nie muszę tłumaczyć, na czym polegają biforki. Jedni piją ze względów ekonomicznych, inni, by się dopasować do grupy, a jeszcze inni, by dodać sobie odwagi. To w sumie nie zmienia się nawet w dorosłym życiu. Zmienia się jednak wytrzymałość głowy i żołądka. Od czasu do czasu zdarzają się zgony, ale domeną tego typu imprez jest raczej rzyganie na środku parkietu.

Dopiero się rozkręcała, a mina faceta już zdradzała, że żałował podjętej decyzji. Ula nic jej nie zawiniła, nawet miło było czuć na sobie zazdrosne spojrzenie solenizantki, ale tylko psując nastolatce imprezę, mogła zemścić się na fagasie za chamski tekst.

– Dziewczyny rzadko piją przed imprezami – kontynuowała. – Są wyjątki, jak towarzysząca panu Samanta, która swego czasu potrafiła walnąć ze mną połówkę na dwie, ale pańska córa raczej się do takich nie zalicza, a nawet jeśli, to przecież nie schleje się pod pańskim nosem. – Mrugnęła do przyjaciółki, a ona niespecjalnie przejęła się przytykiem. Uśmiech na jej twarzy sugerował wręcz, że dobrze wspomina ich dawne imprezy. – Nie zmienia to faktu, że pijani chłopcy zachowują się dość nieobliczalnie. – Westchnęła ostentacyjnie i pokręciła głową. – Dziewczynom wydaje się, że ich znają, przecież spędzają razem tyle czasu w szkole i po lekcjach. Niby wiedzą, że to niedojrzali krety, których śmiesz puszczanie bąków. Niby zdają sobie sprawę, że ci napaleńcy codziennie walą sobie konia przed ekranami komputerów, że prowadzą rankingi, która ma najlepszą dupę, a która cycki, choć o to drugie trudno w tym wieku. Co z tego, skoro na imprezie o tym wszystkim zapominają. Fajnie się tańczy, jest miło, gościowi co prawda za często zjeżdża ręka na jej tyłek, ale jest ciemno i nikt nie widzi, więc w sumie nic takiego się nie dzieje. On mówi, że jest duszno, gorąco i że nie da się w spokoju gadać, więc ona się godzi wyjść na chwilę na zewnątrz. Tam rzeczywiście jest jakby fajniej. Rozmowa nawet ma jakiś sens – bez przesady, bo gość jest wstawiony, ale nie bełkocze i nie rzuca głupimi

żartami. Jest miło. Inaczej niż w szkole. Oddalają się coraz bardziej od klubu, on coraz bardziej się do niej zbliża. Zazwyczaj chłopcy najpierw próbują po dobroci, jakiś pocałunek czy macanko. Dziewczyna czuje się niezręcznie, chyba jednak chciałaby już wracać, tylko on tak nalega, jest taki miły, więc pozwala mu na ciut więcej. No... – zaśmiała się. – Potem to już zależy. Albo ona po dobroci pada na kolana i ssie brudnego, spoconego fiuta, a potem daje się wydupczyć od tyłu, albo od razu przechodzimy do punktu drugiego, ale przybiera on formę gwałtu.

Skupiona na wypowiedzi nie zauważyła, kiedy do stolika podszedł barman. O ile wkurzona mina nowego kolegi Samanty była uzasadniona, o tyle leciwy pracownik obsługi nie miał powodu, by patrzeć na Laurę, jakby chciał chlusnąć jej drinkiem w twarz.

– To tylko jedna z hipotetycznych sytuacji – dodała Woźniak. – Druga to starsi chłopcy. Dziewczyny zawsze leciały na starszych. Nie chodzi o doświadczenie, mądrość czy dojrzałość. Nic z tych rzeczy. Liczą się fura i kasa, za którą można się bawić. Szesnastki nie potrzebują luksusów, wystarczy im zdezelowane bmw, w którym niejedna straciła dziewictwo. Tu raczej pańskiej córce to nie grozi, chyba że trafi na kogoś, kto podróżuje z samochodem.

– Wystarczy – odparł barman, po czym odstawił tacę z drinkami na sąsiedni stół. – Znów marnujesz mój czas. Jesteśmy blisko przełomu, ba!, w zasadzie już go doświadczyliśmy, a ty ponownie zaliczasz regres. Skup się. Po coś ją wybrałeś. Nie rozumiem, po co, ale to musi mieć jakiś sens.

Laura spojrzała na Samantę. Jej zdziwiona mina sugerowała, że też nie zrozumiała ani słowa z gadki barmana.

– No – zaśmiała się. – I są jeszcze takie dziwolągi, co to nie wiadomo, co im do głowy przyjdzie. Nagapi się taki na młodą dziewczynę, ubzdura coś sobie, a potem zaciągnie ją do kibla. Proszę pilnować córki. Proszę nie spuszczać jej z oczu.

Ostatnie dwa zdania zabrzmiały dziwnie znajomo. Miała nieodparte wrażenie, że gdzieś już je słyszała, a może wręcz sama je wypowiedziała. Nie kojarzyła podobnej rozmowy, zazwyczaj unikała tatuśków, nie chcąc patrzeć na ich lubieżne uśmiešky, z kim w takim razie mogła o tym rozmawiać? Jej jedyną dzieciątą znajomą była koleżanka z klasy, która wpadła tuż po maturze, lecz ich kontakt szybko się urwał. Niezręcznie było patrzeć, jak spoko dziewczyna marnuje sobie życie, walcząc ze śmierdzącym, wrzeszczącym bachorem. Spotkały się raz czy dwa razy, ale tamta wciąż nawijała o dziecku, jakby jej świat ograniczał się do zmiany pieluch i karmienia piersią.

– Ciekawe... – stwierdził barman, patrząc na nią z nagłym zainteresowaniem. – Poczujesz coś, prawda?

Chciała zaprzeczyć, wyśmiać starego psychola, zamiast tego tylko kiwnęła głową.

– Zaskakujące – dodał. – Czyli jednak po coś tu jesteś. Za szybko cię skreśliłem, uznałem, że jesteś niepotrzebnym zakłóceniem, szmerem odciągającym uwagę, a tu taka niespodzianka. Pamiętasz coś jeszcze?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy nagle ucichła muzyka i zgasły kolorowe lampy. Po chwili parkiet rozbrzmiał światłami z ekranów telefonów, a miejsce muzyki zajęły wulgarne męskie okrzyki i zawiedzione dziewczęce głosy. Tych pierwszych było więcej, jakby chłopcy poczuli okazję do popisania się. Szkoda, że ograniczali się do słów, zamiast spróbować jakoś zaradzić problemowi.

– Idealna okazja na macanko nastolatek – rzuciła do ojca Uli, choć straciła już ochotę na złośliwości.

– Mam nadzieję, że to drobna usterka – stwierdziła Samanta. – Czaisz, jakby tak odcięło prąd na całym promie? Co wtedy?

– Nie, no co ty, pewnie mają jakieś generatory czy coś.

– Myślisz?

– Na pewno. Przecież tu pływają Szwedzi, nie? O ile na Polaków mogliby mieć wyjebane, o tyle Skandynawów podróżujących na tanie chłanie do Trójmiasta muszą traktować poważnie. Na pewno przechodzą jakieś inspekcje. Tamci mają na tym punkcie fioła.

Ojciec Uli nie przysłuchiwał się ich rozmowie. Nie przejmując się dobrymi manierami, wstał od stołu i ruszył na parkiet, zapewne, by poszukać córki. Laura z satysfakcją zajęła jego miejsce.

– Twoja randka uciekła – zaśmiała się. – Kurde, ten nawiedzony barman też zniknął. Podasz drinki? Zostawił je na stoliku za tobą.

Zamiast odpowiedzi usłyszała krzyk. Głośny, piskliwy, jakby jedna dziewczyna oderwała drugiej tipsy.

– Chyba tatusiek przydybał jakąś panienkę – zaśmiała się Laura.

Po chwili nie było jej już do śmiechu. Salę wypełniły kolejne krzyki. Tym razem jednak nikt nie domagał się włączenia światła ani muzyki. Z ogólnego chaosu trudno było wychwycić konkretne słowa. Ktoś wzywał pomocy, ktoś krzyknął coś o nożu, większość wydzierała się bez sensu. Jedno było pewne: wydarzyło się coś złego.

W momencie, gdy krzyki przerodziły się we wrzaski, Laura poczuła przejmujący niepokój. W jednej chwili tłum ruszył w stronę wyjścia, do wrzasków dołączyły jęki, kiedy ludzie zaczęli się przepychać i tratować. Woźniak spojrzała na przyjaciółkę. Twarz Samanty niknęła w ciemnościach, chwyciła więc ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Może też wyjdziemy? – spytała. Jej głos był niemal niesłyszalny z powodu odgłosów paniki wokół, powtórzyła więc, tym razem krzycząc: – Coś tu jest nie tak! Chyba powinniśmy się zbierać!

Samanta odwzajemniła mocny uścisk. Laura, nie puszczając dłoni przyjaciółki, pociągnęła ją do góry. Przez chwilę stały niepewnie, wpatrzona w ciemną ludzką masę kłębiącą się kilka metrów przed nimi, panicznie usiłującą wydostać się z pomieszczenia. Mało kto próbował oświetlać sobie drogę latarką w telefonie, część komórek leżała porzucona na podłodze. Głównym źródłem światła były lampy z korytarza widoczne

w przejściu, oświetlające przerażone twarze. Laura wzięła głęboki wdech i wciąż trzymając dłoń Samanty, ruszyła z nią w stronę drzwi.

– Patrz – powiedziała nagle blondynka, wskazując coś wyciągniętą ręką.

Laura nie miała siły ani ochoty tłumaczyć, że w takich warunkach z trudem dostrzega choćby jej farbowane włosy. Chciała iść dalej, jak najszybciej opuścić to miejsce, ale przyjaciółka zatrzymała się, wpatrzona w coś na parkiecie.

– Chodź – ponagliła ją.

– Tam ktoś jest.

– Przecież nic nie widać.

Światło rozbłysło dokładnie w momencie, kiedy skończyła zdanie. Lamy oświetliły parkiet na ułamek sekundy, po czym znowu zapanowała ciemność, ale ta krótka chwila wystarczyła, by Laura dostrzegła kogoś, a w zasadzie coś pochylone nad leżącą na podłodze dziewczyną.

– Chodź! – błagała, ciągnąc mocniej przyjaciółkę.

Tym razem Samanta nie oponowała. Do tego czasu przejście zdążyło się udroźnić, dzięki czemu nie musiały przepychać się między spanikowanymi nastolatkami. Było to jednak marne pocieszenie. Laura wolałaby już stać w spoconym i przerażonym tłumie, niż nie mieć gdzie się ukryć przed tym czymś.

Nie czekając ani chwili, wybiegły na oświetlony korytarz. Woźniak spodziewała się znaleźć tam grupki zdeorientowanych imprezowiczów, tymczasem wszędzie panowała przerażająca pustka. W tej chwili ucieszyłaby się z widoku kogokolwiek, nawet wieśniaka w białych spodniach czy nudnego tatuśka z zakompleksioną córką. Niemożliwe, by wszyscy tak szybko się rozbiegli. Nawet jeśli zdążyli uciec, to przecież po korytarzu niosłby się dźwięk ich kroków lub rozmów!

– Idzie tu... – szepnęła Samanta.

Laura spojrzała za siebie. Błyskawicznie tego pożałowała. Lamy znów zaświeciły się na chwilę, jakby tylko po to, by ukazać człapiące w ich stronę monstrum. Roztrzęsiona nie widziała szczegółów, dostrzegła tylko zwałistą sylwetkę, nieludzką twarz i długie czarne włosy.

– Do windy – nakazała, ciągnąc przyjaciółkę.

Samanta była chyba w szoku. Zamiast uciekać, stała wpatrzona w czarną plamę w drzwiach do dyskoteki, skąd to coś nadchodziło. Żadnego instynktu przetrwania, żadnego racjonalnego myślenia, jakby strach zupełnie ją sparaliżował. Laura z trudem zmusiła ją do ucieczki, o ile ucieczką można nazwać nieporadny marsz, co chwilę przerywany zerkaniem przez ramię. By dodać sobie otuchy, nieustannie powtarzała w myślach, że zaraz kogoś spotkają, że jest jeszcze wcześniej, że mnóstwo ludzi przebywa w restauracji czy na zewnętrznym pokładzie. Wystarczy tam dojść. To całkiem blisko.

Czując na plecach dziki oddech napastnika, dociągnęła Samantę do zakrętu. Za nim powinien znajdować się zatłoczony hol. Tam znajdą ratunek. Tam opowiedzą o wszystkim.

Tam ktoś powstrzyma to monstrum.

– Co jest...? – westchnęła na widok wąskiego, długiego korytarza. Wyglądał identycznie jak te na piętrach mieszkalnych. Po obu stronach znajdowały się oznaczone kajuty. Numery zaczynające się od liczby 11 sugerowały, że dziewczyny znajdowały się na tym właśnie poziomie. – To bez sensu – dodała, nie rozumiejąc, co się wydarzyło.

Zamiast iść dalej, utkwiała wzrok na drzwiach kajuty z numerem 1180. Nie miała pojęcia dlaczego, ale ta kombinacja cyfr wydała jej się znajoma. Przez chwilę odniosła nawet wrażenie, że to jej kajuta, ale przecież z Samantą i Antkiem zakwaterowali się na innym poziomie. No i najważniejsze: to przecież było piętro restauracyjne, a nie mieszkalne!

Obie z przyjaciółką wzdrygnęły się na odgłos kroków. Były ciężkie, jakby zbliżające się do nich niebezpieczeństwo miało przykute stalowe podkowy. Nie tracąc ani sekundy, Laura uderzyła pięścią w drzwi. Dalsza ucieczka była bez sensu. Co z tego, że dobiegną do zakrętu, skoro nie mają pojęcia, co tam zastaną. Pomocy trzeba było szukać na miejscu.

– Halo! – krzyknęła. Nie doczekawszy się reakcji, uderzyła ponownie. Być może rozsądniej byłoby pukać kolejno do wszystkich drzwi, ale czuła, że znajduje się we właściwym miejscu. – Proszę otworzyć!

Odgłos kroków przybrał na sile. Coś się do nich zbliżało. Nie biegło, nie spieszyło się, szło powoli, jakby miało pewność, że zwierzyzna nie ucieknie. Reakcja Samanty zdawała się potwierdzać, że jest to jak najbardziej uzasadnione. Dziewczyna wciąż stała wpatrzona w nieokreślony punkt, niczym mucha w pajęczynie.

Do coraz głośniejszego tupania dołączyło szuranie. O ile jednak pierwszy dźwięk mroził krew w żyłach, o tyle drugi przywrócił Laurze nadzieję.

– Dzięki Bogu – szepnęła, gdy drzwi się otworzyły, a w progu stanęła znajoma blondynka. Nie zastanawiała się, gdzie ją wcześniej widziała, na rozmowę zapoznawczą przyjdzie czas później, zamiast tego napała siłą i wciągnęła Samantę do środka. Zatrzaszczając drzwi, dodała: – Idzie tu. Cicho, trzeba być cicho.

Zdawała sobie sprawę, że brzmi jak nawiedzona albo naćpana. Niestety, to drugie było prawdą. A może stety? Zażyte grzybki mogły wywołać halucynacje. Kto nie słyszał historii o naćpanym chłopaku uciekającym przed truskawkami czy o studentach, którzy wyrzucili kolegę w kartonie przez okno, w nadziei że poleci w kosmos. Do tej pory traktowała tego typu historie z dystansem, ale może właśnie sama doświadczyła czegoś podobnego.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona kobieta. Na jej miejscu Laura martwiłaby się bardziej o wpatrzone w nie dzieciaki i starszą kobietę. Na szczęście blondynka miała w sobie większe pokłady empatii i zamiast wywalić małolaty za drzwi, poprowadziła je do stolika. – Wyglądacie na przerażone!

Woźniak nie odpowiedziała. Nie z powodu strachu czy zmęczenia, choć to z pewnością nie ułatwiało zebrania myśli. Powód milczenia siedział pod ścianą i bacznie jej się przyglądał.

– Znam panią – powiedziała.

Starsza kobieta zmarszczyła czoło. Jej reakcja powinna dać Laurze do myślenia, lecz była zbyt nakręcona, by sugerować się zdziwieniem na twarzy Celiny. Bo to była Celina, co do tego nie miała wątpliwości.

– Rozmawialiśmy – dodała. – Chciała mnie pani odprowadzić do lekarza, ale uciekłam i wsiadłam do windy. Potem dosiadł się do mnie ten człowiek w masce...

Teraz wszyscy patrzyli na nią jak na wariatkę. Nawet Samanta obrzuciła przyjaciółkę pytającym spojrzeniem. Laura zupełnie ją zignorowała. Wspomnienie spotkania z Celiną odblokowało zapadkę w jej umyśle, uwalniając kolejne obrazy. Pamiętała martwych Samantę i Antka, Celinę skaczącą przez burtę, chłopaka, któremu dla śmiechu przedstawiły się jako Regina i Klaudia, a którego niedawno spotkała na parkiecie. Pamiętała też mężczyznę, który zaciągnął je do kajuty. Wszystko to wydawało się odległym wspomnieniem, niektóre zdarzenia zwyczajnie nie mogły mieć miejsca, mimo to pamiętała tak wiele szczegółów, jakby dopiero co doświadczyła tego wszystkiego.

Nagle dudnienie za drzwiami przywróciło ją do rzeczywistości. Teraz rozumiała, kto je gonił. To nie żaden potwór, tylko psychol w masce świni, z którym jechała windą. Czy to on wtedy udusił Samantę i Antka? O ile ktokolwiek był duszony, bo przecież przyjaciółka stała obok.

– Ten barman – szepnęła.

Samanta zasłoniła jej usta dłonią. To było jej pierwsze racjonalne zachowanie. Laura powinna być wdzięczna, wiedziała przecież, że muszą teraz być cicho, inaczej morderca wparuje do kabiny i powyrzyna wszystkich, łącznie z dziećmi. Mimo to odciągnęła dłoń przyjaciółki i spytała cicho:

– Pamiętasz barmana?

Dziewczyna syknęła, przykładając sobie palec do ust.

– Wcześniej pracował jako biletier. Gadał jakieś bzdury, a potem, gdy zaczęłam świrować z Antkiem, dogonił nas i wpakował do windy z tym psycholem. To jego sprawa. Nie wiem, jak to robi, ale ciągle miesza nam w głowie.

Poczuła się niezręcznie, wspominając chwilę słabości z Antkiem. Teraz wydawało się to całkowicie irracjonalne, lecz doskonale pamiętała, co wtedy czuła. Była gotowa zdradzić przyjaciółkę, zaryzykować wszystko i wrócić do byłego chłopaka, a przecież on tak bardzo ją irytował. Nigdy nie żałowała decyzji o rozstaniu, skąd więc wzięła się tamta akcja? Kto nią sterował? Kto zsyłał na nią te okropności?

Ciszę przerwało pukanie do drzwi. Ciche, spokojne, zupełnie niepasujące do wcześniejszego dudnienia rozchodzącego się po korytarzu. Kobieta, która kilka minut temu bezrefleksyjnie wpuściła do swojej kabiny dwie naćpane nastolatki, najwyraźniej nie wyciągnęła wniosków, bo znów ruszyła do drzwi. Laura zdążyła powstrzymać ją w ostatniej chwili.

– Nie – syknęła.

Po minie blondynki domyśliła się, że chwytając ją za nadgarstek, użyła zbyt dużej siły. Nie to jednak było teraz istotne. Skupiona na kobiecie, nie zwróciła uwagi na jej córkę, która podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

Laura spodziewała się widoku olbrzyma w świńskiej masce, tymczasem w progu stał zwyczajny mężczyzna, zapewne ojciec dziewczynki. Ulga jednak trwała krótką chwilę. Kojarzyła go. To on zaczepił je w barze. To on zaciągnął je do swojej kajuty. To on je tam udusił.

– Przepraszam – powiedział, po czym wbił dziewczynce nóż prosto w brzuch.

Rozdział XIII

Ocknął się z głośnym krzykiem. Śnił o rodzinnym rejsie, w trakcie którego nagle wyciągnął nóż i zaczął mordować ludzi. Najpierw zadźgał jakiegoś mężczyznę w windzie, potem jak gdyby nigdy nic wszedł do kajuty i wbił nóż w brzuch Karolinki. Nigdy wcześniej nie fantazjował na temat krzywdzenia dzieci, nawet do głowy mu nie przyszło, by potrząsnąć nimi lub dać im klapsa, gdy były niegrzeczne, skąd w takim razie w jego umyśle wzięła się ta chora wizja? Co dziwniejsze, po zamordowaniu córki się nie obudził. Niewzruszony podszedł do żony i poderznął jej gardło. Potem przyszła pora na teściową, dla której przewidział więcej atrakcji...

– Wszystko w porządku? – usłyszał zaniepokojony głos Doroty.

Potrząsnął głową. Potrzebował dłuższej chwili, by zorientować się, że nie leży w swoim łóżku – ba! – że w ogóle nie leży ani nawet nie siedzi, tylko stoi w długiej kolejce. Niemożliwe, by usnął w takich warunkach. Nie potrafił drzemać w samolocie czy pociągu, a co dopiero na stojąco pośród tylu ludzi.

– Kochanie? – dodała.

– Tak, tak – mruknął.

– Na pewno? Rozmawialiśmy, a ty nagle zamknąłeś oczy i krzyknąłeś.

– Oj tam, od razu krzyknąłem. Przypomniałem sobie, że najbliższe czterdzieści osiem godzin spędzę w towarzystwie twojej matki. – Próbował obrócić wszystko w żart, ale nie wypadł zbyt wiarygodnie. Nie pamiętał, o czym rozmawiali, w ogóle nie kojarzył, w jaki sposób znaleźli się w gdyńskim porcie. Przed oczami miał tylko makabryczne sceny, o których jak najszybciej chciałby zapomnieć.

– Miałeś wybór – odparła. – Mogłeś zaproponować wycieczkę twoim rodzicom, tylko jak sam powiedziałeś, zamiast opiekować się wnukami, pewnie poszliby do baru.

Nie miał pojęcia, o czym mówiła. Co gorsza, nie był w stanie przypomnieć sobie swoich rodziców. Nie potrafił przywołać w pamięci ich twarzy, nie pamiętał imion, nie miał żadnego wspólnego wspomnienia. Po chwili zastanowienia stwierdził, że w ogóle niewiele pamięta. Wiedział, że wykupili z Dorotą bilety na rejs do Szwecji, że płynie z nimi Alina, która miała opiekować się dziećmi, podczas gdy on z żoną będzie szalał na parkiecie. Pamiętał, że to piętnasta rocznica ich ślubu, że cieszyli się na tę okazję od wielu tygodni, ale wszystko to bardziej przypominało wyuczoną na pamięć formułkę. Nie czuł ekscytacji,

nie pamiętał przygotowań, nie wiedział nawet, czy do portu przyjechali własnym samochodem, czy taksówką.

– Oj, żartowałam – dodała Dorota, szturchając go łokciem. – Jesteś jakiś taki nieobecny.

Przyjrzał się żonie. Próbował przypomnieć sobie o niej cokolwiek, nieważne co: drugie imię, znak szczególny, ulubiony kolor czy choćby datę urodzin. Czuł, że ją kocha, że są dobraną parą, że pomimo piętnastoletniego stażu wciąż go pociągała. Równie niewiele wiedział o własnych dzieciach. Nie miał pojęcia, ile mają lat, w co się lubią bawić, do jakich szkół chodzą. Z tyłu głowy kołatało mu się coś o dinozaurach, ale mogła być to zasługa koszulki z tyranozaurom, którą miał na sobie Paweł.

– Kiepsko się czuję – odparł po dłuższej chwili.

– No właśnie widzę. Co się dzieje?

Nie wiedział, od czego zacząć. Nie powie przecież, że nic nie pamięta ani że przed chwilą wyobrażał sobie, jak podrzyna jej gardło.

– Chyba wolę wrócić do domu – mruknął. Gdziekolwiek mieszkamy, dodał w myślach. Miał nadzieję, że przyjechali taksówką, w przeciwnym razie będzie miał problem z powrotem. O ile w ogóle mieli własny samochód, bo tego też nie pamiętał.

Dorota położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jak to chcesz wrócić? – zapytała. – Przecież czekaliśmy na ten rejs tak długo. Coś cię boli?

– Głowa mi pęka – skłamał. – W ogóle jestem jakiś rozbity. Nie będę czerpał przyjemności z podróży. Najchętniej od razu bym się położył.

Przymrużyła oczy. Po tylu latach wspólnego życia powinien potrafić odczytywać tego typu oznaki, a on nie miał pojęcia, czy w ten sposób żona wyraża troskę, czy wręcz przeciwnie, posądza go o kłamstwo.

– No to się zdrzemniesz w kajucie – odparła. – Nie możemy wrócić. Pał sześć naszą rocznicę, chociaż przyznam, że nastawiłam się na szaleństwa. Dzieciakom za bardzo zależy. Tyle im naopowiadaliśmy o atrakcjach na statku i w parku rozrywki, że musisz zacisnąć zęby. Może weź tabletkę przeciwbólową.

Spojrzał na pogrążonych w zabawie Karolinę i Pawła. Z jednej strony miał wrażenie, że obserwuje obce dzieci, z drugiej czuł, że je kocha i zrobiłby dla nich wszystko. Tak bardzo chciał coś sobie o nich przypomnieć. Cokolwiek. Ucieszyłaby go każda błahostka.

– Chodź – dodała Dorota. – Nasza kolej. Zobaczysz, będzie super.

Jeśli miałby oceniać żonę na podstawie jednej rozmowy, opisałby ją jako bezkompromisową, skuteczną kobietę biznesu, która niekoniecznie przejmuje się mężem. Niby cieszy się na piętnastą rocznicę ślubu, ale od uczuć Sebastiana bardziej interesowało ją wykonanie ustalonego planu.

Westchnął ciężko, po czym ruszył za nią do okienka. Nie chciał się sprzeczać. Gdyby poznała prawdę, pewnie zachowałyby się zupełnie inaczej. Tylko jak? Przejęłaby się nim? Zarzuciłaby go setką rodzinnych anegdotek, dzięki którym wróciłaby mu pamięć? A może

by się go przestraszyła? Nic o niej nie wiedział, równie dobrze mogła być typem kobiety, która skupia się wyłącznie na dzieciach. Zamiast mu pomóc, w jej głowie może rozbłysnąć żarówka ostrzegawcza, nakazująca przede wszystkim ochronę Karolinki i Pawła.

Po chwili rozważania o Dorocie i dzieciach straciły na znaczeniu.

– Ty...! – rzucił na widok mężczyzny siedzącego w okienku.

Nieznajomy się uśmiechnął. Poprawka, to nie był nieznajomy. Miał na imię Artur. Pracował nie tylko w okienku odpraw, ale również na pokładzie promu.

– Zaskocz mnie – powiedział mężczyzna, dziwnie rozluźniony. Siedział ze zwolnionym oparciem krzesła, odchylony mocno do tyłu i z rękami założonymi za głowę, dlatego wyglądał, jakby zrobił sobie akurat przerwę.

– Znam cię!

– To już coś. Kolejnej bezsensownej gadki bym nie wytrzymał.

– Byłeś tam! Mówiłeś coś o duszeniu, kazałeś zmienić metodę.

– Zgadza się, ale teraz o tym nie myśl. W ogóle nie myśl o mnie. Jestem tylko mostem łączącym cię z rzeczywistością.

– Kazałeś mi nie spuszczać ich z oczu. Kazałeś mi ich zabić! O co tu chodzi? Co to, jakaś cholerna inepcja?

Mężczyzna wyprostował się na krześle, po czym pochylił się w stronę Sebastiana.

– Zapomnij o mnie – oznajmił stanowczo. – Skup się na dzieciach. Zabiłeś je dopiero raz, trudno oczekiwać tak szybkich rezultatów. Zrób to ponownie i ponownie, dopiero wtedy porozmawiamy. – Uśmiechnął się życzliwie, postukał w klawiaturę komputera, po czym sięgnął do drukarki i wyciągnął karty pokładowe. – Bardzo proszę – dodał, podając je Dorocie. – Z bagażami proszę przejść do sąsiedniego pomieszczenia, skąd już można bezpośrednio trafić na prom. Na miejscu zostaniecie państwo poinformowani, gdzie dokładnie znajduje się wasza kabina. Życzę udanego rejsu i cudownego pobytu.

– Dziękujemy – odparła Dorota, po czym klepnęła Sebastiana w plecy i ruszyła w stronę Aliny zabawiającej wnuki.

Możdzeń odprowadził ją wzrokiem. To prawda, nie wiedział nic o swojej żonie, nie potrafił przewidzieć jej reakcji, ale czegoś podobnego się nie spodziewał. Zamiast doznać szoku, dochodzić, o co chodzi Arturowi, czemu jej mąż mówi o zabijaniu Karolinki i Pawła, jak gdyby nigdy nic odebrała karty pokładowe i poszła.

– Ona tego nie słyszała – dodał Artur. – Nie myśl o tym. Nie zastanawiaj się, jak to możliwe. Przyjmij świat takim, jakim jest, inaczej znów się zagubisz. Masz zadanie do wykonania. Powtórz poprzednią scenę. Skup się na dzieciach. One wywołują w tobie najsilniejsze emocje. Tylko dzięki nim pójdziesz o krok dalej.

– O czym ty...

– Dzieci. Skup się na dzieciach. Tylko one się liczą. Patrz im w oczy. Syć się ich bólem. Jeśli dasz radę, nie zabijaj ich od razu. Niech patrzą na śmierć matki, niech płaczą, niech błagają o pomoc. Poczuj ich przerażenie. Delektuj się nim.

Sebastian odsunął się od okienka. Nie chciał słuchać tego psychopaty. Nie rozumiał go, a przynajmniej nie chciał rozumieć. Wszystko to przypominało chory sen, projekcję odurzonego umysłu żadnego makabrycznych doznań. Słowa mężczyzny przeważały szalę. Ani myślał teraz wchodzić na pokład. Mógłby sobie poradzić z lukami w pamięci, być może nawet zapomniałby o śnie, w którym zamordował własne dzieci, ale nie widział żadnego wytłumaczenia dla zachowania pracownika obsługi i dla faktu, że Dorota zupełnie go zignorowała.

Nie przejmując się rodziną, obrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. W tej chwili nie interesowało go, dokąd pójdzie. Nieważne, że nie pamiętał, gdzie mieszka ani jak dostał się do portu. Musiał opuścić to przekłete miejsce, zaczerpnąć świeżego powietrza, oddalić się od Doroty i tego dziwnego człowieka.

Po kilkunastu sekundach dotarł do rozwidlenia korytarza. Jedna odnoga prowadziła do toalet i pomieszczeń służbowych, druga do wyjścia na parking. Wybierając tę drugą, nie mógł pozbyć się wrażenia, że już kiedyś to zrobił. Pamiętał towarzyszące mu wówczas emocje. Był zły na żonę, chyba jej szukał, a może przed nią uciekał. To oczywiście niemożliwe, pewnie umysł podrzucił mu kolejny fragment snu, w każdym razie nigdy wcześniej nawet nie otarł się o tak silne odczucie *déjà vu*.

Pokonując kolejne metry, zdał sobie sprawę, że co rusz zerka przez ramię. Nie potrafił odpowiedzieć, czy bardziej boi się zobaczyć pędzącego za nim Artura, czy zaniepokojoną Dorotę, wiedział natomiast, że widok pustego korytarza przyniósł mu niemałą ulgę. Ucieczka nie była w jego stylu – taką przynajmniej miał nadzieję, bo w tej chwili nic o sobie nie wiedział – czuł jednak, że z każdą upływającą sekundą spędzoną w terminalu popada w coraz większy obłąd.

Widok przesuwanych drzwi prowadzących na zewnątrz dodał mu sił. Teraz nawet nie udawał, że ucieka. Ostatnią prostą pokonał szybkim truchtem, nie zatrzymał się tuż za drzwiami, chciał uciec jak najdalej.

– Co pan, żelazko zostawił włączone w domu? – usłyszał rozbawiony głos dochodzący z tyłu.

Intuicja podpowiadała, by go zignorować, nie zatrzymywać się, biec w stronę ulicy, wsiąść do pierwszego lepszego autobusu albo nawet złapać stopa, a jednak Sebastian przystanął i spojrzał na nieznajomego. Poprawka, rozpoznał tego niewysokiego, uśmiechniętego mężczyznę. Nie pamiętał jego imienia, ale doskonale pamiętał, jak w makabrycznej wizji zamordował go za pomocą noża.

– Kim pan jest? – zapytał ostrym tonem.

Uśmiech zniknął z twarzy nieznajomego tylko na chwilę.

– Co, mam się wylegitymować? – zakpił. Najwyraźniej dostrzegł determinację w oczach Sebastiana, bo po chwili dodał: – Widziałem pana w kolejce. Nie chciało mi się tam stać, więc wyszedłem na dymka. Pan też pali?

Możdzeń nie odpowiedział. Jego uwagę przykuły dwie młode dziewczyny i towarzyszący im kolega. Obserwując, jak wysiadają z taksówki, czuł się co najmniej niezręcznie. Mężczyźni w jego wieku nie wypada tak nachalnie gapić się na atrakcyjne studentki, niemniej nie mógł pozbyć się wrażenia, że także te dziewczyny gdzieś już poznał.

– Jest na czym oko zawiesić – skomentował nachalny facet.

Sebastian ponownie go zignorował i kolejny raz nie posłuchał intuicji, która nakazywała, by wsiąść do zwolnionej taksówki. Zamiast tego obserwował trójkę dzieciaków, która żywiołowo o czymś dyskutowała.

– Że też rodzice pozwalają im tak się ubierać – dodał natręt. – Moja Ula nie wyszłaby z domu w czymś takim.

Imię mężczyzny wciąż pozostawało dla Możdżenia tajemnicą, jednak dziwnie znajoma wydawała się irytacja, jaką odczuwał po kolejnych jego wypowiedziach. Mógłby przysiąc, że wcześniej już niejednokrotnie kazał mu się zamknąć, być może nawet posunął się do rękoczynów. Teraz też najchętniej zamknąłby mu usta, ale zamiast tego skupił się na idących w jego stronę dzieciakach. Im dłużej im się przyglądał, tym mocniej czuł łączącą ich więź. Nie potrafił tego nazwać, nie potrafił nawet doprecyzować, co tak naprawdę czuje, jedynym przychodzącym mu do głowy określeniem było „przeznaczenie”.

– Mieliśmy dzielić się wszystkimi kosztami – burknęła wyraźnie niezadowolona blondynka.

– Co ci poradzę, że nie mam hajsu – odparł towarzyszący jej chłopak. Jego akurat Możdzeń widział po raz pierwszy, tak przynajmniej mu się wydawało, bo chwilowo nie ufał własnej pamięci.

– Nie pieprz głupot. Z naszej trójki tylko ciebie sponsorują starzy. Oddasz mi kasę co do grosza.

– Mhm, mhm – zaśmiał się chłopak. – Zmienisz zdanie, jak ci zdradzę, w co zainwestowałem. Czeka nas gruba impreza.

Sebastian spojrzał na milczącą do tej pory brunetkę. Dziewczyna najwyraźniej poczuła na sobie jego wzrok, bo zerknęła na niego. Ku jego zaskoczeniu posłała mu ciepły uśmiech, jakby też poczuła, że coś ich łączy.

– Boję się, co będzie, jak moja Ula wpadnie w takie towarzystwo – oznajmił natręt.

– Nie dożyjesz tego – odparł odruchowo Sebastian.

Dopiero zdziwiona mina mężczyzny uświadomiła mu, co tak naprawdę powiedział. W pierwszym odruchu chciał go przeprosić, ale po chwili zdał sobie sprawę, że nie żałuje wypowiedzianych słów. Co więcej, gotów był powtórzyć je i podkreślić, że on sam przyłożył do tego rękę.

– To jakiś żart? – zapytał ojciec Uli.

– A widzisz, żebym się śmiał?

– Nie rozumiem.

– Bo jesteś idiotą. Wyłożyłbym ci to dokładniej, ale i tak nie zrozumiesz. Zejdź mi z oczu, snuj dalej swoje opowieści o córce, ale Bóg mi świadkiem, że jak jeszcze raz się do mnie odezwiesz, to ci przywalę. Uwierz mi, to i tak będzie najniższy wymiar kary.

Facet, o dziwo, zrozumiał komunikat i zamiast prosić się o guza, bez słowa wrócił do budynku. Sebastian czuł, że powinien pójść za nim. Tym razem nie była to intuicja, ta nie miała już nic do gadania, jej miejsce zajął gniew podsycony wspomnieniem rozmowy z Arturem. Wbrew pozorom negatywne emocje nie były nakierowane na mężczyznę pracującego w okienku. W tej chwili Sebastian nie miał mu nic do zarzucenia, ba!, był mu nawet wdzięczny, że próbował przywrócić mu pamięć. Tego samego nie mógł powiedzieć o Dorocie i dzieciach...

Nieświadomie uśmiechnął się na myśl, że może ich skrzywdzić. Tym razem nie będzie działał tak szybko. Posłucha rady Artura i zamiast od razu zabić, będzie się bawił ich strachem. Nie miał jeszcze konkretnego pomysłu, nie chciał niczego planować, wolał postawić na spontaniczność. Brutalność i spontaniczność.

Niespiesznym krokiem wrócił do terminalu. Pomimo postanowienia o braku planu nie potrafił odmówić sobie fantazjowania o tym, co zrobi Dorocie. Z przyjemnością odwdzięczy jej się za brak empatii, którym się wykazała. Gdyby zareagowała inaczej, gdyby zachowała się jak na żonę przystało, teraz siedzieliby w taksówce i snuli plany na wieczór. Być może Sebastian przypomniałby sobie coś więcej z ich wspólnego życia, miłe wspomnienia wyparłyby makabryczne wizje, a małżonkowie zapomnieliby o niedoszłym rejsie i skupili się na kameralnym świętowaniu rocznicy. Ale nie, dla niej ważniejsze było trwanie w postanowieniu i dobro dzieci. Skoro tak bardzo jej zależało na rejsie, to proszę bardzo. Już on zapewni im niezapomniane doznania, z którymi nie mogły się równać żadne atrakcje zaplanowane przez organizatora wycieczki.

Poczuł przyjemne mrowienie w ciele, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz żony rozpaczliwie próbującej bronić dzieci. Jej krzyk, naiwna nadzieja, że ktoś im pomoże, płacz i błaganie, by Sebastian się opamiętał. Już nie będzie taka pewna siebie, już nie będzie się tak uśmiechać, a jak nie przestanie krzyczeć, to odetnie jej język. Tak na rozgrzewkę, dlaczego nie?

Zatrzymał się w pół kroku, przerażony własnymi myślami. Nie zauważył, kiedy minął rozwidlenie. Pogrążony w chorych fantazjach, niemal jak zahipnotyzowany wrócił do rodziny, choć dopiero co chciał się trzymać od niej z daleka. Co nim kierowało? Co podsuwało chore wizje? Co pchało go do dokonania makabrycznej zbrodni? A może raczej – kto?

Nieświadomie spojrzął w stronę okienka, w którym pracował Artur. Miejsce mężczyzny zajęła znacznie młodsza dziewczyna. Po Dorocie i dzieciach również nie było śladu, co akurat przyjął z ulgą. Nie był pewien, jak zareagowałyby na ich widok. Szansa, że przypomniałby sobie coś więcej, była bliska zera, znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się to, że znów opanowałyby go mroczne myśli. Aby tego uniknąć, ponownie

odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę parkingu. Nie zdziwił go widok siedzącego na jednym z krzeseł ojca Uli, który na szczęście spuścił głowę i milczał. O ile Sebastian w życiu nie podniósłby ręki na żonę czy dzieci – a przynajmniej bardzo chciał w to wierzyć – o tyle irytującemu natrętowi z chęcią by przyłożył. Z tym człowiekiem było coś nie w porządku. Działał jak katalizator negatywnych emocji. Wystarczyło jedno jego słowo, a pięści same zaciskały się do ciosu. Mając w pamięci stan, do którego doprowadziła go poprzednia rozmowa z nim, Moździeń również spojrzął pod nogi. Nie chciał dopuścić do głosu makabrycznych wizji. Wystarczyła chwila słabości, a już wracał do żony, gotowy znęcać się nad nią i dziećmi. To nie kwestia przemęczenia czy kiepskiego dnia. Tu działo się coś znacznie gorszego.

Dotarł do przesuwanych drzwi. Prawie by na nie wpadł, ale zatrzymał się w ostatniej chwili.

– Co jest? – mruknął, machając ręką, by uaktywnić czujnik ruchu.

Mechanizm nie zareagował. Sebastian cofnął się o kilka kroków, w nadziei że drzwi się otworzą, po chwili jednak zrozumiał, że to nie wina usterki i że jego próby na nic się nie zdadzą.

– Tracisz czas – oznajmił spokojnie Artur. Nie wyglądał na zdenerwowanego ani choćby odrobinę wzburzonego. Emanowało od niego zmęczenie i zniechęcenie. Tego samego nie można było powiedzieć o stojących za nim dwóch mężczyznach w granatowych garniturach i białych koszulach. Rośli młodzieńcy sprawiali wrażenie gotowych do walki, jakby tylko czekali na znak do ataku.

– Nie możecie mnie tu zamknąć – odparł Moździeń.

– Zdziwiłbyś się.

– Przecież w terminalu jest mnóstwo pasażerów. Zaraz ktoś będzie chciał wejść do środka. Co wtedy zrobisz?

Artur pokręcił głową z politowaniem.

– Nikt nie przyjdzie.

– Nie? Dopiero co byłem przed parkingiem. Mijała mnie trójka studentów. Nie sądzę, żeby byli ostatnimi pasażerami. Zresztą, co mi zrobisz? Siłą wciągniesz mnie na pokład?

– Fakt, że spotkałeś Laurę, jest jedynym pozytywem tej sytuacji. Gdyby nie ona, rozmawiałbym z tobą inaczej. Mam nadzieję, że stosownie się jej odwdzięczysz. – Uśmiechnął się, rozbawiony własnym żartem. – Co zaś się tyczy odeskortowania ciebie na miejsce, to obaj wiemy, że nie masz wyboru. I nie chodzi tu o moich kolegów, są tu wyłącznie dla twojego poczucia komfortu, żebym nie musiał pozbawiać cię kontroli. Nie lubię tego. To zakłóca równowagę, którą i tak mocno już zachwiałeś. Nie pogarszajmy sytuacji. Jestem zmęczony. Dałeś mi nadzieję na przełom, a po chwili odstawiłeś taką szopkę. Naprawdę sądziłeś, że tak po prostu sobie stąd wyjdiesz?

Potań przekrwione oczy. Sebastian chciał przeciągać rozmowę, dopóki ktoś do nich nie dołączy. Nieważne kto, mógłby to być nawet ojciec Uli, który ponownie wyszedłby

zapalić.

– Mówię przecież, że nikt tu nie przyjdzie – dodał Artur. – I nie patrz tak na mnie. Nie potrafię czytać w myślach. To bardziej złożony proces, w który nie mogę cię wtajemniczyć. Nie myśl o tym, rób swoje.

Możdzeń spojrział na rosłych ochroniarzy. Podobnie jak Dorota wyglądali, jakby nie słyszeli słów Artura. Stali wyprostowani, z napiętymi mięśniami, jakby czekali na aktywację.

Artur ponownie potarł oczy.

– To bez sensu – westchnął. – Zupełnie się rozkojarzyłeś. Zaczynamy jeszcze raz. Tym razem w kajucie. Skup się, twój czas powoli dobiega końca.

Rozdział XIV

Nie pamiętał, kiedy położył się do łóżka, ale najwyraźniej uciął sobie krótką drzemkę. Przyjemną drzemkę, dodał w myślach, wspominając erotyczną fantazję z dwiema młodymi dziewczynami. Rzadko miewał podobne sny, a jeśli już się przydarzały, to występowały w nich osoby, które kojarzył z telewizji, z pewną prezenterką pogody na czele. Zazwyczaj budził wtedy Dorotę delikatnymi pieścizkami, w nadziei że pomimo senności udzieli jej się jego ochota na seks. I zazwyczaj tak właśnie się działo.

Rozejrzał się po pustej kajucie. O ile brak dzieci i teściowej przyjął z ulgą, o tyle nieobecność Doroty była mu wyjątkowo nie na rękę.

Albo na rękę, pomyślał rozbawiony niewyszukanym żartem.

Od lat się nie masturbował, tak jak nie oglądał filmów pornograficznych, bo uważał takie zachowania za pierwszy krok w stronę rozwodu. Nie rozumiał mężczyzn onanizujących się w tajemnicy pod prysznicem czy przed ekranem komputera, zaklejających kamerkę, by przypadkiem nikt ich nie nagrał. Trochę im współczuł, bo nic nie mogło zastąpić seksu z żoną – inna sprawa, że Dorota praktycznie zawsze była chętna i co ważniejsze, wciąż atrakcyjna. Może myślałby inaczej, gdyby cechowała ją oziębłość lub miała nadwagę, ale do dziś nawet nie przeszło mu przez myśl, by samemu sobie dogadzać. Może dlatego poczuł się z tą myślą nieswojo. Przypuszczał, że całość zajęłaby mu minutę lub dwie, mimo to zamiast zachowywać się jak napalony nastolatek, sięgnął po telefon i wybrał numer Doroty.

– Cholera – westchnął, usłyszawszy dźwięk dzwonka dochodzący z przewieszanej przez krzesło torebki.

Zawstydzony własną słabością, wszedł do łazienki. Nie poznawał samego siebie. Nigdy wcześniej tak go nie przycisnęło. Nawet kiedy budził się rozochocony, a ona nie miała nastroju, to nie obrażał się, nie próbował jej przekonywać, a tym bardziej nie biegł do łazienki, żeby się zaspokoić. Skąd u niego taka zmiana? W rocznicę ślubu powinien skupić się na żonie.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał pukanie do drzwi, ale stres spowodowany koniecznością ukrycia erekcji ustąpił miejsca jeszcze większemu podnieceniu. To nie była Alina ani dzieciaki. One nie pukały tak delikatnie. Karolinka z Pawłem wparowałiby do środka z okrzykiem na ustach. Skoro to nie one, to musiała być Dorota.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Nie wiedział jeszcze, jak wytłumaczy się żonie z pełnej gotowości do działania, ale już jego w tym głowa, by nie zaprzętała sobie myśli takimi drobiazgami. Zły, że w drzwiach nie zamontowano wizjera, chwycił za klamkę i lekko je uchylił. Rozegrałby to inaczej, gdyby miał stuprocentową pewność, że po drugiej stronie stoi żona, ale musiał postępować rozsądnie. Nie mógł przecież wyskoczyć nagi na sprzątaczkę czy pracownika obsługi.

Nie zdążył spojrzeć przez szparę, gdy ktoś energicznie pchnął drzwi. W ostatniej chwili cofnął się, by nie zostać staranowanym. Przez głowę przeszła mu myśl, że także na Dorotę rejs podziałał niczym afrodyzjak, po chwili jednak zapomniał o żonie.

– Co wy tu...? – powiedział cicho, nie dowierzając własnym oczom.

Do kajuty weszły, a w zasadzie wtargnęły, dziewczyny z jego snu. Blondynka miała na sobie obcisłe dżinsowe szorty i koszulkę na ramiączkach odsłaniającą brzuch. Brunetka wprawdzie zakryła znacznie więcej ciała, ale materiał, z którego była uszyta jej sukienka, zdradzał brak stanika.

– Czemu jesteś ubrany? – spytała blondynka, nie tracąc czasu na konwenanse.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. To nie mogło dziać się naprawdę. Wciąż śnił, nie widział innego wytłumaczenia. Zaraz się obudzi, odszuka Dorotę i nakłoni ją na szybki numerek. A że będzie szybki, to nie ulegało wątpliwości.

– A czemu ty jesteś ubrana? – odparła brunetka, po czym nie przejmując się otwartymi na oścież drzwiami, zsunęła ramiączka sukienki, która opadła na ziemię.

Sebastian nie mógł oderwać wzroku od jej młodego ciała. Pożądał go, chciał poczuć je pod palcami, ścisnąć młode, jędrne piersi, chłonąć zapach dziewczyny, zwłaszcza gdy spocona i wymęczona opadnie na niego. Nie potrzebował jej koleżanki. Była miłym dodatkiem, ale później wolałby w całości skupić się na brunetce.

Zbliżył się do dziewczyny i spojrzał na nią z góry. W tej chwili nie przeszkadzała mu różnica wieku, która zazwyczaj skutecznie odciągała jego uwagę od studentek. Nie przeszkadzała mu też obrączka na jego palcu ani fakt, że w każdej chwili ktoś mógł ich nakryć. Stwierdził nawet, że adrenalina dodatkowo go nakręca.

Położył dłoń na biodrze dziewczyny. Delektował się miękką, delikatną skórą. Nie mógł narzekać na wygląd Doroty, w porównaniu z żonami jego kolegów była seksbombą, niemniej czasu nie oszukasz.

– Na litość boską – usłyszał męski głos dochodzący z korytarza.

Odruchowo cofnął się w głąb kajuty. Spodziewał się, że dziewczyny też jakoś zareagują, zwłaszcza brunetka, która mogłaby się ubrać, ale obie zignorowały nieproszonego gościa. Po chwili do pomieszczenia wszedł mężczyzna w granatowym garniturze i w takim wieku, że mógłby być ojcem jednej z nich.

– Poważnie? – zapytał.

– My nic... – zaczął Sebastian, ale nieznajomy uciszył go ruchem ręki.

– Nie mów, że mnie nie rozpoznajesz. – Facet skrócił dzielący ich dystans. Nawet nie spojrzał na nagą dziewczynę, która, o dziwo, jakby go w ogóle nie widziała i wciąż uśmiechała się zalotnie, gładząc się dłonią po piersi. – Nie wiesz, kim jestem?

Możdzień pokręcił głową.

– Tego tylko brakowało. Zniweczyłeś cały wcześniejszy postęp. Serio, młodych dup ci się zachciało? Skąd ci się to uroiło? Nigdy nie przejawiałeś takich zapędów.

– Nie...

– Milcz. Nie chcę słyszeć twojego głosu. Zaczynam żałować, że dałem się w to wciągnąć. Nie mamy czasu na nowy start. Albo się ogarniesz, albo kończymy z tym. A teraz je zabij, nie mogę dłużej patrzeć na te idiotki.

Rozdział XV

Czuła na sobie zniecierpliwiony wzrok pracownika obsługi, gdy nerwowo przeszukiwała torebkę. Po kilku sekundach bezsensownego przerzucania szpargałów zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie, co ma wyciągnąć. Paszport? Dowód osobisty? Potwierdzenie rezerwacji? Wszystko przecież leżało już przed nią.

– Dzień dobry – powiedziała zakłopotana. Nie kojarzyła, kiedy podeszła do okienka, ale skoro podała dokumenty siedzącemu po drugiej stronie mężczyźnie, to zapewne również się z nim przywitała.

Pracownik nie odpowiedział. On też wyglądał co najmniej na skonfundowanego. Niezręczna cisza trwała kilka sekund, po czym wreszcie zapytał:

– Nie rozpoznaje mnie pani?

Celina zmrużyła oczy. Zdarzało jej się nie poznawać ludzi na ulicy – miało to swoje dobre strony, bo nie zależało jej na pogawędkach z większością dawnych znajomych – a teraz, pomimo usilnych starań, nie potrafiła odszukać w pamięci twarzy mężczyzny.

– To zależy, czy wiszę panu jakieś pieniądze – zażartowała, by ukryć zakłopotanie. Widząc poważną minę nieznanego, dodała: – Przepraszam, ale nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czy mieliśmy przyjemność się poznać. Jak wnioskuję po wieku, może pan być synem jakiejś mojej koleżanki albo kuzynki. – Ponownie zmrużyła oczy, wysilając pamięć. Nieznajomy, a może znajomy, docenił jej trud, co okazał ledwie widocznym uśmiechem. – A może pan jest kolegą Klaudiusza?

Zalążki uśmiechu zniknęły szybciej, niż się pojawiły.

– Nic z tego nie rozumiem – wymamrotał mężczyzna. – Dlaczego Celina pojawia się dopiero teraz? Dlaczego zburzył wcześniej ustaloną kolejność? Podświadomie wyparł ją po scenie w kinie, wyrzucił z kolejki, skupił się na Sebastianie i Laurze. Dlaczego?

Jeśli wcześniej Wichrowska czuła się niepewnie, to teraz zaczęła rozważać, czy nie schować dokumentów z powrotem do torebki i nie wrócić do domu. To nie był jej najlepszy dzień. Gdzieś umknęło jej kilka ostatnich minut, a teraz najwyraźniej słuch ją zawodził – nie widziała innego wytłumaczenia dla tego niezrozumiałego monologu.

– Nie mogę tak bardzo ingerować – dodał po chwili sam do siebie. – To zaburza proces.

– Panie... – pochyliła się, by odczytać imię z plakietki przyklejonej do koszuli mężczyzny – Arturze, wygląda pan na przemęczonego.

Pracownik skinął głową, choć Celina podejrzewała, że nie tyle zgodził się z nią, ile doszedł w myślach do innego wniosku.

– Przepraszam – powiedział, życzliwie się uśmiechając. – Rzeczywiście, mam ostatnio sporo na głowie, ale nie powinno się to odbijać na mojej pracy. Już drukuję pani kartę pokładową, tylko proszę mi powiedzieć, czy kojarzy pani tamtego mężczyznę? – Wstał i wskazał rodzinę stojącą na końcu kolejki.

Celina miała dość zgadywanek, ale obróciła się i spojrzała na małżeństwo z dwójką dzieci. Towarzyszyła im starsza kobieta, która akurat rozmawiała przez telefon.

– Nie sądzę – odparła zgodnie z prawdą. – Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem, czemu mają służyć te pytania.

– Już niczemu. – Podał jej kartę pokładową. – Proszę się udać do sąsiedniego pomieszczenia, skąd przejdzie pani bezpośrednio na pokład promu. Życzę udanej podróży. Klaudiusz bardzo się postarał, wykupił najdroższe bilety. Z pewnością czeka na pani relację.

– Dziękuję.

Odebrała dokumenty, po czym ruszyła we wskazane miejsce. Dopiero po paru krokach zdała sobie sprawę, że przecież nie wspominała temu mężczyźnie o swoim synu. A może jednak powiedziała coś o Klaudiuszu... Nie pamiętała przecież wydarzeń poprzedzających nerwowe przetrząsanie torebki. Jedynym sensownym wytłumaczeniem wydawało jej się, że wspomniała o nadopiekuńczym synu, który który zasponsorował jej rejs. Zazwyczaj nie była zbyt wylewna, zwłaszcza wobec nowo poznanych osób, niemniej pamiętała, co robiła kilka minut wcześniej.

– Oj, Stasiu, Stasiu – westchnęła cicho. – Sam widzisz, co się ze mną dzieje. Mam nadzieję, że trzymasz dla mnie miejsce z ładnym widokiem.

Próbując przypomnieć sobie całą rozmowę z pracownikiem obsługi, spuściła głowę i podążała za innymi pasażerami. Ta luka w pamięci ją zaniepokoiła. Słyszała czasem opowieści o ludziach, którzy odzyskiwali świadomość daleko od domu, nie wiedząc, jak się tam znaleźli – czasem w piżamie albo, w środku lata, ubrani w grube płaszcze i czapki. Do tej pory traktowała tego typu historie z dystansem, przecież dotyczyły ludzi cierpiących na demencję starczą lub alzheimera, a ona była okazem zdrowia. To co, że czasem sobie pogada z martwym mężem, robiła to przecież w sposób świadomy i w pełni kontrolowany.

Westchnęła i przystanęła przed schodami. Nie miała ochoty na podróż. Zamiast cieszyć się atrakcjami wykupionymi przez Klaudiusza, cały czas martwiłaby się o swoje zdrowie psychiczne. A co, jeśli znowu dopadnie ją chwilowa amnezja? Co, jeśli zapomni, gdzie znajduje się jej kajuta? Nie, to bez sensu. Najwyżej syn się na nią obrazi i nazwie ją niewdzięcznicą, może rozgoryczony da jej spokój na kilka dni.

Decyzja o powrocie wprawiła ją w nadspodziewanie dobry humor. Od razu zadarła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Jeszcze nie wiedziała, jak spędzi wieczór, ale zawsze mogła liczyć na niezawodne *Przeminęło z wiatrem*, które przeczytała już niezliczoną ilość

razy. A może pora zaszaść, pomyślała. Zamiast kolejny raz czytać tę samą historię, lepiej pójść do księgarni i kupić jakąś nowość. Koniec końców i tak pewnie odłoży ją po kilkunastu stronach i wróci do sprawdzonej klasyki, niemniej czasem warto spróbować czegoś innego.

Entuzjazm związany z powrotem częściowo ugasiła konieczność poinformowania o swojej decyzji Klaudiusza. I tak wkrótce by do niej zadzwonił, lepiej więc mieć to już za sobą i skupić się na przyjemniejszych sprawach.

Wyciągnęła telefon, weszła w rejestr połączeń i wybrała numer syna. Uśmiechnęła się kwaśno, spostrzegłszy, że sześć ostatnich rozmów odbyła nie z kim innym, tylko z Klaudiuszem.

– No, gdzie jesteś? – usłyszała kobiecy głos.

Zaskoczona odsunęła urządzenie od ucha i upewniła się, że kliknęła na odpowiedni kontakt. Jej syn dawno się z nikim nie spotykał. Może zgubił telefon?

– Yyy... – wydukała. – Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Klaudiuszem?

– Że co? – spytała nieznajoma. Ton jej głosu sugerował, że była co najmniej równie zdziwiona. – Mamo, gdzie ty się podziewasz?

– Mamo? – Ponownie odsunęła aparat i sprawdziła wyświetlony numer, jakby w ciągu kilku ostatnich sekund mogło się coś zmienić. – Ma pani telefon mojego syna, Klaudiusza. Jeśli go pani nie zna, to znaczy, że przywłaszczyła sobie pani jego komórkę.

– O czym ty... Czekaj, widzę cię! – Nieznajoma zakończyła połączenie.

Celina dłuższą chwilę wpatrywała się w wyświetlacz, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Zadzwonić na policję? Skontaktować się z jakimś znajomym syna? Tylko z kim? Nie znała jego kolegów z pracy ani sąsiadów. Kiedyś przyjaźnił się z takim Pawłem, ale on dawno temu wyemigrował do Wielkiej Brytanii.

– Mamo! – krzyknęła jakaś kobieta, utrudniając jej zebranie myśli.

Wichrowska spojrzała na zbliżającą się do niej blondynkę. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, ale i zatroskanej, jakby nie wiedziała, czy bardziej się złości, czy martwi.

– Co się dzieje? – spytała, zwracając się do Celiny. Teraz na jej twarzy dominowała troska.

– C-co? – zająknęła się Wichrowska.

– Dlaczego poszłaś bez nas? No i co to za dziwne rzeczy przed chwilą wygadywałaś? O jakim Klaudiuszu? Dobrze się czujesz?

Celina potrzebowała chwili, by zrozumieć, co kobieta do niej mówi, a właściwie to nie tyle zrozumieć, ile przyjąć do wiadomości, bo jej słowa nie miały większego sensu. Już miała wyjaśnić blondynce, że chyba ją z kimś pomyliła, gdy zza jej pleców wybiegło dwoje dzieci i mocno przytuliło się do Wichrowskiej. Celina, ścisłana przez tę dwójkę, nie wiedziała, jak zareagować. Nigdy wcześniej nawet nie otarła się o tak absurdalną sytuację. Gdyby znajdowała się gdzie indziej, podejrzewałaby, że niedorożki próbują ukraść jej

portfel lub telefon, ale w porcie, tuż przed wejściem na prom, na terenie monitorowanym, coś takiego nie mogło mieć miejsca.

Po ciągnącej się w nieskończoność chwili odsunęła od siebie dzieci, a ich matkę obrzuciła gniewnym spojrzeniem. Rozpoznała ją. Wcześniej towarzyszyła mężczyźnie wskazanemu przez Artura. Niewiele to wyjaśniało, komplikowało wręcz zrozumienie sytuacji, ale przynajmniej mogła się już na coś oprzeć.

– Skąd ma pani telefon mojego syna? – zapytała wprost.

Blondynka zmarszczyła brwi, jakby jej nie zrozumiała. Po chwili na jej twarzy pojawił się strach.

– Pani? – zapytała zaniepokojonym głosem. – O czym ty mówisz? Nie poznajesz mnie?

– Trzeci raz słyszę podobne pytanie. Nie, nie kojarzę pani, nie kojarzę pani męża, dzieci ani waszego znajomego dokonującego odprawy. To jakiś żart Klaudiusza? Nasłał was, żeby mieć pewność, że wsiądę na prom? Zawsze był nadopiekuńczy, ale to już spora przesada.

Udawała pewną siebie, niemniej w środku wszystko się w niej gotowało. Nawet jeśli syn posunął się tak daleko, to i tak nie mogła znaleźć wyjaśnienia dla swojej częściowej amnezji. A jeśli on nie miał z tym nic wspólnego? Nie chciała nawet o tym myśleć. Bała się choroby psychicznej. Wolałaby być przykuta do łóżka, lecz zachować zdrowe zmysły, niż stracić kontakt ze światem.

– Wróćcie do taty. – Blondynka odciągnęła dzieci, a one grzecznie wykonały polecenie, choć niepewnie oglądały się za ramię. – Mamo, skup się – dodała, gdy dziewczynka z chłopcem oddalili się na kilka metrów.

– Proszę tak do mnie nie mówić.

– Matko święta... – Kobieta na chwilę zakryła twarz dłońmi, po czym zmierzyła Celinę spojrzeniem pełnym troski. – Co się stało? Uderzyłaś się? Coś cię boli? Przecież chwilę wcześniej stałyśmy w kolejce i normalnie rozmawiałyśmy. Nie pamiętasz?

– Nie mam zamiaru ciągnąć tej rozmowy. Albo pani powie prawdę, albo wracam do głównej części portu.

Kobieta położyła jej dłoń na ramieniu. Gest był delikatny, przepełniony troską, jakby rzeczywiście wierzyła w to, co mówi. Gdyby nie zachowanie dzieci, Celina uznałaby ją za wariatkę, ale mając na uwadze wcześniejsze zdarzenia, to raczej ona kwalifikowała się do pilnej wizyty u psychiatry.

– Tak – odparła blondynka. – Masz rację, nie możemy tak tu stać. Chodź, wrócimy do domu, odpoczniesz, napijesz się czegoś. Na pewno wszystko sobie przypomnisz.

– Nigdzie z panią... – Urwała, gdy Dorota chwyciła ją za dłoń.

Dorota, powtórzyła w myślach jej imię. Dorota Możdzeń, żona Sebastiana Możdżenia, matka Karolinki i Pawła. Jej córka. Jej mała Dorotka. Słodka blondyneczka z różowymi kokardkami we włosach, które odwiązywała tuż po wyjściu na podwórko. Wracając, nieudolnie zawiązywała je z powrotem, jakby to miało odwrócić uwagę rodziców od

brudnych ubrań, podrapanych kolan, siniaków, a któregoś razu nawet od podbitego oka. Na początku Celina próbowała wyjaśnić córce, że małe dziewczynki nie wchodzą na drzewa, nie przepychają się z chłopcami i nie grają w kapsle, ale po kilku tygodniach odpuściła. Nie każda musi chodzić z wózkiem i urządzać przyjęcia dla lalek.

Uścisnęła dłoń córki. Miała ochotę przytulić ją z całych sił i przeprosić za swoje zachowanie, ale z emocji nie mogła się ruszyć ani wypowiedzieć choćby jednego słowa. Nie chciała być ciężarem, kulą u nogi uniemożliwiającą normalne funkcjonowanie. Do tej pory cieszyła się, że pomimo podeszłego wieku była w stanie pomagać młodym; potrafiła spędzić tydzień z dziećmi, latać za nimi, bawić się, dotrzymywać im kroku. Taką babcią chciała być, a nie dziwaczką niepoznającą wnuków, której wszyscy się boją. Miesiąc życia pod jednym dachem z kimś takim wymaże z pamięci wszystkie cudowne lata.

– Mamo? – Dorota otarła łzę z jej policzka.

– Przepraszam – wydukała. – Już jest dobrze.

Korytarzem niósł się głos Karolinki. Dziewczynka, nie przejmując się ludźmi wokół, głośno relacjonowała ojcu spotkanie z babcią. Na szczęście nie rozumiała, czego była świadkiem. Ciągnąc Sebastiana za rękę, śmiała się, że babcia uciekła i zabawnie się zachowuje.

Celina puściła dłoń córki. Tym razem nie kierowały nią strach i problemy z pamięcią, choć wciąż obawiała się o swoje zdrowie psychiczne. To jednak nie była pora na zamartwianie się, co przyniesie czas. Dość już napsuła nerwów Dorocie. Zamiast zająć się dziećmi, by córka mogła celebrować rocznicę ślubu, doprowadziła ją do łez. To nie w stylu Celiny. Ona nie sprawia problemów. Ona je rozwiązuje.

– Nigdzie nie wracamy – oświadczyła cicho.

– Ale mamo...

– Już wszystko pamiętam. Narzuciłam sobie za szybkie tempo, coś mi się przestawiło w starej głowie, na szczęście już wróciło na swoje miejsce.

– Nie, mamo. Musi cię zbadać lekarz.

– Zbada po powrocie. To miłe, że martwisz się o matkę, ale wszystko jest już w porządku. Przepraszam, popsulałam ci ważny dzień. Pozwól, że przynajmniej spróbuję się zrehabilitować.

Wiedziała, że Dorota nie odpuści, że będzie nalegać na powrót do domu, dlatego nie dała jej czasu na odpowiedź i od razu wybiegła wnukom na powitanie. Karolinki nie trzeba było zapraszać do wygłupów. Widząc babcię, od razu wyrwała się ojcu i pognęła do niej co sił w nogach, by uwiesić się jej na szyi. Pawełek zachował dystans. Dzielili ich tylko rok, ale w odróżnieniu od młodszej siostry chłopak dostrzegł w zachowaniu Celiny coś niepokojącego i teraz, zamiast rzucić się w wir zabawy, obserwował ją niepewnie. Skapitulował dopiero wtedy, gdy uniosła dziewczynkę i zaczęła łaskotać ją nosem po brzuchu. Zdawała sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma, a wieczorem wszystkie

mięśnie będą jej „dziękować” za zbyt duży wysiłek, ale w tej chwili liczyło się tylko udobruchanie dzieci i Doroty.

– Ja też! – zawołał rozochocony Paweł.

Nawet potrzeba przykrycia wpadki nie była w stanie dodać Wichrowskiej aż tyle siły, by zdołała dźwignąć chłopca, dlatego odstawiła Karolinę, po czym szybkim ruchem objęła dwójkę i kolejno obcałowywała wnuki po szyi. Dzieci śmiały się, próbowały się wyswobodzić, Pawełek nawet przypadkiem mocniej uderzył ją łokciem w brodę, ale nie odpuszczała. Kątem oka obserwowała zaaferowaną córkę, która zdawała raport Sebastianowi. Na szczęście zięć nie darzył teściowej przesadną sympatią – dość powiedzieć, że po tylu latach wciąż nie zwracał się do niej per „mamo” – dlatego nie przejął się rewelacjami małżonki. Zapewne skwitował je czymś w stylu: „na pewno przesadzasz, przecież teraz zachowuje się zupełnie normalnie” albo „nie psujmy sobie rocznicy”. Dorota nie wyglądała na przekonaną, toteż Wichrowska poszła o krok dalej.

– A teraz ścigamy się – powiedziała, puszczając wnuki. – Kto pierwszy znajdzie cukiernię, ten wybiera, co jemy!

Tym razem nie było widać różnicy wieku między dziećmi. Oboje wyrwały do przodu niczym sprinterzy w biegu na sto metrów. Paweł z racji przewagi fizycznej momentalnie zdystansował siostrę, ona jednak nie zamierzała się poddawać. Trudniejsze zadanie czekało Celinę.

– Daj mi ich karty pokładowe – rzuciła do córki.

– Nie mają własnych. Dostaliśmy tylko dwie.

– To daj mi jedną, bo swoją gdzieś zapodziałam. – Wykorzystując niezdecydowanie Doroty, wyrwała jej dokumenty dzieci, po czym popędziła za wnukami. Na odchodne dodała: – To wasza rocznica, macie godzinkę dla siebie.

Nie dosłyszała odpowiedzi zięcia, ale nie popędził za nią ani nie krzyknął, by poczekała, uznała więc, że nie miał nic przeciwko spędzeniu kilkunastu następnych minut sam na sam z żoną. Brudne myśli, które zapewne natychmiast ogarnęły jego umysł, nie dopuściły do głosu obaw, że po takim wysiłku Celina padnie ze zmęczenia, i on z Dorotą będą musieli zajmować się dziećmi przez resztę rejsu. Na razie jednak czuła się doskonale. Pokonanie schodów nie stanowiło problemu i na górze doścignęła wnuki, które zniecierpliwione czekały przed drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na pokład.

– To nieuczciwe – burknął Paweł. – Byłem z przodu. Powinniście teraz poczekać, aż się oddalę.

– A ja mam ponad siedemdziesiąt lat i niemałą nadwagę. To dopiero jest nieuczciwe.

– Nikt ci, babciu, nie każe jeść ciasta i lodów. Mogę wziąć twoją porcję.

– Ach, jakiś ty wspaniałomyślny, istny dżentelmen. Muszę cię rozczarować, Pawełku, babcia ma ogromną ochotę na rurki z bitą śmietaną, dlatego muszę dobiec pierwsza.

Skończywszy zdanie, wyrwała do przodu. Udawała skupioną wyłącznie na wyścigu, ale kątem oka obserwowała, czy wnuki za nią podążają. Upewniwszy się, że tak jest, machnęła

kartą przed oczami dwóm młodym dziewczynom witającym gości, po czym rozejrzała się po pokładzie. Ten wyglądał dziwnie znajomo. Być może w porcie były zdjęcia ze statku lub przed wyjazdem przeglądała materiały promocyjne, ale nie do końca wyjaśniało to fakt, że kojarzyła nawet chłopaka oferującego podróżnym darmowe napoje. Inna sprawa, że na jego widok poczuła ochotę na słodki, zimny napój gazowany, choć zazwyczaj od nich stroniła.

Dziwne wrażenie *déjà vu* sprawiło, że zwolniła, przez co dzieci ją wyprzedziły. Nie mogła się teraz dekoncentrować, nie po tej amnezji. Musiała skupić się w stu procentach na wnukach, w przeciwnym razie odstawi kolejny numer, a tego już córka jej nie wybaczy.

Podążając za Karolinką i Pawłem, poczuła pierwsze objawy zmęczenia. Podnoszenie dziewczynki i bieg po schodach nie mogły nie odbić się na przeszło siedemdziesięcioletnim organizmie nieprzyzwyczajonym do tego typu zrywów. Pierwsza pojawiła się lekka zadyszka, tuż po niej dały o sobie znać mięśnie nóg i ramion, najważniejsze jednak, że umysł miał się doskonale. Z resztą Celina sobie poradzi.

Strefa restauracyjna znajdowała się na szczęście blisko pomieszczenia z windami. Wyścig, jak się można było domyślić, wygrał Paweł, który teraz dumnie prężył pierś w oczekiwaniu na babcię. Samozadowolenie brata rozjuszyło Karolinkę, która w charakterystyczny dla małych dzieci sposób skrzyżowała ręce na wysokości piersi i spuściła głowę. Celina nie przejęła się jej manifestem. Nawet śmiertelnie obrażona nie odmówi przecież ciasta i lodów.

– Wygrałem – zawołał dumny jak paw Paweł, gdy do nich dołączyła.

– To nieuczciwe – burknęła dziewczynka.

Wichrowska zmierzwiła im czupryny.

– Nie kłóćcie się – poprosiła. – Zamiast tego lepiej zastanówmy się, co zamówić. Oprócz rurek z bitą śmietaną, co już ustaliliśmy wcześniej.

– Nie chcę rurek – oświadczył Paweł. – Wolę ciasto czekoladowe.

– Blee. – Karolinka skrzywiła się, jakby brat kazał jej zjeść gotowaną brukselkę.

– Ja wygrałem, więc ja wybieram. Żadnych rurek, żadnych lodów. Tylko ciasto.

Nie do końca to przemyślałam, uznała Celina. Działając pod presją czasu, nie pomyślała o konsekwencjach wyścigu. Na szczęście jej umysł wciąż działał na pełnych obrotach.

– Babcia nie może jeść czekolady – skłamała, przybierając smutną minę. – Strasznie potem boli mnie brzuch.

– To nie musisz jeść, babciu – zaśmiał się Paweł. – Wciągnę twoją porcję. W sumie to w ogóle nie musicie jeść, sam zmieszczę cały tort. Możecie mi kibicować.

Celina rozejrzała się po korytarzu. Jej uwagę zwróciły oznaczenia na ścianie wskazujące drogę do kina.

– Zjesz za dużo i nie będziesz miał siły na bajkę w kinie – odparła. Dostrzegła zainteresowanie w oczach obojga wnucząt. – Nie chciałam zdradzać niespodzianki –

dodała, wyczuwając szansę na wygaszenie konfliktu – ale zamierzałam prosto z cukierni pójść na seans. Niech rodzice sobie od nas odpoczną.

– A na co? – zapytał Paweł.

– No właśnie tu mam problem. Skoro w kwestii deseru jesteś taki stanowczy, to Karolinka będzie mogła wybrać bajkę.

Dziewczynka energicznie przyklasnęła.

– Nie! – rzucił jej brat. – Nie chcę znowu *Krainy lodu*. Jest nudna i dziewczyńska. – Rozłożył ręce, rozwarł szeroko usta i zaśpiewał piskliwym głosem: – *Mam tę moc! Mam tę moc! Rozpalę to, co się tli!*

Karolinka zachichotała.

– Lepsze to niż *Avengersi* – skwitowała. – Albo jakieś głupie bajki o dinozaurach.

– Nie znasz się. Jesteś młoda i głupia.

– Sam jesteś głupi.

– Ty bardziej.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wygaszenie konfliktu, zaśmiała się w myślach Wichrowska. Skoro fortel nie podziałał, pozostało postawić na babciny autorytet.

– Stop – powiedziała łagodnym, lecz stanowczym głosem, na jaki mogą sobie pozwolić tylko babcie. – Skoro nie możecie się dogadać, to ja wybiorę. Mam ochotę na... *Koziółka Matołka*. Znacze? Albo nie, na *Bolka i Lolka*.

Niezrozumienie na twarzach obojga sugerowało, że te tytuły nic im nie mówią.

– To bajki z dzieciństwa waszych rodziców – wyjaśniła. – Ładne, spokojne. Z przyjemnością do nich wrócę.

W rzeczywistości nie miała najmniejszej ochoty oglądać starych animacji. Uważała je za nudne, wręcz nijakie. Nie podzielała powszechnej opinii, jakoby współczesne bajki odstawały od trącących myszką polskich produkcji. Kiedy wnuki były młodsze, z przyjemnością oglądała *Świnke Peppę* i *Binga*, a teraz potrafiła wczuwać się w przygody superbohaterów, miała nawet swojego ulubionego obrońcę ludzkości, który lubił miażdżyć.

– To ja już wolę rurki z kremem – skapitulował Paweł.

– I lody truskawkowe – dodała Karolinka.

– Ty, Pawełku, możesz wziąć, co chcesz, tylko nie wymuszaj na nas. Każdy zje to, na co ma ochotę, a później wspólnie wybierzemy bajkę.

Chłopiec stracił zainteresowanie słodyczami. Dopiero co gotów był bić się o tort czekoladowy, a teraz, wychylony w stronę korytarza prowadzącego do kina, myślami był już gdzie indziej.

– Możemy chociaż zobaczyć, co grają? – zapytał.

– Jeśli Karolinka nie ma nic przeciwko – odparła Celina, choć w myślach westchnęła na zapowiedź kolejnego spaceru.

Dziewięciolatka w odpowiedzi ruszyła biegiem, jakby i tym razem nagrodą za wygraną w wyścigu była możliwość samodzielnego dokonania wyboru. Pomimo szybkiego startu

i tak nie miała szans z bratem. Paweł dopadł ją po kilku krokach, po czym z łatwością zostawił z tyłu. Celina nawet nie próbowała dotrzymywać im tempa. Wystarczyło, że miała ich na oku.

Zmęczenie coraz bardziej dawało jej się we znaki. Liczyła się z utratą sił, ale nie sądziła, że dojdzie do tego tak szybko. Każdy kolejny krok kosztował ją coraz więcej wysiłku i wiązał się z bólem mięśni. Na szczęście sala kinowa znajdowała się bardzo blisko; gorzej, że później trzeba będzie wrócić do cukierni.

Przyspieszyła kroku, gdy dzieci zniknęły jej z pola widzenia. Zmęczenie zmęczeniem, ale była odpowiedzialna za wnuki.

– Mam nadzieję, że wybraliście coś krótkiego, bo długo na tych pufach nie usiedzę – zaśmiała się na widok skromnego wyposażenia sali. A potem z nich nie wstane, dodała w myślach. Wnuki jednak zupełnie ją zignorowały, skupione na kartce, na której, jak się domyślała, zapisane były dostępne tytuły.

- Nie mają nic ciekawego – stwierdził zawiedziony Paweł.
- Na pewno znajdziecie coś dla siebie.
- To ja już wolę obejrzeć coś na komórce.
- Nie żartuj sobie. Przecież na tym małym ekraniku nic nie widać.
- Paweł i tak zna wszystkie odcinki na pamięć – wtrąciła dziewczynka.
- Wcale że nie.
- Wcale że tak.
- Nie powtarzaj po mnie.
- Sam nie powtarzaj.

Celina pokręciła głową. Powiedzieć, że straciła cierpliwość do wnuków, byłoby przesadą, ale wraz z siłą pomału ulatniał się jej entuzjazm. W tej chwili najchętniej usiadłaby w fotelu i w spokoju przeczytała kilka rozdziałów *Przeminęło z wiatrem*. Albo kilkanaście. Żadnych krzyków, gonitw, kłótni. Klaudiusz powinien zrozumieć, przecież dobrze ją znał. Co też mu do głowy strzeliło, żeby kupić dla starej matki bilety na rejs. No i co ona miała w głowie, że nie pogoniła go w diabły?

- Babciu, tu jest imię taty i twoje! – Z rozmyślań wyrwał ją chłopięcy głos.

Rozejrzała się po dziwnym pomieszczeniu. Nie kojarzyła, kiedy tu weszła. Pamiętała odprawę biletowo-paszportową, po której poszła po rozum do głowy i stwierdziła, że wraca do domu. Miała zadzwonić do syna, ale odebrała jakaś kobieta. Co było później? Dlaczego zamiast wezwać taksówkę, udała się tutaj? No i najważniejsze: tutaj, czyli gdzie?

- Babciu! – powtórzył chłopiec, podchodząc do niej z wyciągniętą kartką.

Wichrowska nigdzie nie widziała jego opiekuna. Towarzyszyła mu tylko młodsza dziewczynka, wpatrzona w Celinę, jakby ta przed chwilą obdarowała ją tabliczką mlecznej czekolady.

- Zgubiliście się? – zapytała, odbierając kartkę.
- Tu, babciu, zobacz. – Chłopiec wskazał palcem niewyraźne bazgroły.

– Co... – Urwała, rozpoznawszy swój charakter pisma.

Litery były duże, stawiane niestarannie, jakby w pośpiechu, ale nie miała wątpliwości, że to jej dzieło. Stasiu zawsze się z nią droczył, że bazgrze jak kura pazurem.

– Artur – przeczytała na głos. – Sebastian, Laura, Celina.

Rozdział XVI

– Artur, Sebastian, Laura, Celina...

Zdziwiło ją brzmienie własnego głosu. Miał inną barwę, był zdecydowanie wyższy, a co dziwniejsze, jakby młodszy.

– Że co?

Wzdrygnęła się na dźwięk męskiego zachrypniętego głosu, po którym nastąpił dziwny odstręczający rechot. Wcześniej w sali kinowej nie dostrzegła nikogo poza dwójką dzieci, ale mężczyzna, który jej odpowiedział, musiał znajdować się bardzo blisko.

Przetarła oczy. Miała zamglony wzrok, jak po płaczu lub po użyciu kropel. To jednak nie tłumaczyło zawrotów głowy i suchości w ustach.

– Ej, Laurka! – dodała jakaś dziewczyna. – Wszystko w porządku?

– Tak, po prostu trochę mną trzepnęły te grzybki.

Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć, że to z jej ust padła odpowiedź. Nie miała pojęcia, o czym mówi ani do kogo, ale rozmówczynię najwyraźniej satysfakcjonowały wyjaśnienia.

– Trochę? – zaśmiała się tamta. – Najpierw poszłaś w kimę, potem mamrotałaś przez sen, a na koniec rzuciłaś coś o Arturze i Celinie.

– Arturze, Sebastianie, Laurze i Celinie – poprawiła przyjaciółkę.

– Śniłaś o grupowym dymanku? – zapytał Antek, wciąż zanosząc się śmiechem. – Wiesz, jak coś, to jestem otwarty na propozycje.

Nie miała pojęcia, skąd zna imiona tej dwójki. Wiedziała, że przyjaźnią się od lat, że sama kiedyś chodziła z Antkiem, ale w porę zorientowała się, że z tej mąki chleba nie będzie. Błyskawicznie się odkochała, dzięki czemu nie miała żalu, że zaczął spotykać się z jej najlepszą przyjaciółką. Tak naprawdę współczuła Samancie.

Pomasowała skronie, próbując uspokoić gonitwę myśli. Zaraz, jakiego chleba? Jakiej mąki? Kto tak mówi? Takimi tekstami rzucała jej matka, a może nawet babka. Antek to zwykły dupek ciągnący Samantę na dno. Debil, idiota, narkoman wpędzający ją w nałóg. Jeśli chodzi o chleb, to potrafił jedynie dorzucić grzybków do kanapek, pacan jeden.

Wstała z łóżka i doczłapała do łazienki. Z każdym krokiem pamiętała coraz więcej, ale w głowie wciąż tkwiły jej cztery imiona wypowiedziane tuż po przebudzeniu. Śniła o jakimś dziwnym kinie, było tam dwoje dzieci i starsza babka. To śmieszne, ale na

początku myślała, że to ona była tą babką. Zdziwiła się nawet, że nie chrypi jak ona. Wszystko przez te cholerne grzybki.

Obmyła twarz wodą. Musiała się uspokoić. Miała po prostu dziwny sen. Ten idiota nafaszerował jedzenie narkotykami, nie racząc nikogo o tym uprzedzić, nic więc dziwnego, że umysł splątał jej figła.

– Nie racząc? – mruknęła pod nosem. – Figła?

Wytarła twarz, po czym wychyliła się, by sprawdzić, czy Antek jej nie podsłuchuje. Wystarczyło, by usłyszał coś o figlach, a zarzuciłby ją prostackimi tekstami o trójkątach, wakacyjnej przygodzie albo czymś w rodzaju „co dzieje się na morzu, zostaje na morzu”. W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśniczek nie narzekała na dzisiejszą młodzież, ale Antek był wybitnie negatywną postacią.

– Ja pierdolę – dodała znacznie głośniej.

Tym razem Samanta z Antkiem musieli ją usłyszeć, ale zupełnie się tym nie przejęła. Nie miała pojęcia, co było w tych grzybkach, w każdym razie nieźle jej namieszały w głowie. Wystarczyła chwila dekoncentracji, a zaczynała myśleć jak stara baba. Słyszała o różnych skutkach ubocznych halunków, ten jednak to już naprawdę gruba przesada. Owca

– Pójdę do niej – usłyszała głos przyjaciółki.

Po chwili blondynka zjawiała się w ciasnej łazience. Pomieszczenie nie sprzyjało babskim ploteczkom. Nawet dwie szczupłe dziewczyny musiały stać bardzo blisko siebie, o jakimkolwiek gestykulowaniu nie było mowy.

– Co jest, stara? – zapytała Samanta. Nie było widać po niej wpływu narkotyków, a przecież obie zażyły podobną ilość. Poruszała się sprawnie, miała skupione spojrzenie i mówiła płynnie, podczas gdy Laura bała się otworzyć usta, by nie palnąć jakiejś głupoty.

– Tylko nie stara – parsknęła Woźniak. – Możesz nazywać mnie tłustą świnia, ale nie mów nic o moim wieku.

– Może chcesz wyjść na świeże powietrze? Mnie też zaczyna mulić, a Antkowi przyda się trochę czasu na osobności.

– Nie wiem, Klaudia. Chyba lepiej będzie, jak się po prostu położę.

Przyjaciółka się skrzywiła.

– Klaudia? – zapytała zdziwiona.

– Nie rozumiem.

– To ja nie rozumiem. Czemu nazwałaś mnie Klaudią?

Już chciała ją wykpić, gdy zdała sobie sprawę, że rzeczywiście zwróciła się do niej, używając niewłaściwego imienia. Nie miała pojęcia, skąd przyplątała jej się ta Klaudia. Nie znała żadnej Klaudii, kojarzyła jedynie takie czasopismo, dla znudzonych gospodyń domowych.

– O tym właśnie mówię – westchnęła. – Co chwilę łapię jakieś dziwne schematy. Wszystko przez te cholerne grzybki. Momentami mam wrażenie, że ktoś przejmuję

kontrolę nad moim umysłem. Jakaś stara baba. Wszystko jest dobrze, normalnie sobie gadamy i nagle coś mi się miesza we łbie.

– Nieźle – zaśmiała się Samanta.

– Raczej do dupy. Zaraz zacznę tu cytować *Bogurodnicę*. Sam fakt, że pamiętam ten tytuł, nie świadczy najlepiej o moim stanie.

– Bylebyś nie kazała mi zakrywać brzucha, że niby młodej damie nie przystaje pokazywać tyle ciała.

W pierwszej chwili chciała fuknąć na przyjaciółkę, bo bagatelizowała jej problemy, ale słowa Samanty pomogły jej nabrać dystansu. Faza po grzybkach, jakkolwiek by nie była przerażająca, kiedyś minie. Dodatkowe nakręcanie się w niczym nie pomoże.

– Bylebyś? – zaśmiała się. – Może ciebie też dopadła ta baba? Może to nawiedzony okręt, na którym straszy duch starej nauczycielki polskiego?

– A niech to dunder świśnie!

Parsknęły śmiechem w tym samym momencie. Chichot szybko zmienił się w rechot. Laura zgięła się w pół, a właściwie próbowała, bo w ciasnej łazience było za mało miejsca, i niechcący uderzyła Samantę łokciem w zebro. Koleżanka, zamiast jęknąć z bólu, śmiała się jeszcze bardziej, głośno smarknęła, a po policzku popłynęła jej łza.

– Co wy tam robicie? – spytał podejrziwie Antek, zaglądając przez otwarte drzwi.

Zdziwiona mina chłopaka jeszcze bardziej rozśmieszyła przyjaciółki, co chwilę wcześniej wydawało się wręcz niemożliwe. Laura nawet nie próbowała powstrzymać głupawki. Walka nie miała sensu. Na trzeźwo byłoby to trudne, a co dopiero pod wpływem silnej substancji odurzającej. Pamiętała, jak pierwszy raz zapaliła marihuanę. Wtedy zamiast dać się ponieść chwili, zaczęła się stresować, że traci kontrolę nad ciałem, co z kolei szybko przeszło w histerię. Najpierw zaczęły jej się trząść dłonie, później była przekonana, że nie czuje nóg, bała się wręcz, że już na zawsze będzie przykuta do wózka inwalidzkiego. Nawet teraz, po wielu latach, pamiętała tamto przerażenie. Na szczęście był przy niej Stasiu, który nie próbował na siłę jej uspokajać, tylko cierpliwie trwał przy niej, delikatnie gładził ją po włosach i powtarzał, że wszystko będzie dobrze.

– Celina – rzuciła nagle, zupełnie poważnie.

Pogrążona w spazmach śmiechu Samanta nawet nie zwróciła na nią uwagi. Antek też zdawał się tego nie słyszeć. Uśmiech na twarzy chłopaka zdradzał nieczne plany względem odurzonej blondynki. Laura wyminęła go i czym prędzej wyszła na korytarz. Może to nieodpowiedzialne, może w tym stanie nie powinna sama błąkać się po promie, ale musiała coś sprawdzić.

Podążając w stronę windy, miała silne wrażenie déjà vu. Była przekonana, że wcześniej opuściła już kajutę w podobnych okolicznościach. Pamiętała wściekłość na Antka, że wrzucił do kanapek grzybki halucynogenne. Nazwała go chyba gachem, choć nigdy wcześniej nie użyłaby podobnego określenia. Nie kojarzyła, co było później. Pewnie obudziła się i wymieniła cztery imiona.

– Artur, Sebastian, Laura, Celina – powiedziała w nadziei, że otworzy to jakąś szufladkę w jej odurzonym umyśle. Nic podobnego nie nastąpiło, wcisnęła więc przycisk przywołujący windę. Coś pchało ją na główny pokład. Nie potrafiła tego nazwać. Nie wiedziała jeszcze, gdzie dokładnie chce się udać, ale czuła, że zaraz to się wyjaśni.

– Celina – powtórzyła, wchodząc do windy.

Czy to było imię starszej kobiety wżerającej jej się w mózg? Jeśli tak, to kim byli Artur i Sebastian? No i, do cholery, o jakim Stasiu myślała przed chwilą? Nie znała żadnego Stasia. Tak chyba miał na imię bohater *W pustyni i w puszczy*, ale nigdy nie przebrnęła przez tę nudną lekturę, więc wątpliwe, by teraz zaprzętała jej umysł.

Krótką przejażdżką windą nie przyniosła żadnych oświecających pomysłów, toteż wysiadła na głównym pokładzie tak samo głupia, jak chwilę wcześniej. Tym razem Celina milczała. Nie zarzucała Laury wspomnieniami i dygresjami, nie podpowiedziała, jaki powinien być następny krok, choć wcześniej co rusz wtryniała się w jej myśli.

„Wtryniała”, zaśmiała się sama z siebie, czyli jednak gdzieś tam jest. Szkoda, że nie powie wprost, czego chce. Z braku lepszego pomysłu Laura podeszła do chłopaka rozdającego darmowe napoje. Po rechetaniu z Samantą strasznie zaschło jej w gardle.

– Nie mam dietetycznej – zaśmiał się ubrany na pomarańczowo chłopak.

– A w ogóle produkowali mirindę zero? – zapytała, odbierając napój.

– Nie wiem, szczerze mówiąc, wolę fantę. Tylko mnie nie zdradź, bo stracę robotę.

– Spoko. – Otworzyła puszkę i duszkiem opróżniła zawartość. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz piła tego typu napój, smak wydawał jej się jednak dziwnie znajomy. Znajomy i uzależniający. – Daj jeszcze jedną.

Chłopak nie krył rozbawienia. Laura wcale mu się nie dziwiła, nieczęsto można zobaczyć chudą jak szczapa dziewczynę w kilkanaście sekund zerującą słodzony napój. Grzybki wzmogły łaknienie, toteż od razu otworzyła drugą puszkę.

– Mocno cię przesuszyło – zaśmiał się chłopak. – Zioło?

– Grzybki.

– No to grubo. Raz w życiu spróbowałem, ale tak mnie kopnęło, że już tego nie powtórzę.

– Coś o tym wiem.

– Polecam zaszyć się w kinie. To co prawda strefa dla dzieci, ale ja na fazie lubię sobie pooglądać bajki. Czasem sprawdzają się też programy o zwierzętach, nic jednak nie przebije dobrej kreskówki. Jak chcesz, to za jakąś godzinkę powinienem skończyć, mogę wtedy do ciebie dołączyć.

Nawet nie zauważyła, kiedy opróżniła drugą puszkę. Najchętniej poprosiłaby o jeszcze jedną, lecz i tak czuła się już wystarczająco niezręcznie. Nic nie miała do chłopaka, ale randka to nie to, co jej teraz było potrzebne.

– Spoko – dodał, wyciągając dwie puszkę i odbierając puste, jakby czytał jej w myślach.

– Masz na drogę.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Im szybciej się tego pozbędę, tym szybciej będę miał wolne. Z ulotkami jest łatwiej, wystarczy trochę pościemniać, połowę wywalić do śmietnika na jakimś zadupiu i po sprawie. Tu non stop gapią mi się na ręce. Na szczęście większość pasażerów bierze po kilka puszek, w końcu nie muszą za nie płacić. Jest taki jeden typ, który osuszył już pewnie z dziesięć.

– Sebastian – odparła pewnym głosem.

– Nie wiem, nie pytałem o imię. Dziwny koleś.

Laura wbiła wzrok w puszki mirindy. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale miała pewność, że chłopak mówił o Sebastianie Możdżeniu. Przed oczami miała jego twarz, raz uśmiechniętą, raz rozzłoszczoną. Niewiele mogła o nim powiedzieć. Czasami sprawiał wrażenie idealnego ojca i męża, a niekiedy zachowywał się jak gbur. Było w nim coś niepokojącego i zarazem przyciągającego.

– To miało być na drogę. – Głos chłopaka przywrócił ją do rzeczywistości.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi. Dopiero widok otwartych i pustych puszek trzymanyh w dłoniach uzmysłowił jej, co miał na myśli.

– Ja... – zaczęła, ale nie miała nic na swoją obronę.

– Zwolnij, bo ci pęcherz pęknie.

– Nie – odparła, oddając mu puste puszki. – Daj jeszcze.

Powinna czuć się pełna, powinno być jej niedobrze, powinna bekać jak Antek po wypiciu piwa duszkiem, tymczasem miała ochotę na więcej. Nie przejmując się, jak wygląda w oczach chłopaka, odebrała napój, otworzyła i zaczęła pić. Gdy tylko pierwsze krople znalazły się na języku, przed oczami znów stanął jej Sebastian. Kłócił się z kimś. Miał zaciętą minę i mocno gestykulował. Laura żałowała, że nie widzi jego rozmówcy. Czuła za to towarzyszące Możdżeniowi emocje. Był wściekły. Nie, to nie wściekłość, to coś znacznie silniejszego. Nienawiść? A może... strach?

Tak, stwierdziła po chwili. Sebastian czegoś się bał, był wręcz przerażony. To coś wyzwalało w nim złość, popychało go do czynów, o jakich popełnienie nigdy by siebie nie posądzał. Budziło w nim bestię.

– Więcej ci nie dam – usłyszała głos chłopaka. – To ci zaszkodzi.

Tym razem widok pustych puszek nie wywołał u niej zdziwienia.

– Sama sobie wezmę.

Upuściła puste puszki i sięgnęła po kolejne. Chłopak nie zareagował. Patrzył tylko na nią jak na wariatkę. Po chwili jego miejsce zajął Sebastian. Nie targały nim już emocje. Wyglądał na opanowanego i pewnego siebie. Uśmiechnął się szeroko, po czym się pochylił. Laura straciła go z oczu. Po kilku sekundach uznała, że to koniec wizji, że zaraz znów zobaczy wpatzonego w nią chłopaka, lecz zamiast niego ponownie ujrzała Sebastiana. Bo to był on, co do tego nie miała wątpliwości. Czuła bicie jego serca, z sekundy na sekundę coraz szybsze. Maską świni, którą nałożył, jej nie zmyliła.

- Idzie do kina – stwierdziła na głos. – Tam to się zaczęło i tam to się skończy.
 - Może lepiej idź się prześpij – poradził chłopak. – Poczekaj, zorganizuję kogoś, kto cię odprowadzi.
 - Szkoda, że wtedy nie byłeś taki bohaterски.
 - Nie rozumiem.
 - Zrozumiesz. Byłeś dla mnie miły, więc coś ci doradzę: schowek, w którym trzymają zapas mirindy, nie jest dobrą kryjówką. Masz trochę czasu, wymyśl coś lepszego.
- Oddała mu puste puszki i ruszyła prosto do kina. Wiedziała, że Celina już tam na nią czeka.

Rozdział XVII

– Artur, Sebastian, Laura, Celina – wyrzucił z siebie, jakby grał w jakąś wariację zabawy w państwa i miasta.

W oczach mężczyzny dokonującego odprawy biletowo-paszportowej musiał wyglądać na niepoczytalnego, ale ten niczego nie dał po sobie poznać. Uśmiechnął się życzliwie, po czym podał mu wydrukowane karty pokładowe i życzył udanego rejsu. Dorota nie była tak powściągliwa. Gdy tylko podziękowali i odeszli od okienka, stanęła przed nim i zapytała ściszym głosem:

– Co to było?

Na podorędziu nie miał żadnego sensownego wyjaśnienia, odparł więc zgodnie z prawdą:

– Nie wiem.

– Nie wiesz – powtórzyła. – W ogóle co to za Laura i Celina? Amory ci w głowie?

– Bardziej martwiłbym się tym Arturem.

– Obsługiwał nas Artur.

– Serio?

– No, serio, serio. Pewnie teraz siedzi i zastanawia się, o co ci chodziło. To jakiś żart?

Sebastian zerknął przez ramię na pracownika obsługi. Mężczyzna wciąż ich obserwował. Dopiero gdy spotkali się wzrokiem, uśmiechnął się i zaczął rozmawiać z kolejnym pasażerem. Sprawiał wrażenie zadowolonego, czego nie można było powiedzieć o Dorocie. Od rana stresowała się, czy wszystko spakowali i czy niczego nie zabraknie. Na nic zdały się tłumaczenia, że to jednodniowa wycieczka. Nie byłaby sobą, gdyby nie zabrała połowy dobytku, w tym lekarstw na wszystkie możliwe dolegliwości.

By zmazać nie najlepsze wrażenie i skupić się na przyjemniejszych sprawach, Moźdzeń przyspieszył kroku i dopadł do czekających grzecznie przy walizkach Karolinki i Pawła.

– Gotowi na niezapomnianą przygodę? – zapytał entuzjastycznie.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił oboje i uniósł wysoko. Wieczorem będzie tego żałował, gdy ból krzyża „podziękuje” mu za nadmierny wysiłek, ale czego się nie robi dla wnuków? Ostatnio spędzał z nimi mniej czasu, niżby sobie życzył, bo nie chciał siedzieć młodym na głowie. Kiedyś, gdy wnuki były mniejsze, bywał u nich niemal codziennie, ale teraz nie był już tak bardzo potrzebny. Paweł i Karolinka sami wynajdywali sobie zabawy, a od rozmów z dziadkiem woleli bajki w telewizji.

Potrząsnął głową. Nie miał pojęcia, skąd wzięły się te myśli. Czasami narzekał, że za późno zdecydowali się na rodzicielstwo, przez co na placu zabaw przy innych rodzicach czuł się stary, ale bez przesady. Co ma powiedzieć taki Janusz Panasewicz, który został ojcem w wieku pięćdziesięciu jeden lat?

Odstawił dzieci na podłogę. Kątem oka spojrzął na Dorotę, żeby sprawdzić, czy dostrzegła jakąś zmianę w jego zachowaniu. Na szczęście była zaaferowana bagażami i nie zwracała sobie nim głowy.

– Dobra. – Klasnął w dłonie. – Przed wejściem na pokład musimy ustalić pewne zasady. Po pierwsze, kapitan ma zawsze rację. Po drugie, jeśli macie jakieś wątpliwości, patrzcie punkt pierwszy. Skoro mamy to ustalone, to niniejszym mianuję się kapitanem. Moje pierwsze rozporządzenie brzmi: każdy bierze swoje walizy. Żadnego marudzenia i ociągania się. Zrozumiano?

Spodziewał się oporów, tymczasem dzieci odczochoczo wykonały polecenie. Karolinka dzielnie targła walizkę niewiele od niej mniejszą.

– Na schodach to chyba im pomożesz – skomentowała cicho Dorota.

– Niech się męczą, szybciej zasną.

– Tak to sobie wymyśliłeś? To miłe, że dbasz o wolny wieczór dla mojej mamy. Na pewno będzie ci wdzięczna.

– Mamy?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, przed nosem przemknęła mu Alina. Nie rozumiał, jak mógł o niej zapomnieć. Przecież sam zapłacił za jej bilet, żeby zajmowała się dziećmi, podczas gdy on z Dorotą będzie świętował piętnastą rocznicę ślubu. Teściowa obejrzała się za siebie, wyraźnie zdziwiona słowami Sebastiana.

– Potrzebowałeś piętnastu lat, żeby nazwać mnie mamą – zakpiła.

– Może jeszcze zaczniesz zmywać patelnię po śniadaniu – zawtórowała jej Dorota.

Możdzień odpowiedział im uśmiechem, choć tak naprawdę daleki był od radości. Działo się z nim coś niedobrego. Najpierw te imiona, później myśl, że jest dziadkiem własnych dzieci, a teraz Celina. Jak mógł o niej zapomnieć?

Alina, poprawił się w myślach. Nie miał pojęcia, kim jest Celina ani dlaczego uczeplił się tego imienia. Nie znał też ani jednej Laury, a żaden z dwóch Arturów, którzy przewinęli się przez jego życie, nie zapadł mu jakoś szczególnie w pamięć.

– Nie chcę zarysować teflonu – odparł, odganiając natrętne myśli. – Zresztą nie po to kupiłem zmywarę, żeby stać nad zlewem i nadwyręzać plecy.

– Nadwyręzać? – Dorota nie odpuszczała. – Minuta z gąbką w ręku nie zrobi ci większej krzywdy.

– Pogadamy, jak będziesz w moim wieku. – Poczuł na sobie wzrok obu kobiet. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z głupoty, jaką palnął. Z żoną byli rówieśnikami, choć rzeczywiście, jeśli spojrzeć na nich z boku, to można by odnieść wrażenie, że Dorota jest młodsza co najmniej o pięć lat. – Oj, już tak na mnie nie patrzcie – dodał, udając

rozluźnionego. – Użyłem skrótu myślowego. Codziennie wypruwam sobie żyły, więc czuję się starszy. Poza tym mężczyźni żyją krócej.

Sam nie kupiłby takiego wytłumaczenia. Na miejscu żony zaniepokoiłby się takim zachowaniem. Nie chcąc do tego dopuścić, przyspieszył kroku.

– Zmieniłem zdanie! – zawołał, doganiając dzieci. – Dawać mi te walizy. Musicie mieć dużo energii, żeby wymęczyć babcię Celinę.

Przed przejściem do sąsiedniego pomieszczenia posłał Dorocie złośliwy uśmiech. Wiedział, że czeka go kazanie, ale nie mógł się powstrzymać od rzucenia jej na pożarcie własnej matce. Obie panie nigdy się nie dogadywały. Kiedy Sebastian pierwszy raz przyprowadził Dorotę do domu, ta niechcący strąciła łokciem szklankę ze stołu, czym rozjuszyła Celinę. Wówczas jego matka powstrzymała się od komentarza, ale gdy tylko dziewczyna wyszła z domu, nawrzucała synowi, że przyprowadził niezdarę. Tak powściągliwa nie była już podczas ich drugiego spotkania, podczas którego Dorota wprawdzie niczego nie stłukła, ale matce wystarczyło, że szeroko się uśmiechała, co w jej oczach było oznaką braku szacunku dla starszych. Relacje obu pań nieco ociepliły się po narodzinach Pawełka. Pierwsze dni zwiastowały nadejście ery spokoju: Dorota była zbyt zmęczona, by dokuczać teściowej, ta z kolei skupiła się na pierwszym wnuku. Trwało to raptem kilka dni, do momentu, kiedy świeżo upieczona babcia postanowiła nałożyć dziecku dodatkową bluzeczkę i włożyć je w becik. Sebastian niewiele pamiętał z kłótni, która się wówczas wywiązała. Kojarzył tylko, że żona krzyczała coś o przegrzewaniu dziecka i obniżaniu odporności, a matka zarzucała jej nieodpowiedzialność.

Aż dziwne, że zgodziły się na wspólny rejs, pomyślał, prowadząc dzieci po schodach. Celina była, jaka była, ale miała też dobre cechy. Szkoda, że przy Dorocie ich nie okazywała.

– Nie za dobrze macie, dzieciaki? – usłyszał za plecami męski głos.

Obejrzał się przez ramię. Widok obcego mężczyzny zagadującego jego dzieci wywołał u niego jedyną możliwą reakcję. Nawet jeśli gość nie miał złych intencji, to zaczepiając Karolinę i Pawła, musiał liczyć się z konsekwencjami. Tak się po prostu nie robi. Na szczęście razem z Dorotą dobrze wychowali swoje pociechy, bo zignorowały nieznajomego.

– Moja córa, Ula, nigdy nie pozwoliłaby mi nosić swoich rzeczy – dodał tamten. – Nawet kiedy była w waszym wieku, powtarzała, że sama dba o swoje, jak to określała, graty. Wtedy mi to imponowało, ale teraz z chęcią zajrzałbym, co trzyma w swoich szufladach i torebce. Tyle się słyszy o dopalaczach i innych truciznach, że aż człowiek nie może spać po nocy.

Moździeń zwolnił kroku. Nie chciał wprowadzać nerwowej atmosfery, z drugiej jednak strony nieznajomy przesadzał, poczuł się więc zmuszony do interwencji.

– Dobry – rzucił, gdy go dogonili. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale to rodzinny wypad i chcemy go spędzić tylko w naszym gronie.

Natręt podniósł dłonie, jakby chciał go uspokoić, że nie zamierzał posunąć się do niczego złego.

– Oczywiście – odparł. – Proszę korzystać, póki dzieciaki są w takim wieku. Jeszcze parę lat, a na wieść o rodzinnym wypadzie za miasto zatrzasną panu drzwi przed nosem. Wiem, co mówię. Moja Ula to nawet kręci nosem, kiedy mamy razem pojechać do sklepu. Najchętniej to kazałaby mi zostać w samochodzie, żebym nie narobił jej wstydu.

Urzekła mnie twoja historia, odparł w myślach Sebastian. Gdyby nie miał zajętych obu rąk, objąłby teraz dzieci, by poczuły się pewniej.

– Skoro pan tak mnie rozumie, to proszę zostawić nas w spokoju. – Posłał natrętowi wymuszony uśmiech.

– Ale dlaczego? Przecież rozmawiamy. Ma pan świetne dzieciaki, tylko uważam, że powinny same nosić swoje bagaże.

– Dziękuję za radę.

– Nie ma za co. Wiem, co mówię. Ani się pan obejrzy, a będzie pan po nich sprzątał zasyfioną łazienkę. Na moją Ulę nie mogę narzekać, ale co ja się nasłuchiwałem od innych rodziców, to przechodzi ludzkie pojęcie. Jedna z matek opowiedziała mi kiedyś...

– Wystarczy. – Sebastian zatrzymał się i odstawił walizki. Nie chciał wszczynać kłótni, nie przy dzieciach, nie w piętnastą rocznicę ślubu, która miała być idealna. – Proszę iść przodem. My poczekamy na moją żonę i matkę.

– Mówi pan o tej uroczej blondynce? Obawiam się, że będziecie musieli poczekać trochę dłużej. Kiedy ją mijałem, wchodziła do toalety.

Sebastian spojrzął do tyłu, w nadziei że natrętowi coś się pomyliło i z za rogu zaraz wyjdzie naburmuszona Dorota u boku strofującej ją teściowej. Tak się jednak nie stało.

– A w ogóle, to mi się przypomniało, jak kiedyś Ulę przycisnął pęcherz – zaśmiał się natręt. – Pewnie pan wie, jak to jest. Niby wszyscy potwierdzają, że skorzystali z toalety, ale ledwo wyjedziesz pan z domu, a już wołają o postój. Tak było i wtedy, a tu jak na złość żadnej stacji benzynowej. Młoda mi piszczy z tyłu, że już nie wytrzyma. Da pan wiarę?

– O co ci chodzi, człowieku? – zapytał Możdżeń, coraz mocniej zirytowany.

– Nie rozumiem.

– No to wyłożę to możliwie jak najprościej. Nie chcę z tobą rozmawiać, nie chcę słuchać twoich historyjek, nie chcę, żebyś straszył moje dzieci. Masz do wyboru: pójść przodem albo poczekać, aż my się oddalimy.

– Jak na razie, to pan straszy dzieciaki.

Sebastian spojrzął na Karolinę i Pawła. Nie widać było po nich wcześniejszej ekscytacji rejssem. Nie wyglądali jeszcze na przerażonych, ale z pewnością rozmowa z obcym dziwolągami nie poprawiła im samopoczucia.

– Chłopie... – westchnął. – Idź truj komuś innemu. Masz na promie mnóstwo ludzi. Zostaw nas w spokoju, dobra?

– Jest pan jakiś spięty. To przecież rejs wycieczkowy. Trudno o lepsze miejsce do nawiązywania znajomości. Moja Ula na przykład do dziś utrzymuje kontakt...

– Masz ostatnią szansę – przerwał mu Możdzeń.

– Na co?

– Na zachowanie wszystkich zębów.

Natręt potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć groźbę. Ta jednak nie wywołała zamierzonego efektu. Zamiast ruszyć na poszukiwanie kolejnej ofiary, uśmiechnął się szeroko, jakby chciał ostatni raz pochwalić się kompletem uzębienia, po czym odparł podniesionym głosem:

– Już wiem!

Sebastian spojrział na niego wyczekująco.

– Wiem, czemu pan jest taki rozżłoszczony – dodał tamten. – Chodzi o pańską żonę i jej pilny powrót do toalety.

– Teraz to ja nie rozumiem.

– Aha, aha. – Natręt mrugnął porozumiewawczo. – Dostała okresu. Nici z seksu na otwartym morzu. Nici z romantycznych uniesień. Wiem, jak to jest. Moja żona kiedyś też...

Dłoń Sebastiana sama zacisnęła się w pięść, po czym również bez udziału jego woli wystrzeliła w stronę mężczyzny. Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie. Pierwszy cios zachwiał natrętem, drugi wybił mu co najmniej jeden ząb i pozbawił go równowagi. Wtedy w ruch poszły nogi. Najpierw kolano, które wylądowało w okolicach brzucha natręta, a potem, gdy ten już leżał na zimnej podłodze i zwijał się z bólu, przyszła kolej na kopniaki. Tym razem gaduła nie miał w odwodzie żadnej historii z Ulą w roli głównej. Nie opowiedział, jak to dziewczyna wdała się kiedyś w bójkę ani jak podczas zabawy przypadkowo uderzyła ojca w nos. Sebastian nie miał pojęcia, jak to możliwe, ale znał obie historie. Wiedział też, jaki jest ulubiony kolor nastolatki, jakiej muzyki słucha i na jaki koncert poszła w tajemnicy przed rodzicami. Patrząc na jęczącego niedojdę, przypomniał sobie jeszcze wiele znacznie istotniejszych rzeczy.

– Idziemy – burknął, chwytając dzieci za ręce.

Jeśli wcześniej były wystraszone, to teraz brakowało skali, by opisać ich przerażenie, będące dopiero przedsmakiem prawdziwych wrażeń, jakie czekały na nie w sali kinowej.

Raz jeszcze spojrział na pobitego mężczyznę. Nienawidził go każdą cząstką ciała, gardził nim i jego cholerną córeczką, która nawet nie ocierała się o ideał, choć sam zainteresowany nieustannie próbował wszystkich do tego przekonać. W rzeczywistości była durną smarkułą, mającą na koncie drobne kradzieże, dwie bójki i niezdanie do kolejnej klasy. Czego jednak spodziewać się po córce skończonego debila i desperatki, która rozłożyła przed nim nogi?

– Wstań – nakazał.

Natręt nie zareagował. Skupiony na manifestowaniu bólu, leżał i kwilił jak dziecko. Moździeń brzydził się nim, nie chciał go jednak tutaj zostawić. Nie z obawy, że zaraz ktoś do niego podejdzie i zapyta, co się stało. Artur zadbał, by nikt im nie przeszkadzał. Tu nie mógł go zaszlachtować, coś go ograniczało, pozwalało na rzeź dopiero na pokładzie promu.

– Wstawaj! – powtórzył, szturchając go butem.

Już miał puścić dzieci i chwycić niedojdę za łachy, gdy zdał sobie sprawę z konieczności zmiany planów. Natręt musiał tu zostać. Jego miejsce nie było na promie. Co gorsza, pieprzona łamaga powinna przeżyć, nawet jeśli oznaczało to kolejne monologi o poczynaniach Uli.

Na pożegnanie posłał mu ostatniego kopniaka, by przynajmniej w ten sposób poprawić sobie humor, po czym szarpnął dzieci do przodu i oznajmił:

– Idziemy.

Młodzi nie sprawiali problemów. Szli grzecznie ze spuszczoneymi głowami, zostawiwszy w tyle walizki i matkę, która straciła kilka godzin, by spakować im wszystko, co potrzebne. Nie mogła wówczas przypuszczać, że rejs skończy się dla nich tak szybko.

W ciszy przeszli przez drzwi automatyczne i przecięli przestronny hol z windami. Zazwyczaj znajdowało się tu mnóstwo osób, w tym hostessy witające podróżnych, przytulaśny misiek i chłopak wciskający wszystkim napoje gazowane. Absencja tego ostatniego trochę zmartwiła Sebastiana. Miał ochotę na zimną mirindę, a najlepiej od razu dwie. Najwyraźniej jednak celowo pozbawiono go wszelkiego rodzaju zakłóaczy, by w pełni skupił się na dzieciach.

Dziwnie było spacerować po pustym promie. Choć czuł, że jest blisko rozwiązania, to zatęsknił za gwarem, śmiechem dzieciaków i przekomarzaniem się z Dorotą. Nie potrafił oszacować, jak długo przebywał na promie, tak jak było dla niego zagadką, co się wydarzy, gdy wreszcie uda mu się wykonać zadanie.

– Dzieci powinny zostać – usłyszał głos Artura.

Rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł mężczyzny.

– One już tam są – dodał tamten. – Przyszły z Celiną. Nie myśl o tym, nie próbuj tego zrozumieć, na wyjaśnienia przyjdzie czas później. Teraz po prostu zostaw je za sobą.

– Gdzie jesteście?

– To nieważne. Nie myśl o tym, to zaburza proces. Pozbądź się ich czym prędzej. Nie wiem, co się stanie, jak zobaczysz je podwójnie. I tak już balansujemy na krawędzi.

Spojrzał na Karolinę i Pawła. Nie chciał się z nimi rozstawać. Czuł ich strach. Nie po to doprowadził ich do stanu, w którym nie mogli wydusić z siebie słowa sprzeciwu, by teraz pozbawiać się przyjemności odebrania im życia. To nieuczciwe. To jakby posadzić kogoś za kierownicą sportowego samochodu i zabronić wrzucania wyższych biegów.

– Znów to schrzanisz – usłyszał zirytowany głos Artura. – Nie chcesz po dobroci, to proszę bardzo.

Nie zdążył zapytać, co mężczyzna miał na myśli, a dzieci nagle wyrwały mu się z rąk i popędziły w stronę wyjścia. Instynktownie ruszył za nimi, ale po kilku krokach zaprzestał gonitwy. Dopadłby je bez trudu, równie łatwo zepchnąłby je ze schodów albo po prostu skreślił im karki na miejscu, ale w głowie huczały mu słowa Artura. Podświadomie czuł, że powinien go słuchać, że to właśnie od tego dziwnego człowieka zależy jego los.

Rozgniewany zacisnął pięści. Miał takie piękne zamiary wobec dwójki smarkaczy, a znów musiał obejść się smakiem. Najpierw odpuścił natrętowi, teraz dzieciom, co będzie dalej? Nie tak to miało wyglądać. Nikt nie miał ujść z życiem. Taki był plan!

Dyszząc ze złości, ruszył w stronę kina. Nie rozumiał, jakim cudem Karolinka z Pawłem mogli tam na niego czekać, skoro na własne oczy widział, jak uciekają w przeciwnym kierunku. Arturowi coś się pomyliło. Sam mu powtarzał, żeby skupił się na dzieciach, a teraz co? Gdy wreszcie to zrobił, kazał darować im życie? To kompletnie bez sensu.

Minął część restauracyjną. Dopiero pod drzwiami kina zdał sobie sprawę, że zapomniał wyciągnąć z walizki nóż. Bez niego czuł się bezbronny. Wprawdzie wcześniej radził sobie bez narzędzi, ale teraz miał znacznie mniej siły. Celinie, Laurze i dzieciom da radę, tylko co z dorosłymi mężczyznami?

Nie miał czasu, by cofnąć się do walizki, postanowił więc działać spontanicznie i wszedł do sali. W razie problemów Artur na pewno mu pomoże.

Rozdział XVIII

Zebrali się wszyscy. Zajęło im to wieki, ale wreszcie odnaleźli drogę do celu. Zagubieni, nieświadomi swojego losu, mający nadzieję na wyjaśnienia. Stara kobieta, irytujący mężczyzna i jeszcze bardziej irytująca dziewczyna, a na dokładkę dzieci. Bezbronne owieczki naiwnie myślące, że ich życie jest coś warte, że są czymś więcej niż elementami układanki, która po złożeniu trafi do śmietnika. Starali się, tego nie mógł im odmówić, ale robili to tak nieporadnie, że zasługiwali na karę.

Jeszcze im się nie ujawnił. Cekał. Pozwolił im się obwąchać. Ciekawiło go, do jakich dojdą wniosków.

– To niemożliwe – stwierdził Sebastian, podchodząc do swoich dzieci. Biedak wciąż błędnie uważał się za oprawcę, a nie ofiarę. – Co tu robicie? Jak się tu dostaliście?

Odpowiedzi mogła udzielić wyłącznie Celina, ale ona nie wyglądała na gotową, by wydusić z siebie choćby jedno zdanie. Co innego Laura. Głupia dziewczyna aż rwała się do odpowiedzi.

– Znam was – rzuciła. – Z panią jechałam windą, chciała mnie pani zaprowadzić do lekarza. Potem pani wyskoczyła do wody. A pan... – Zmrużyła oczy, próbując wyłowić jak najwięcej wspomnień o Możdzeniu. To, co sobie przypomniała, nie napawało jej entuzjazmem.

Sebastian uśmiechnął się szeroko. On też przypomniał sobie wcześniejsze spotkania z Laurą. Było ich więcej, ale jego umysł wyparł je ze świadomości. Na szczęście to, co pamiętał, wystarczyło, by utwierdzić go w błędnym przekonaniu o swojej roli w tym przedstawieniu. Ciekawe, jaką będzie miał minę, gdy zrozumie, jak mylne były wyciągnięte przez niego wnioski.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała wreszcie Celina. – Mam wrażenie, że was znam, że płynęliśmy tym statkiem wiele razy, ale to przecież bez sensu.

– Proszę się do niego nie zbliżać – poradziła jej Laura. – To morderca.

Dziewczyna musiała mieć w głowie mętlik. Z jednej strony pamiętała, jak Sebastian dwukrotnie ją mordował, z drugiej było to niemożliwe, skoro teraz przebywała z nim w jednym pomieszczeniu. Czy to też zasługa grzybków? Jak długo będzie zrzucać wszystko na substancję odurzającą, której w rzeczywistości nie zażyła aż tak dużo?

Celina odruchowo stanęła między Możdzeniem a dziećmi. W jej głowie musiało kłębić się od sprzecznych myśli. Raz widziała w Sebastianie gbura krzyczącego na pracownika

obsługi, innym razem był jej zięciem, bywał też synem, przede wszystkim był jednak ojcem Karolinki i Pawła. Tylko jaki ojciec skrzywdziłby własne dzieci?

– Brakuje Artura – stwierdziła po chwili. Przytomność jej umysłu była godna podziwu. Pozostali byli jednak zbyt skupieni na sobie, by zwrócić uwagę na istotniejsze sprawy, więc dodała: – Artur, Sebastian, Laura, Celina. Takie imiona napisałam, takie imiona was tu przyciągnęły.

– To ten gość z okienka – odparła Laura. – Ten z przekrwionymi oczami. Był też chyba barmanem.

– Ach... – Celina przypomniała sobie kilka ostatnich rozmów z Arturem. W większości z nich nie wychodził z roli pracownika obsługi, czasem jednak ingerował w większym stopniu. Postać tajemniczego mężczyzny jeszcze bardziej namieszała jej w głowie. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Nie zawracajcie sobie nim głowy – zaśmiał się Sebastian. – I tak nie dożyjecie spotkania z nim. Jesteście przynętą, konieczną ofiarą.

Chciał mówić dalej, ale on również stracił głos. Wbrew rozsądkowi nie odczuwał strachu. Laura wręcz przeciwnie, zdawszy sobie sprawę, że nie słyszy nawet własnego oddechu, przerażona podbiegła do drzwi prowadzących na korytarz. Te naturalnie były zamknięte. To zabawne, że jako jedyna wcześniej nie doświadczyła utraty słuchu, mimo to jako pierwsza uświadomiła sobie nadchodzące niebezpieczeństwo.

Ukryta w mroku postać rozprostowała ramiona. Dalsza obserwacja nie miała sensu. Umysły trojga pasażerów nie były w stanie przetrwać zbyt wielu sprzecznych ze sobą informacji. To jakby oczekiwać od starego fiata, że popędzi autostradą dwieście kilometrów na godzinę. Pewnych ograniczeń po prostu nie przeskoczysz.

Olbrzym w świńskiej masce postąpił do przodu. Nie spieszył się. Jego ofiary przekroczyły próg poczytalności, za którym nie były już w stanie nawet się bronić. Ich mózgi odmówiły posłuszeństwa, czyniąc z nich skorupy oczekujące na wyrok. Jak na ironię, najwięcej świadomości zachowały dzieci. Przerażone, nie pamiętały poprzednich scen ze swoim udziałem, przez co resztką sił utrzymywały się na powierzchni świadomości. Tym razem nie rozpocznie od nich. Niech patrzą. Niech podziwiają. Niech zobaczą, co je czeka.

Najpierw Celina. Tym razem nie pozwoli jej popełnić samobójstwa.

Rozdział XIX

Powoli podniósł powieki. Oślepiiony białym światłem z zawieszanej nisko lampy, błyskawicznie pożałował tej decyzji. Odruchowo zamknął oczy, chciał osłonić twarz dłonią, ale coś uniemożliwiało mu ruchy. Zgrzyt metalu i ból nadgarstka sugerowały skrępowanie kajdankami. Zaniepokojony, zmrużył oczy, światło było jednak zbyt mocne, by nieprzyzwyczajony wzrok mógł cokolwiek wyłapać.

– Znowu ta cholerna świnią – usłyszał znajomy głos. – Coś ty się tak na nią uparł?

Spróbował poruszyć drugą ręką, ale też napotkał opór.

– Już się tak nie wierć – dodał Artur. – I nie mów, że nie wiesz, gdzie jesteś, bo mnie szlag trafi. Zmarnowałeś kolejną szansę.

Oczy pomału przyzwyczajały się do agresywnego światła. Nie rozpoznał pomieszczenia, w którym przebywali. Ciasne, pozbawione okien, mogło znajdować się w porcie, na statku albo gdziekolwiek indziej. Siedział na krześle ze skrępowanymi rękami i nogami. Przed sobą miał pusty metalowy stół, zza którego wpatrywał się w niego ubrany w granatowy garnitur Artur. Mężczyzna uparcie pocierał przekrwione oczy, jakby jemu też przeszkadzało rażące światło.

– Może lepiej zmienić żarówkę? – zasugerował.

Artur poczerwieniał, po czym uderzył otwartą dłonią w stół.

– Naprawdę to są twoje najważniejsze przemyślenia? – zapytał podniesionym głosem. – Pieprzona żarówka? Może jeszcze masz niewygodne krzesło?

– Bardziej przeszkadzają mi kajdanki i łańcuch.

Czuł, że to zdenerwuje Artura. Niewiele jeszcze pamiętał, ale doskonale wiedział, jak wielką satysfakcję sprawia mu wytrącanie go z równowagi. Zabawnie było patrzeć, jak początkowo opanowany, dystygowany mężczyzna zmienia się w kłębek nerwów, traci cierpliwość i profesjonalizm.

– Po twoim głupawym uśmiešku zgaduję, że wraca ci pamięć – odparł Artur nad wyraz spokojnie. – Tyle dobrego. Nie muszę ci w takim razie tłumaczyć, że kończy nam się czas. Zaraz zaczniemy od nowa, ale najpierw postaraj się wyrzucić z głowy tę cholerną świnię.

Drugi raz wspomniał o świni. Skuty kajdankami mężczyzna nie potrafił odnieść się do jego słów, interesowało go co innego, z pewnością nie pogaduszki o zwierzętach gospodarskich. Pierwsze pozycje na liście zajmowało zorientowanie się, gdzie się znajdują i dlaczego jest skuty. Przydałoby się też poznać swoje imię.

– Jednak nie pamiętasz – skonstatował Artur.

– Jeśli mam być szczery, to pamiętam tylko twoje imię i fakt, że łatwo wyprowadzić cię z równowagi.

Łatwo i przyjemnie, dodał w myślach. Zważywszy na swoje położenie, powinien odczuwać strach lub choćby niepokój, tymczasem wszystko było mu obojętne. Pomimo braku komfortu nie spieszyło mu się do opuszczenia pomieszczenia. Podświadomie wiedział, że nigdzie nie będzie mu lepiej.

Artur wstał, po czym energicznie popchnął krzesło obrotowe. Ze względu na siłę, jaką w to włożył, można było oczekiwać, że mebel uderzy w ścianę, tymczasem ledwo pokonał połowę drogi. Może to kwestia zmęczenia. Niezrażony niepowodzeniem, podszedł do białych drzwi i uderzył w nie pięścią. Tym razem uzyskał zamierzony efekt: nie minęło pięć sekund, a do pomieszczenia weszło dwóch umundurowanych mężczyzn. Wysocy, dobrze zbudowani, nie wyglądali na ochroniarzy pilnujących porządku podczas rodzinnego rejsu.

– Idziemy na krótki spacer – oznajmił Artur.

Mówił pewnym siebie głosem, ale unikał ich wzroku. Nic dziwnego. Dwaj mężczyźni nie tyle wpatrywali się w niego, ile wręcz zabijali go wzrokiem.

– Koniec? – zapytał wyższy z nich.

– Nie – odparł Artur. – Przejdziemy na chwilę do celi, po czym wrócimy tu i będziemy kontynuować.

Umundurowani mężczyźni spojrzeli po sobie. Nie musieli nic mówić, by dojść do porozumienia.

– O niczym takim nie było mowy. Osadzony miał odbyć badania na miejscu.

– Nie jesteście tu od podważania moich poleceń, tylko od wcielania ich w życie. Nie mam czasu na przepychanki. Jak macie z tym problem, to lećcie do przełożonego, ale gwarantuję wam, że jeszcze dzisiaj zostaniecie zwolnieni dyscyplinarnie.

„Osadzony”, powtórzył w myślach, gdy strażnicy podeszli bliżej. Dopiero teraz dostrzegł napis „Służba więzienna” na ich ciemnych koszulkach. Po chwili widział już tylko blat stołu, w który jeden z klawiszy wcisnął jego głowę.

– Po co tak ostro? – zapytał stłumionym głosem.

W odpowiedzi strażnik jeszcze mocniej docisnął mu twarz do twardej powierzchni. Z nimi lepiej nie zadzierać. Artur czegoś od niego chciał, potrzebował go, wściekał się, groził, ale tak naprawdę nie mógł mu nic zrobić. Strażnicy wręcz przeciwnie, najchętniej wyżyliby się na nim przy pierwszej okazji. Czym zawinił? Tego niestety nie pamiętał.

Usłyszał brzęk łańcucha. Ktoś się z nim siłował, choć zapewne wolałby zarzucić go osadzonemu na szyję i zakończyć jego życie tu i teraz. Zamiast tego został nagle podźwignięty i bez uprzedzenia popchnięto go w stronę drzwi.

– Ruchy! – burknął strażnik, wyraźnie niezadowolony.

Osadzony nigdzie się nie spieszył. Ostrożnie stawiał kroki, jakby dopiero uczył się chodzić. Poniekąd była to prawda. Nie rozpoznawał własnego ciała, było dziwnie duże, wręcz ponad miarę. Ogromne dłonie, zwisający brzuch, ciężkie nogi – wszystko to nie pasowało do jego wyobrażenia o sobie samym. Głos też wydawał się należeć do kogoś innego. Był bardzo niski, wręcz tubalny.

Rozprostował plecy i ramiona. Ochroniarze, którzy wcześniej wydawali się rośli, teraz nie mieli już tak imponującej przewagi

– Niczego nie kombinuj – usłyszał z tyłu. – Jeden nieodpowiedni ruch i lądujesz na glebie.

– I po co te nerwy? – zaśmiał się. Już nie czuł respektu dla strażników. Zrozumiał, że obaj maskowali niepewność groźnymi minami i napięciem w ciele. Bali się go. Wyczuwał to wyraźnie. – Poluźnilibyście łańcuchy na kostkach, to mógłbym iść jak człowiek, a nie jak skradająca się panienka.

Miał na myśli kogoś konkretnego. Przed oczami widział chudą, młodą dziewczynę próbującą przemknąć się pod ścianą. Ona też się bała. Nie, ona była przerażona.

Z rozważań wyrwał go jeden z klawiszy, gdy popchnął go do przodu. Podobnie jak Artur nieudolnie ciskający krzesłem kilka minut temu, pracownik służby więziennej chciał uzyskać lepszy efekt, tymczasem osadzony tylko lekko się przechylił. Rozbawiony przeciął puste pomieszczenie, gdzie, jak zgadywał, w trakcie jego rozmów z Arturem przebywali strażnicy, po czym wyszedł na długi i szeroki korytarz. Jeśli wcześniej mógł mieć wątpliwości, gdzie się znajduje, to charakterystyczne masywne drzwi rozmieszczone co kilka metrów nie pozostawiały wątpliwości. Był więźniem, najwyraźniej całkiem niebezpiecznym.

– Nie zatrzymuj się! – Poczł kolejne szturchnięcie w plecy.

– Nie pamiętam, gdzie iść – odparł zgodnie z prawdą.

Kątem oka dostrzegł Artura. Szedł szybko, energicznie poruszając ramionami, jakby chciał w ten sposób zrekompensować sobie niski wzrost i godną pożałowania posturę. Wyminął wszystkich, po czym odbił w prawo. Osadzony odruchowo ruszył za nim. Nie zastanawiał się nad tym, Artur równie dobrze mógł iść do kibla, mimo to coś kazało mu się go trzymać.

– Otwierać – nakazał mikrus charakterystycznym dla siebie władczym tonem. – A ty – zwrócił się bezpośrednio do osadzonego – wejdiesz i się rozejrzysz. Nie odzywaj się, niczego nie dotykaj, tylko patrz. Masz minutę, potem wrócimy do naszej sali i będziemy kontynuować. Rozumiesz?

Nie odpowiedział.

– Pytałem, czy rozumiesz? – warknął Artur, coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Myślałem, że mam się nie odzywać.

Rozbawiło go napięcie na twarzy mężczyzny.

– Lepiej już nie myśl. Nie wychodzi z tego nic dobrego.

Obaj spojrzeli na strażnika, który walczył z zamkiem. Nerwowe ruchy zdradzały niepokój. Chciał jak najszybciej wykonać zadanie i wrócić do bezpiecznego oczekiwania w korytarzu. Mógł stroić groźne miny, mógł popychać skutego więźnia, ale w środku bał się jak mała dziewczynka.

Znów ta dziewczyna, zauważył osadzony. Najwyraźniej podświadomość podsuwała mu strzępki informacji, które na razie tylko mieszały mu w głowie. Zapewne była to zasługa Artura.

– Minuta – powtórzył tamten, gdy strażnik wreszcie uporał się z zamkiem i otworzył drzwi na oścież. – Ani chwili dłużej.

Tym razem nikt nie musiał popychać osadzonego. Pokusa, by zirytować Artura, była spora, ale zwyciężyła ciekawość, więc z własnej woli przekroczył próg celi. Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to smród stęchlizny. Skojarzył mu się z przemoczonymi ubraniami zostawionymi na kilka dni w zamkniętym foliowym worku. Drugim intensywnym zapachem był gryząca woń potu. O ile znalezienie źródła tego pierwszego byłoby trudne, o tyle cuchnącą potem mendę namierzył bez problemu.

– Ty... – warknął, odruchowo zaciskając pięści. Nie dokończył, gdy ktoś szturchnął go w plecy.

– Cisza! – usłyszał z tyłu.

Przeniósł wzrok na pustą pryczę. W celi znajdowały się tylko dwa miejsca do spania, jedno zajmował cuchnący śmieć, któremu najchętniej rozsmarowałby twarz na ścianie, drugie było puste i zapewne należało do niego. Nie było tam na czym zawiesić oka. Poduszka, prześcieradło, gruby koc, nic więcej. Równie nudno prezentował się ustawiony pod ścianą stół i mieszcząca się w narożniku wnęka z kiblem.

Już miał wyśmiać kolejną nieudaną próbę Artura, gdy zauważył zawieszony nad łóżkiem śmierzdela plakat z nagą kobietą z przesadnie napompowanymi silikonem cyckami i lśniącym ciałem. To jednak nie piersi zwróciły jego uwagę, lecz głowa, na którą miała naciągniętą maskę świni. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. O ile nic nie poczuł na widok nagiego ciała rodem z mokrych snów licealistów, o tyle maska mocno go podnieciła.

– Wystarczy – stwierdził Artur.

– Nie! – odparł, lecz strażnicy nie przejęli się jego słowami i siłą wyciągnęli go z powrotem na korytarz. Mógł się z nimi szarpać, być może nawet zdołałby któremuś złamać nos, ale był zbyt skupiony na masce.

– No... – rzucił z zadowoleniem Artur, prawidłowo odczytując jego myśli.

– Patrz go, jak się podjarał – skomentował jeden ze strażników. – Zaraz mu spodnie eksplodują.

Minutę wcześniej odgryzłby się żartownisiowi, rzucając coś o stosunku z jego matką lub córką, ale teraz nie w głowie mu były żarty. Zamiast marnować czas, z własnej woli ruszył

korytarzem do pomieszczenia ze stołem i dwoma krzesłami. Gdyby to mogło coś przyspieszyć, przerzuciłby chudzielca przez ramię i zaniósł go na miejsce.

Drogę powrotną pokonali w milczeniu. Artur trzymał się z tyłu, swoje miejsce zajął dopiero wtedy, gdy strażnicy przykuli łańcuchy do podłogi, by ograniczyć możliwość ruchów osadzonego do minimum. Kiedy skończyli, nie podziękował im. Poczekał, aż wyjdą i zamkną za sobą drzwi, po czym zapytał wprost:

– Przypomniałeś sobie?

– Muszę cię rozczarować.

– Nie kłam. Widziałem, że coś poczułeś.

– Co nie oznacza, że cokolwiek sobie przypomniałem. Nie wiem, gdzie jestem ani co tu robię. To znaczy wiem, że jestem więźniem, potrafię wywnioskować, że nie znalazłem tu za kradzież fajek, ale nie pamiętam, co takiego przeskrobałem.

Zdziwił go spokój w swoim głosie i dobór słów. Miał wrażenie, że mówi za niego ktoś inny, ktoś, kto próbuje wkraść mu się do umysłu. Czuł, że powinien panikować, rozpaczać nad swoim losem, tymczasem odczuwał jedynie ciekawość. Nie chciało mu się nawet grać Arturowi na nerwach. Ten najwyraźniej to dostrzegł, bo rozsiadł się w fotelu z lekkim uśmiechem i splótł dłonie w piramidkę.

– Właśnie dlatego tu jesteś – stwierdził spokojnie.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Teraz skup się na masce świni. Wcześniej popełniłem błąd, każąc ci o niej zapomnieć. To niemożliwe, to jakbyś próbował przestać oddychać. Im bardziej chcesz o czymś zapomnieć, tym intensywniej o tym myślisz. Zamiast tego spróbujemy przekierować twoje myśli, nadać masce nowe znaczenie.

– Ten pedał...

– Nie mów o nim. Nie rozpraszaaj się, myśl tylko o kobiecie w masce. Bo to kobieta ma maskę, o czym ciągle zapominasz. Piękna, zmysłowa modelka, na widok której wróciło ci życie.

– Sztuczna, plastikowa laleczka.

– Okej, możemy pójść w tę stronę. Masz rację, to pusta, plastikowa laleczka. Głupiutka ślicznotka, która za kilka lat skończy, zebrząc na ulicy, zarażając naiwniaków wirusem HIV. To jej jedyna broń. Przecież takie chucherko nie zrobiłoby nikomu krzywdy.

Nie rozumiał, do czego zmierzał Artur. Ta durna siksa w ogóle go nie interesowała. Jego uwagę przykuła maska świni. To o niej powinni rozmawiać, to ona mogła przywrócić mu pamięć.

– Zdejmij z niej maskę – kontynuował Artur. – Nieważne jak. Możesz być delikatny, by nie wyrwać ani jednego farbowanego włosa, a możesz zerwać ją razem ze skórą. Twój wybór.

Osadzony uśmiechnął się na myśl o wyrządzeniu krzywdy tępej wywłoce. Miał na to mnóstwo pomysłów. Jedną ręką chwyci ją za włosy, drugą zaciśnie na szyi. Nie udusi jej

na miejscu, to byłoby za proste i za mało satysfakcjonujące. Najpierw weźmie nóż i porozcina te obrzydliwie sztuczne cycki, żeby wypłynął z nich silikon czy inne gówno, które sobie tam wepchnęła. Ubrudzony od krwi nóż wytrze w maskę, by dodać jej charakteru. Potem naciągnie ją sobie na głowę i będzie gotowy do działania.

– Opowiedz, o czym myślisz – poprosił Artur. Bo to była prośba, a nie rozkaz jak w poprzednich sytuacjach.

– O masce. Ta suka na nią nie zasługuje. Najpierw ją zarżnę, a potem włożę maskę.

– Nie – odparł krótko Artur, po czym pochylił się do przodu i dodał ściszym głosem: – Nie potrzebujesz jej. Nie kryj się za nią. Nie jesteś tchórzem, który boi się pokazać swoją twarz. Tak robią tylko nieudacznicy, zakompleksione przegrywy pochowane za internetowymi pseudonimami, by móc się wyżyć na celebrytach. Ty taki nie jesteś. Udowodniłeś to.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nigdy nie miałeś na sobie tej maski. Nigdy nie poczułeś, jaką daje moc.

– Ty też nigdy jej nie założyłeś.

Osadzony wyprostował plecy, a przynajmniej zrobił to na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

– Stworzył ją twój umysł – dodał Artur. – To tylko projekcja, obrona, którą od początku próbujemy pokonać. Zdejmij maskę, nie potrzebujesz jej.

– Nie... – Pokręcił głową. – Nie wiem...

Artur poderwał się z krzesła, podbiegł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Sprawiał wrażenie podekscytowanego. Tym razem nie miał problemu, by spojrzeć w oczy przewyższającym go o głowę strażnikom, gdy ci z groźnymi minami zajrzeli do środka.

– Lustro – rzucił. – Przynieście mi lustro!

Klawisze ponownie porozumieli się między sobą bez słów i niemal równocześnie kiwnęli głowami.

– Procedury... – zaczął wyższy z mężczyzn, ale Artur uciszył go ruchem dłoni.

– Wszystko, co tu robimy, jest wbrew procedurom, więc nie pieprz głupot, tylko przynieś mi to cholerne lustro. Jestem blisko przełomu, biorę za to pełną odpowiedzialność.

Zapewnienie o braku konsekwencji za złamanie regulaminu wystarczyło, by strażnicy przestali się przejmować formalnościami. Wcale jednak nie oznaczało to natychmiastowego wykonania polecenia.

– A skąd mam wytrzasnąć lustro? – rzucił jeden.

– Nie wiem, pożycz od kucharki czy od babki z kadr. Jak się wstydzisz, to zerwij ze ściany w kiblu, tylko się streszczaj!

Rozmowa trwała jeszcze przez chwilę, ale myśli osadzonego powędrowały z powrotem w stronę maski. Nie rozumiał Artura, nie zgadzał się z nim, że jej nałożenie jest równoznaczne z tchórzostwem. To niezbędny atrybut, tak jak nóż i płynąca w żyłach nienawiść. Bez niej nie mógł działać. Bez niej był jak bez ręki. To ona dawała mu siłę, sprawiała, że znikwały wszystkie przeszkody i lęki. Z nią był niezwyciężony.

– Masz – usłyszał niezadowolony głos strażnika. Nie miał pojęcia, ile minęło czasu, ale ten najwyraźniej zdążył już wrócić z lustrem. – Przez ciebie wyszedłem na pedała.

– Możesz to zaraportować – zakpił Artur. – A teraz wracajcie do swoich spraw. Nie będziecie mi potrzebni przez kilka najbliższych godzin.

Powoli wrócił na miejsce po drugiej stronie biurka. Przyglądał się osadzonemu, patrzył mu prosto w oczy, jakby chciał odczytać jego myśli, ale nawet gdyby miał taką zdolność, to w tej chwili nie spędziłby zbyt dużo czasu na lekturze.

– Ten głąb coś mi uzmysłowił – oznajmił wyraźnie z siebie zadowolony. – Przyznawanie się do błędów nie jest łatwe, a ja robię to już po raz drugi. Niepotrzebnie zakazałem ci mówić o twoim koledze z celi. Nasza dotychczasowa praca pokazała, że jest on dla ciebie kimś ważnym.

– Ten pedał?

– Tak, ten pedał, do którego wracasz w co drugiej wizji. Coś cię do niego przyciąga. Wcześniej myślałem, że to zwykłe zakłócenie, dlatego kazałem ci przestać o nim myśleć. Teraz jednak widzę, że coś was łączy.

– Słaba próba.

– To żadna próba, to szczerze przyznanie się do błędu. Dlaczego wybrałaś akurat maskę świni? Przecież brzydzisz się tą sztuczną kobietą. Mogłaś wybrać cokolwiek, a zdecydowałaś się akurat na świnię. To nie przypadek, że plakat wisi nad łóżkiem kolegi z celi. Twoja podświadomość ciągle do niego wraca. Chce przy nim być, chce go czuć, maska w tym pomaga. Nienawiść do niego to twoja ostatnia linia obrony, rozpaczliwa próba wyplenienia prawdy. Skoro nim gardzisz, skoro ciągle go bijesz do nieprzytomności, to znaczy, że nie możesz równocześnie czuć do niego pociągu... Niestety, to tak nie działa.

– Przestań... – warknął.

Wiedział, że to gra, tania sztuczka mająca na celu sprowokowanie go i obrzydzenie mu maski. Powinien go wyśmiać, parsknąć mu w twarz i kazać zgłosić się do reklamy podręcznika manipulacji dla opornych, ale czuł, jak rozpiera go gniew. Jego umysł połknął haczyk.

– Jeśli rozniesie się, że jesteś homoseksualistą, to czeka cię tu piekło. Do tej pory cię chroniłem, ale po takiej rewelacji nawet moje znajomości nie uratują ci dupy. Dosłownie.

– Jesteś śmieszny.

– Śmieszne jest twoje przywiązanie do maski. Powinieneś jej nienawidzić, chcieć ją zniszczyć, spalić, rozerwać na strzępy. Nie jesteś homoseksualistą, nie bawisz się w przebieranki. Spójrz na siebie. – Obszedł stół i położył przed nim niewielkie kwadratowe lustro. – Przyjrzyj się swojej twarzy. Zwróć uwagę na jak najwięcej szczegółów. Nos, oczy, broda, kości policzkowe, zarost. Tak wygląda prawdziwy mężczyzna. Nie potrzebujesz maski, nie potrzebujesz...

Mówił dalej, ale osadzony znów pogrążył się w myślach. W pierwszej chwili nie rozpoznał własnego odbicia. Z lustra patrzył na niego obleśny grubas z zaniedbaną brodą

i przetłuszczonymi włosami. Na widok takich ludzi odruchowo przechodzisz na drugą stronę ulicy i przyspieszasz kroku. Zaniedbanie i otyłość mógłby jeszcze wytrzymać, ale tępe, matowe spojrzenie nie mogło należeć do niego. Ktoś taki nie ożeniłby się z Dorotą.

Już miał kazać Arturowi zabrać lustro, gdy w odbiciu dostrzegł własny uśmiech. Wraz z nim wszystko wróciło. Wspomnienia, emocje, podniecenie. Pamiętał Dorotę, Sebastiana i ich dzieci. Pamiętał dwie głupiutkie dziewczyny i ich kolegę. Pamiętał hostessy, kelnerki, kucharki. Pamiętał nawet tego włochatego niedźwiedzia, z którym męczył się kilka minut, nim rozorał mu brzuch i wyciągnął bebechy na zewnątrz. Co ważniejsze, pamiętał, kim był.

– Klaudiusz... – powiedział cicho, delektując się swoim imieniem. Artur miał powody do triumfowania. Udało mu się. Dopiął swego. Szkoda, że nie będzie miał okazji tego świętować.

– Pamiętasz! – Ucieszył się chuderlak, nieświadomy swego losu.

– Pamiętam.

Przyzwyczajony już do zwalistego cielska, chwycił lusterko między palce, stłukł je o blat biurka, po czym sprawnym ruchem wbił ostry fragment w szyję pochylonego drobnego mężczyzny. Nie wiedział, czy trafił w tętnicę. Nie miał możliwości zadania drugiego ciosu i tym samym dopisania czterdziestej trzeciej ofiary na swoje konto.

Rozdział XX

Minął ciągnącą się kilkanaście metrów kolejkę. Kiedyś grzecznie stanąłby na samym końcu i czekał ze spuszczoną głową. Jakie tam kiedyś, zaśmiał się w myślach, jeszcze dwa dni temu stałby jak ostatnie ciele, ofiara losu, żalosne popychadło. Wyższy od wszystkich, większy od wszystkich, silniejszy od wszystkich, a jednak pozwalał sobą pomiatać.

Nic sobie nie robiąc ze spojrzeń innych podróżnych i ich komentarzy, podszedł do okienka, w którym przeprowadzano odprawę. Obsługiwana akurat kobieta obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, lecz nie miała odwagi się odezwać. Później będzie bardziej rozmowna, gdy skulona w kącie zacznie błagać o życie, ale teraz tylko chrząknęła i udawała, że nic się nie stało, że to normalne, gdy tusty brudas wpycha się przed innych, zamiast schodzić im z drogi.

Uśmiechnął się na widok opatrunku na szyi Artura. Z jednej strony żałował, że go nie zabił, z drugiej fajnie było móc jeszcze trochę z nim porozmawiać.

– Nareszcie – powiedział ten na powitanie. – Żaden Sebastian, żadna Celina, żadna Laura, tylko pan Klaudiusz we własnej osobie. W czym mogę pomóc?

– Wpuść mnie na prom.

– Poczekaj, nie spiesz się, bo popełnisz błąd. Wiesz, gdzie jesteś?

– W ciasnej sali w zakładzie karnym w Białej Podlaskiej. Siedzę skuty jak orangutan na testach medycznych.

– Ciekawe porównanie, zważywszy na pracę, jaką wykonujemy. Dlaczego trafiłeś do więzienia?

– Musimy o tym mówić? Przecież za chwilę to zrobię.

– Muszę mieć wszystko nagrane.

Klaudiusz uniósł obie dłonie. Nie były skrepowane łańcuchami, mógłby chwycić Artura za szyję i udusić na miejscu. Wiedział jednak, że tak się nie stanie, że po chwili ocknie się w znacznie mniej kolorowej rzeczywistości, a Artur, zamiast grzecznie umrzeć, będzie na niego łypał wściekłym wzrokiem i ogłosi zakończenie projektu.

– Dokładnie – powiedział sam zainteresowany. – Nie zepsuj tego. Widzisz już metę, wystarczy ją przekroczyć. Zamieniam się w słuch: dlaczego trafiłeś do więzienia?

– Bo zamordowałem czterdziestu dwóch pasażerów.

– A kogo nie zamordowałeś?

– Ciebie.

Artur pokręcił głową. Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Wrócimy do twojego wybryku, teraz skup się na rejsie. Kogo nie zabiłeś na statku? Kto nie żył już od dwóch dni?

Przed oczami stanęła mu matka. Celina Wichrowska, wdowa po Stanisławie Wichrowskim, żyjąca w cieniu męża gospodyni domowa przymykająca oko na kontrowersyjne metody wychowawcze głowy rodziny. Na bicie, wyzwiska, głodzenie, zamykanie na wiele godzin w łazience. Sama nie miała dużo lepiej. Jej wprawdzie nie bił, no, może kilka razy mocniej nią potrząsnął, ale nie było dnia, by nie nazwał jej wywłoką, suką lub szmatą. Jego śmierć miała być wybawieniem. Dobijający czterdziestki Klaudiusz, wciąż mieszkający w rodzinnym domu, wiązał z nią spore nadzieje, ale już po powrocie z cmentarza zrozumiał, w jak wielkim był błędzie. Nie zdążył nawet zdjąć butów, gdy matka dzieliła go otwartą dłonią w tył głowy i nazwała skończonym imbecylem. Do dziś pamiętał jej słowa:

– Przynosisz wstyd ojcu.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Nie był w stanie nic zrobić.

– No i co się tak gapisz, tępoto jedna? – warknęła. – Jak można na pogrzeb własnego ojca pójść w spranych dżinsach? Wszyscy się na ciebie gapili, wszyscy wytykali cię palcami, wszyscy się ze mnie śmiali.

– Nie mam innych... – wydukał.

– Nie odzywaj się niepytany! Do tej pory byłam pobłażliwa, przymykałam oko na twoje występki, ale widać ojciec miał rację. Pora to zmienić. Skoro on nie potrafił cię naprostować, to trzeba wprowadzić bardziej radykalne środki. Wynocha do swojego pokoju, żadnej telewizji, żadnego komputera. Kolacji też nie dostaniesz. Później do ciebie przyjdę i przedstawię ci, co postanowiłam.

Ze wspomnień wyrwało go chrząknięcie Artura. Pomimo emanującej od niego dumy nie sposób było nie zwrócić uwagi na jego przekrwione oczy. Wyglądał na wycieńczonego.

– O co chodzi z twoimi oczami? – zapytał Klaudiusz.

– Zmęczenie, niewyspanie, suche powietrze.

– Nie ma na to jakichś kropel? Trzesz je ciągle i trzesz. Wyglądasz jak wampir.

– Są, mam nawet buteleczkę w wewnętrznej kieszeni marynarki, ale zrozumiałem, że w każdym kolejnym wcieleniu zwracasz uwagę na moje oczy, więc zaprzestałem ich używać, a nawet dodatkowo je pocierałem. To zmuszało cię do przemyśleń, dawało nadzieję, że skojarzysz coś jeszcze. Podobnie jak mirindę.

Pochylił się, na chwilę znikając Klaudiuszowi z oczu, po czym się wyprostował i postawił na biurku dwie puszkę. Wichrowskiemu błyskawicznie zaschło w ustach.

– No właśnie – zaśmiał się Artur. – Opisz, co teraz czujesz.

Zamiast odpowiedzieć, Klaudiusz chwycił puszkę, otworzył ją i wypił duszkiem słodki gazowany napój. Wciąż było mu mało, więc opróżnił też drugą puszkę.

– Jeszcze.

– Najpierw opisz, co czujesz.
– Przecież widzisz.
– Muszę to usłyszeć.
– Uzależniłeś mnie od tego gówna. Namieszaleś mi w głowie. Chcę więcej i więcej. To przelatuje przeze mnie jak przez tego duszka z bajki, Caspera.

– Też mnie to zaciekało. Wszystko w tym świecie działa wedle normalnych prawideł, ale, rzeczywiście, mirindę możesz pić bez ustanku, nawet gdy wcielasz się w Laurę. Nie nazywałbym tego mieszanym w głowie; wcześniej faktycznie tak robiłem, lecz w przypadku tego pomarańczowego napoju sam zmodyfikowałem swoje wspomnienia. Na statku wcale nie rozdawano darmowych puszek. To znaczy, był tam ten dzieciak, zbierał podpisy pod jakąś petycją. To zaczęło się od pierwszej mirindy, którą poczęstowałem cię w trakcie omawiania zasad naszego eksperymentu. Najwyraźniej byłeś spragniony cukru, bo twój umysł zbudował wokół niej całą historię. To zabawne, jak wielką rolę odegrała w naszej pracy.

Ludzie w kolejce zaczynali się niecierpliwić. Babka, przed którą wepchnął się Klaudiusz, nie miała dość odwagi, by zwrócić mu uwagę, ale inni, stojący dalej, czuli się na tyle bezpiecznie, by rzucać niewybredne komentarze pod adresem „grubasa” i „spaślaka”.

Spaślak, powtórzył w myślach Klaudiusz. Cuchnący spaślak, tak nazwała go matka, gdy po pogrzebie ojca przysłała do jego pokoju. Czuć było od niej wódką, choć wcześniej stroniła od mocnych alkoholi. Była to domena ojca, więc najwyraźniej również pod tym względem przejęła po nim domowe obowiązki.

– Postanowiłam – oznajmiła, przytrzymując się framugi. – Koniec tego warcholstwa. Czasu nie cofniemy i nie wychowamy cię inaczej, ale nie pozwolę, byś dalej na nas zerował. Oblałeś maturę, do wojska cię nie chcieli, z każdej pracy wywalali cię po kilku miesiącach. Ojciec zrobił błąd, przyzymkając oko na twoje zachowanie. Koniec z tym. Albo zaczniesz co miesiąc płacić tysiąc pięćset złotych na swoje utrzymanie, albo wyrzucę cię z domu.

Wówczas nie potraktował jej słów poważnie. Ojciec średnio raz na kwartał wygrażał mu eksmisją, ale nigdy nie wcielił słów w życie. Pewnie bał się, co ludzie powiedzą na widok błakającego się po osiedlu spaślaka. Z dwojga złego wolał trzymać go pod kluczem.

– Masz tydzień na znalezienie pracy – dodała matka.

Klaudiusz wstał z łóżka. Nie wiedział, czy jest to konieczne, ale ojciec zawsze wymagał, by syn stał, gdy on się do niego zwracał.

– Tak szybko się nie da – odparł.

– Jak się chce, to się da, niedojdo jedna.

– Idź się położyć, mamó. Jutro porozmawiamy na spokojnie.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. A na pewno nie ty! – Podeszła do syna i uderzyła go otwartą dłonią w policzek.

Klaudiusz niewiele poczuł. Matka najwyraźniej dostrzegła to, bo po chwili dodała:

– Na kolana!

Posłusznie wykonał polecenie. Nie wiedział, czego się spodziewać. Ojciec nigdy nie kazał mu klęczeć, pewnie kojarzyło mu się to z pedałstwem, którego nienawidził całym swoim zalany żółcią sercem.

– Czekał tu – rozkazała.

Tym razem Klaudiusza przywołały do rzeczywistości ustawione w rzędzie cztery puszki mirindy, o ile projekcję umysłu można nazwać rzeczywistością. Wichrowski nie potrzebował dodatkowej zachęty. Najpierw otworzył wszystkie puszki, a potem kolejno je opróżnił.

– Nie poczekałeś – stwierdził Artur. – Opowiedz mi więcej o swojej matce.

– Nie chcę.

– Chcesz, a przynajmniej twoja podświadomość bardzo tego chce. Przyznam, że gdy pierwszy raz wcieliłeś się w Celinę, byłem nastawiony pesymistycznie. Wkurzały mnie jej przemyślenia, nie rozumiałem, jaką rolę ma odegrać, ale koniec końców okazała się przydatna. Byśmy zakończyli proces sukcesem, musisz wszystko zrozumieć i uporządkować wspomnienia. Zacznijmy od tego, że Celina Wichrowska nigdy nie weszła na pokład.

– Kupiła bilet jeszcze przed pogrzebem ojca. Płakała, że na nic jej nie stać, a wykupiła najdroższą kajutę. Śmiała się, że podróż poślubną miała do dupy, to sobie chociaż odbije na podróży po śmierci męża.

– To prawda, ale zamiast niej pojawiłeś się ty. W ostatniej chwili zmieniłeś dane pasażera.

Mówił dalej, ale Klaudiusz znów uciekł myślami do wspomnień. Klęczał posłusznie przez dłuższy czas, wreszcie zaniepokojony wstał, bo matka nie wracała, a z sąsiednich pokojów nie dochodziły żadne dźwięki. Najpierw zajrzał do kuchni, gdzie spędzała większość czasu. Ojciec nawet w przypływie uczucia postawił jej tam niewielki telewizor, który pewnego dnia podczas kłótni roztrzaskał o podłogę. Klaudiusz musiał potem wszystko sprzątać, oczywiście w oczach ojca robił to nieudolnie i ślamazarnie.

Nie znalazłszy matki w kuchni, poszedł do salonu. Czasem, gdy ojciec balował na mieście, lubiła rozsiąść się w jego fotelu i gapić się w telewizor. Musiała być ostrożna, jakikolwiek okruszek na podłokietniku lub źle odłożona poduszka skutkowały awanturą. Wiele lat temu, gdy Klaudiusz miał prawo marzyć o względnie normalnym życiu, pozwolił sobie usiąść w tym fotelu z lekturą szkolną. Nie jadł, nie pił, po prostu siedział i czytał, by przygotować się do lekcji. Ojca nie interesowały wymówki. Zamiast piątki z polskiego dostał kilka razy po głowie.

Ostatnim pokojem do sprawdzenia była sypialnia rodziców. Klaudiusz bał się jej jak ognia. Nie, on bał się jej dużo bardziej niż ognia. Ogień w przeciwieństwie do ojca nigdy nie wyrządził mu krzywdy.

– Mamo? – zapytał, ostrożnie zaglądając do środka.

W pokoju panował półmrok. Zaciągnięte zasłony nie przepuszczały wiele światła, mimo to dostrzegł leżącą na łóżku matkę. Nie ruszała się, spoczywała na plecach z dłońmi splecionymi na brzuchu. Rozsądek podpowiadał, by się wycofać, ale nie mógł przecież zostawić mamy nieprzykrytej. Zaziębi się i będzie jeszcze bardziej zdenerwowana. Cicho, by jej nie zbudzić, wrócił do salonu i wyciągnął koc z szafy. Wtedy zobaczył ją stojącą w korytarzu. W dłoni ścisnęła skórzany pas ojca.

– Sam widzisz – zaśmiał się Artur. – Cały czas do niej wracasz. To ciekawe, że kiedy się w nią wcielałeś podczas rejsu, jako ona myślałeś o swoim synu jak o kochanym, nadopiekuńczym jedynaku. To niezły materiał dla psychoanalityków. Kochasz matkę?

Klaudiusz pokręcił głową. Nie miał ochoty na tę rozmowę. Nie po to poszedł na statek, by myśleć o swoim nieudanym życiu.

– Do powodu, dla którego zdecydowałeś się na rejs, jeszcze wrócimy – wtrącił Artur. – Nie myśl o tym. Odpowiedz na moje pytanie: kochasz matkę?

– Wyjdź z mojej głowy.

– Niedługo wyjdę.

– Teraz wyjdź.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– W takim razie nie będę kontynuował. Zaraz wywinę jakiś numer i wrócimy do punktu wyjścia.

Artur uśmiechnął się pobłaźliwie. Wyglądał na pewnego siebie, jakby tylko czekał na podobną groźbę.

– Nie wywiniesz – odparł. – Twój mózg poukładał już wszystkie klocki. Jest jeszcze kilka nieścisłości, ale nie spowodują takiego regresu. Pamiętasz wszystko, odniosłem sukces, nic już tego nie cofnie. Wobec tego, zamiast tracić czas na głupoty, odpowiadaj na moje pytania, a gwarantuję, że spotka cię nagroda. Kochałeś matkę?

– Przecież wiesz, że tak.

– Nie wiem. Nie wiem, czy masz do niej pretensje, że nigdy nie stanęła w twojej obronie, czy wręcz przeciwnie, obwiniasz siebie, że gdy podrosłeś, nie postawiłeś się ojcu, kiedy jej ubliżał.

– To bez znaczenia.

– Być może, skłaniam się jednak ku drugiej wersji. Gdy udawałeś, że jesteś Celiną, opisywałeś Klaudiusza jako kochanego, oddanego i troskliwego syna, czyli twoje przeciwieństwo. Mimo to konsekwentnie dążyłeś do jej spotkania z zamaskowanym mordercą, czyli prawdziwą wersją Klaudiusza. Działy się wtedy dziwne rzeczy. Dochodziło do zakłóceń, a Celina za wszelką cenę próbowała...

Znów był w mieszkaniu rodziców. Wystraszony, patrzył na człapiącą w jego kierunku matkę. Wydawała się wyższa niż wcześniej. Szła bosą, mimo to każdy jej krok słyszał jako donośne tupnięcie, jakby miała na stopach ciężkie buty z grubą podeszwą.

– Miałeś klęczeć – warknęła.

Klaudiusz nie odpowiedział. Sparaliżował go strach. Nie było w tym nic nadzwyczajnego – zawsze, gdy ojciec na niego krzychał, zamykał się w sobie i nie mógł wydobyć nawet pojedynczego dźwięku. To nic, że jako dorosły mężczyzna był od ojca większy i silniejszy, to nic, że mógł wyrwać mu pas i przełożyć go przez kolano niczym niesforne bachora, to nic, że mógł połamać mu wszystkie palce. Gdy przychodziło co do czego, był zupełnie bezbronny.

– Na kolana! – krzyknęła.

Nie zwlekał ani sekundy. Padając na ziemię, miał jeszcze nadzieję, że uda mu się udobruchać matkę, że Celina, stojąc nad synem z pasem w dłoni, zrozumie, że on nie jest niczemu winien, że zamiast się kłócić, powinni się wspierać i spróbować wspólnie stanąć na nogi. Gdy uderzyła pierwszy raz, zrozumiał, w jak wielkim był błędzie.

Nie biła go długo. Nie miała siły ani kondycji. Przyzwyczajona do roli ofiary, potrzebowała więcej czasu, by dojść do wprawy w wymierzaniu kar. Wprawdzie była na tyle bezwzględna, by bić syna pasem po głowie, ale na szczęście nie pomyślała, że większą krzywdę sprawiłaby mu, uderzając sprzączką. Czekają ją jeszcze dużo pracy, lecz nie można było jej odmówić zapału.

– Będziesz spał na podłodze – rzuciła w końcu, wyczerpana.

Nie odpowiedział. Nie kierował nim strach, nie był też przesadnie obolały – jego ciało przyzwyczało się do bicia, wiedział, jaką przybrać pozycję, które części ciała osłaniać, a które wystawiać na ciosy. Gdyby miał na to ochotę, po prostu by wstał, zjadł coś i poszedł spać, ale nie chciał denerwować matki. I tak już słała się na nogach, kolejne krzyki i bicie pasem mogłyby przypłacić omdleniem.

Przymknął powieki i nasłuchiwał dochodzącego z korytarza szurania. Rytmiczny dźwięk działał usypiająco. Przy odrobinie wyobraźni mógł brzmieć jak bujająca się kołyska, w której matka utulała go do snu. W rzeczywistości nigdy nie mieli kołyski, mały Klaudiusz spał w zbitym naprędce łóżeczku – szybko zrobiło się dla niego za małe, ale rodzice kładli go tam nawet po piątych urodzinach. Do dziś pamiętał te cholerne szczebelki wbijające się w głowę i w plecy. Z biegiem czasu nauczył się kulić albo wystawiać nogi górą, niestety, i tak każdego ranka budził się obolały. Co gorsza, nie mógł po prostu wyjść z łóżeczka, choć to nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. Poranny rytuał nakazywał, by to matka wyciągała go stamtąd, nawet jeśli czasami lubiła pospać do południa.

Wzdrygnął się na dźwięk zatraskiwanych drzwi szafy. Matka była tak zmęczona, że pewnie od razu padnie na łóżko i nie zbudzi jej nawet przemarsz wojskowej orkiestry, mimo to Klaudiusz nie zamierzał ruszać się z podłogi. Chciał, by rano zobaczyła go w tej samej pozycji. Chciał pokazać, że odczuwa przed nią respekt i nie będzie sprawiał problemów. Chciał, by go pochwaliła, być może nawet posunęła się do przeprosin.

Usłyszał kolejny hałas. Tym razem nie potrafił określić jego powodu. Dźwięk na pewno dochodził z sypialni, ale co mogło go wywołać? Nie był głośny, brzmiał, jakby coś upadło.

Przez kilka minut do Klaudiusza nie dochodziły żadne odgłosy. W zasadzie powinno go to uspokoić – matka pewnie spała już w najlepsze, rano obudzi się z bolącą głową, a być może również z kacem moralnym. Wystarczy tylko grzecznie przeczekać noc, potem wszystko jakoś się ułoży.

– Nie... – westchnął po kilku minutach.

W ten sposób nie zaśnie. Jego myśli wciąż będą krążyły wokół dziwnego dźwięku. A co, jeśli matka upadła? A co, jeśli zrobiła sobie krzywdę i nie może wstać? Ale jeśli nawet nie wydarzyło się nic złego, to pewnie była zbyt zmęczona, by porządnie się przykryć.

Cichutko wyszedł z pokoju. Chciałby pomyśleć, że ostatni raz podobnie się skradał, gdy wypił pierwsze piwo z kolegami ze szkoły lub gdy wracał ze studniówki, tyle że po pierwsze, nigdy nie miał kolegów, a po drugie, nawet przez myśl mu nie przeszło, by iść na studniówkę. Pomijając fakt, że wszyscy by się z niego śmiali, to nawet nie miałyby co włożyć. Przecież nie nałożyłyby przetartych spodni tak jak na pogrzeb ojca! To dopiero wszyscy by mieli ubaw.

Na drżących nogach przemierzył korytarz i stanął przed sypialnią rodziców. Drzwi na szczęście były otwarte na oścież, nie zaryzykowałby ich uchylenia. I tak z duszą na ramieniu wychylił się, by zajrzeć do środka. A co, jeśli matka nie śpi? A co, jeśli znów go nakryje na łamaniu zasad? Jak tym razem go ukarze?

Po chwili zachowywanie się cicho przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Matka już wymierzyła mu najgorszą możliwą karę.

– Mamo... – jęknął, podbiegając do kobiety zwisającej z belki u sufitu.

Rozdział XXI

Wciąż miał przed oczami widok matki dyndającej na pasku ojca przewieszonym przez belkę niczym ozdoba. Nie był dumny z tego porównania, rodzice nie uznawali dekoracji. Żadnych dzwoneczków, kubeczków, widokówek z wakacji, rodzinnych zdjęć czy prac plastycznych małego Klaudiusza. Inna sprawa, że nigdzie nie wyjeżdżali, a rysunki syna lepiej sprawdzały się w kominku niż nad nim.

– Cieszę się, że wszystko pamiętasz – powiedział Artur. – To powinno zapobiec powstawaniu kolejnych zakłóceń. Celina nie mogła zginąć na pokładzie promu, bo nigdy na niego nie weszła. Tak samo twój współlokator z celi, ojciec Uli, który był dla ciebie tak ważny, że ciągle wplątywałeś go w swoją historię. Będziemy to jeszcze analizować, ale ciekawi mnie, dlaczego jego potrafiłeś zabić w windzie, a Celina wciąż ci uciekała. Najpierw skoczyła do wody, później zabiła się nożyczkami, żebyś tylko nie mógł wyrządzić jej krzywdy.

Klaudiusz nie odpowiedział. Myślami krążył wokół skórzanego paska, który zdjął z szyi matki. O reanimacji wiedział tyle, co o tańcu towarzyskim, czyli nic, mimo to podjął próbę jej odratowania. Skończyło się na połamanych żebrach i kpiących komentarzach policjantów.

– Dobra. – Artur klasnął w dłonie. – Dość gadania, resztę omówimy później. Działaj, ulżyj sobie, scena jest twoja.

Klaudiusz odebrał kartę pokładową i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Nie potrafił zliczyć, ile razy pokonywał tę drogę. Czasem jako Sebastian Możdżeń, czasem jako Laura Woźniak, a czasem jako własna matka. Dziwnie było teraz podążać za prawdziwymi wspomnieniami, a nie wytworami wyobraźni. Nie wiedział, dlaczego jego umysł skupił się akurat na tych konkretnych pasażerach, ale pewnie Artur mu to wyjaśni.

Tak jak kiedyś, tak i teraz podszedł do dwóch uśmiechniętych dziewczyn i spytał, dokąd ma się udać. Tym razem musiał wiernie odtworzyć każde wydarzenie.

– 1180 – odczytała blondynka z jego karty pokładowej, nie kryjąc zdziwienia. Pewnie nie spodziewała się, że ktoś taki jak on może podróżować w klasie premium. – Piętro jedenaste, po wyjściu z windy proszę skierować się korytarzem w prawo. Witamy na pokładzie MF „Baltica”. Życzymy przyjemnej podróży.

– Możesz do mnie zajrzeć po pracy – odparł pewnym siebie głosem. – Weź ze sobą koleżankę.

Słowa same wypływały mu z ust. Nigdy wcześniej nie podrywał dziewczyn, szczytem jego osiągnięć było posłanie uśmiechu farmaceutce, u której regularnie zaopatrywał się w leki przeciwbólowe dla matki. Fajnie i dziwnie zarazem było wyzbyć się wstydu i strachu przed odrzuceniem. A niech no tylko któraś z niego zakpi, to walnie ją w ten wytapetowany ryj.

Rozejrzał się po pokładzie. Najchętniej od razu przystąpiłby do działania, ale wówczas zdążyłby zabić co najwyżej kilka osób. Musiał działać w sposób przemyślany. Im później wyda się, że na promie grasuje morderca, tym więcej zdoła zdziałać. Na epicką rzeź jeszcze przyjdzie czas.

W tłumie wypatrzył ubranego na pomarańczowo chłopaka. Wolał go w wersji z wcześniejszych wizji, kiedy oferował darmowe napoje. Musiał jednak z nim porozmawiać, tak jak uczynił to w trakcie prawdziwego rejsu, który teraz odtwarzał.

– Co tam, kolego? – zapytał, kładąc mu dłoń na ramieniu. Czuł, że mógłby je złamać, a przynajmniej mocno posiniaczyć. Widząc strach w jego oczach, cofnął rękę. Nie chciał znęcać się nad Bogu ducha winnym dzieciakiem. Sam doskonale wiedział, jak to jest być krzywdzonym bez powodu.

– Dzień dobry – odparł młodzian, próbując ukryć niepokój. W odróżnieniu od dawnej wersji Klaudiusza nie spuścił jednak głowy. – Podpisze pan? – Podsunął Wichrowskiemu sztywną podkładkę, do której był doczepiony plik kartek z prostymi, trzykolumnowymi tabelkami. – Ratujemy bałtyckie foki.

– Foki? – zaśmiał się Klaudiusz. – A one nie są pod ochroną?

– Są, mimo to ciągle znajdujemy bestialsko mordowane foki szare. Szacuje się, że średnio ginie ich około dwóch tysięcy rocznie. Sto lat temu w Morzu Bałtyckim żyło sto tysięcy fok, teraz ich populacja nie przekracza pięciu tysięcy.

Klaudiusz spojrzał chłopakowi prosto w oczy. Polubił go. Podziwiał jego determinację i bezinteresowną chęć niesienia pomocy bezbronnym zwierzętom. Przeszło mu nawet przez myśl, by tym razem go nie zabijać, ale w ten sposób przecież nie wróci mu życia, a jedynie niepotrzebnie wywoła zaburzenia procesu.

– Daj, podpiszę – odparł, po czym wypełnił wymagane pola.

– Dziękuję. Jeśli jest pan zainteresowany, mogę przekazać panu materiały dotyczące...

– Nie, dzięki – wszedł mu w słowo. – W najbliższym czasie będę miał inne sprawy na głowie.

Odwzorowując pamiętny rejs, poklepał dzieciaka po plecach, po czym podszedł do windy. Przed drzwiami zebrała się już znaczna grupka pasażerów. Wziąwszy pod uwagę rozmiar wind, oznaczało to konieczność czekania w kolejce kilka, jeśli nie kilkanaście, minut. Na coś takiego Klaudiusz nie miał ochoty.

– Dokąd państwo płyniecie? – zagaił do stojącej najbliżej drzwi pary. Nie kojarzył tych ludzi. Nie pamiętał wszystkich swoich ofiar, niemniej wydawało mu się, że akurat tych nie zabił.

– Tam gdzie wszyscy? – odpowiedziała kobieta pytaniem na pytanie, po czym posłała partnerowi rozbawione spojrzenie.

– Liczyłem na bardziej kreatywną odpowiedź. Ja na przykład nie płynę do parku rozrywki. Mam go w dupie. Raz w życiu byłem na basenie i już nigdy nie popełnię tego błędu.

Otworzyły się drzwi kabiny. Skonfundowana para już miała wejść do środka, gdy uprzedził ich Klaudiusz.

– Jadę sam – oświadczył spokojnie.

Kobieta, w odróżnieniu od swojego bardziej rozsądnego partnera, wyglądała, jakby chciała zaprotestować, szybko więc dodał: – Wypierdalać na koniec kolejki.

– C-co? – zająknęła się.

– To, co słyszałaś. Przepuście wszystkich i dopiero wtedy wejdziecie do środka. A jak was spotkam w trakcie rejsu, to lepiej miejcie przygotowaną bardziej kreatywną odpowiedź.

Rozsunął usta w szerokim uśmiechu pokazującym zęby, wcisnął przycisk na konsoli i poczekał, aż zasuną się drzwi. Żałował, że nie może się przekonać, czy para zastosowała się do jego poleceń. Czuł, że kobieta protestowała, ale towarzyszący jej mężczyzna jakoś ją przekonał, że dla świętego spokoju lepiej odczekać tych kilkanaście minut. Nie ma co prowokować psychola.

– Jeśli wierzyć ich zeznaniom, to poszli złożyć skargę pracownikom witającym podróżnych – usłyszał głos Artura. – Niestety, nie dowiemy się, czy tak rzeczywiście było, bo jednej wyciąłeś język, a drugiej przebiłeś wątrobę.

– Miałem ku temu powody.

– Nie wątpię. Zabawne, ta kobieta określiła cię mianem wyrostka, dużo bardziej wylewny był jej towarzysz. Pozwolę sobie zacytować fragment jego zeznań: „Od razu coś podejrzewałem. Jestem psychologiem, potrafię wyłapywać takie rzeczy. Ten człowiek wyglądał mi na niezrównoważonego, impulsywnego i skłonnego do przemocy. Jak widać, nie pomyliłem się. Tam, przed windami, chciałem poinformować ochronę, ale znaleźliśmy tylko dwie stewardesy. Obiecały niezwłocznie przekazać sprawę przełożonemu”. Koniec cytatu. – Cicho parsknął. – Gwoli ścisłości, facet nie jest psychologiem, tylko słabo rozpoznawalnym coachem.

– A ty jak byś mnie opisał?

– Nie myśl teraz o tym. Skup się na odtworzeniu prawdziwych wydarzeń.

– Na pewno zamierzasz jakoś opisać mój przypadek. Jak wyjaśnisz mój motyw? Powołasz się na trudne dzieciństwo? Zrobisz ze mnie ofiarę systemu?

– Źle pojmujesz moją pracę. Nie interesuje mnie moment, kiedy postanowiłeś zamordować jak najwięcej pasażerów. Tym zajmują się teoretycy, naukowcy od nic nieznających badań. Mnie interesuje wyłącznie mechanizm wyparcia, a konkretnie sprawienie, żebyś przypomniał sobie, co zrobiłeś. Nikt nie wierzył, że naprawdę nie

pamiętasz, co zaszło na statku, brali cię za wariata, gdy wypowiadałeś się jako Sebastian lub Laura. Ja ci uwierzyłem. O amnezji dużo się mówi, napisano na ten temat setki publikacji. Niby wszyscy wiedzą, że oprócz urazów głowy, guza mózgu, udaru czy innych oczywistych powodów może je również wywołać traumatyczne wydarzenie, ale nikomu nie przyszło do głowy, że traumą może być również dokonanie samemu morderstwa. Twój mózg tego nie udźwignął. Dokonałeś tak makabrycznej zbrodni, że doznałeś szoku i o wszystkim zapomniałeś. Żeby było ciekawiej, tak bardzo przejąłeś się postaciami Sebastiana i Laury, że twój mózg próbował wejść w ich skórę. To postawiło przede mną jeszcze większe wyzwanie.

Drzwi windy się otworzyły, Klaudiusz uznał więc rozmowę za zakończoną. Przez najbliższe pół godziny nie miało się wydarzyć nic interesującego. Ot, chwila błąkania się po korytarzu w celu odnalezienia kajuty, rozpakowanie walizki, kilka minut leżenia w wygodnym łóżku, które w porównaniu z jego starym materacem sprawiało wrażenie, jakby otulały go chmury. Pamiętał, że gdy tak leżał i patrzył w sufit, przeszło mu przez myśl, by zmienić plany, po prostu popłynąć do Szwecji, a potem wrócić do domu i spróbować odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Nie byłoby łatwo. Matka miała rację, nazywając go niedojdą, która nie potrafi utrzymać się dłużej w pracy, ale mógł przecież sprzedać mieszkanie po rodzicach i kupić kawalerkę. Różnica w cenie zagwarantowałaby mu spokojne życie co najmniej przez kilkanaście miesięcy. W tym czasie spałby się, poszedł na kurs zawodowy i znalazł zatrudnienie. Kto wie, może nawet odważyłby się zagadać do tej farmaceutki?

Odtworzył dokładnie każdą wykonaną czynność, po czym wyszedł na korytarz i wrócił na główny pokład. Wiedział, co zaraz nastąpi, co sprawi, że odgoni naiwne wyobrażenie o normalnym życiu i wróci do planowania masakry. Teoretycznie mógłby poczekać, poleżeć kilka minut dłużej i nie natknąć się na tę śliczną dziewczuszkę, ale czy to by coś zmieniło? Czy później ktoś inny nie wytrąciłby go z równowagi? Przecież co rusz nazywano go tłuściochem, oblechem czy świnią.

Rozejrzył się po pokładzie. Troje naćpanych studentów już zmierzało w jego stronę. Jedna z nich, Laura Woźniak, jeszcze nie wiedziała, że została odurzona grzybkami halucynogennymi.

- Ja jebię – zaśmiał się chłopak. – Ale spaślun.
- Daj spokój. – Laura szturchnęła go łokciem.
- No co? Pewnie i tak nas nie słyszy, bo tłuszcz mu zalewa uszy.

Dawny Klaudiusz zachowywałby się, jakby rzeczywiście nie słyszał rzucanych pod jego adresem inwektyw. Czasem w takich sytuacjach wyciągał telefon i udawał, że sprawdza coś istotnego, czasem przyspieszał kroku, a zazwyczaj po prostu spuszczał głowę. Teraz jednak rozpoczęło się nowe rozdanie, w którym to on dyktował warunki. Rozdanie będzie krótkie, nie miał ani chwili do stracenia.

- Słyszysz – odparł, stając naprzeciw Antka.

– To umie mówić – zaśmiał się chłopak. – Chłopie, bez urazy, ale okropnie się spaszę. Płyniesz na pełne morze, żeby dołączyć do swoich braci wielorybów?

Samanta zachichotała. Laura wręcz przeciwnie, z każdym kolejnym słowem chłopaka wyglądała na coraz bardziej zażenowaną.

– Antek! – warknęła.

– No co? Spodobał ci się? Przecież on ma takie sadło, że jakbyś przed nim klęczała, to nawet nie zobaczyłby czubka twojej głowy.

– Jesteś żalonym dupkiem. – Przeniosła wzrok na Klaudiusza. – Przepraszam za kolegę. Jest ograniczonym umysłowo niedorozwojem.

Dupek nie miał pojęcia, że Laura ocaliła mu życie. Gdyby nie ona, Klaudiusz skrzyłby dzieciakowi kark tu i teraz. Jak na ironię, ratując kolegę, skazała na śmierć kilkadziesiąt osób, bo przecież zabijając pasażera na głównym pokładzie jeszcze przed opuszczeniem portu, Wichrowski błyskawicznie zwróciłby na siebie uwagę ochrony, która wezwałaby odpowiednie służby. Niestety, Antek ostatecznie nie znalazł się na długiej liście ofiar.

– Życie jest niesprawiedliwe – stwierdził Klaudiusz, po czym wolnym krokiem wyminął studentów i skierował się w stronę zewnętrznego pokładu.

Pokusa, by zawrócić i przynajmniej obić szczyłowi gębę, była duża, w ten sposób niczego by jednak nie wskórał. Dupek przespał rzeź w swojej kajucie i nic już tego nie zmieni.

Na zewnątrz nie wydarzyło się nic ciekawego. Najpierw popchnął jakiegoś nastolatka, by mieć dobry widok na port, potem beczynn timer patrzył w nieokreślony punkt, aż wreszcie odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę baru, gdzie zamierzał napić się najdroższego alkoholu. Nie wiedział jeszcze, jakiego. Z jednej strony kusilo go, by posmakować whisky, z drugiej przyjemnie byłoby napić się szampana prosto z butelki. A może kolorowego drinka? Głupio przed wydarzeniem, o którym będą bębniły media na całym świecie, zamawiać babski koktajl. Nie daj Boże ktoś uzna go za pedała. Nie, musiał wypić coś męskiego. Whisky, koniak albo wódka. Nie za dużo, żeby zachować trzeźwy umysł. To właśnie racząc się ohydny drinkiem, ponownie spotka dziewczyny, z którymi rozpocznie przedstawienie.

Odwrócił się, gotowy kontynuować odtwarzanie rejsu, gdy zdał sobie sprawę, że wokół nie ma ani jednego pasażera. Bywało, że kiedy wchodził do autobusu, ludzie odsuwali się, nie chcąc stać obok śmierdzącego grubasa, ale przecież na pokładzie dopiero co tłoczyło się mnóstwo osób. Nie tak to zapamiętał. Dałby sobie rękę uciąć, że przedzierał się między pasażerami, kilka osób nawet popchnął, bo nie chciały zejść mu z drogi. Dlaczego teraz panowała tu absolutna pustka?

– Coś jest nie tak – usłyszał głos Artura. – Skup się. Wróc pamięcią...

Urwał, gdy Klaudiusz dostrzegł opierającą się o barierki postać. Wysoka, potężna, ubrana na czarno, na głowę miała nasuniętą świńską maskę.

– Ty... – zaczął Wichrowski, ale z jego ust nie popłynęły kolejne słowa. Nie zaniemówił ze strachu, choć bał się jak wtedy, gdy klęczał przed matką. Ruszał ustami, próbował coś powiedzieć, lecz wokół panowała absolutna cisza. Nie usłyszał kroków podchodzącej do niego postaci, nie usłyszał, co do niego powiedziała, ani nie usłyszał odgłosu noża wbijanego w jego brzuch.

Rozdział XXII

Tym razem nie miał problemu z przyzwyczajeniem oczu do jasnego światła. Widział wyraźnie patrzącego na niego Artura. Wbrew temu, co mogło się wydawać, mężczyzna nie wyglądał na wściekłego czy choćby zniecierpliwionego. Klaudiusz był przekonany, że powita go łajanką i kolejnymi groźbami, on tymczasem potarł tylko przekrwione oczy i głośno westchnął. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził zrezygnowany.

Klaudiusz spróbował wstać, jednak uniemożliwił mu to przymocowany do metalowego stołu łańcuch. Nie wiedział, ile czasu tkwił w tej pozycji, ale ścierpły mu plecy, a mięśnie nóg i rąk domagały się ruchu.

– Nie mogłem wypowiedzieć żadnego słowa – oznajmił. – W ogóle nic nie słyszałem.

Artur machnął ręką.

– To efekt zakłóceń. Zawsze się tak działo, gdy twój mózg zaczynał się buntować. Zazwyczaj dochodziło do tego w trakcie ataku ze strony gościa w świńskiej masce, którego przecież nie było na pokładzie statku. To znaczy był, ale bez maski. O ile rozumiem, dlaczego tworzysz wizję samego siebie mordującego osobę, w którą akurat się wcieliłeś, o tyle nie mam pojęcia, dlaczego teraz zaatakowałeś samego siebie.

– Może pomyliłem wspomnienia? Może w rzeczywistości nie wyszedłem na zewnętrzny pokład?

– Nie. Kilka osób potwierdziło, że stałeś tam co najmniej przez kilkanaście minut. Chłopak, którego popchnąłeś, bardzo dobrze cię zapamiętał. Ty też zwróciłeś na niego uwagę, skoro pojawiał się w twoich wizjach jako obiekt zainteresowania Laury i Samanty.

– W takim razie co się stało?

– Mam swoje przypuszczenia, ale nie chcę ci niczego sugerować. Spróbujemy jeszcze raz. Zaczynaj w miejscu, gdzie doszło do zakłóceń. Obserwuj oddalający się port w Gdyni, po czym idź do baru. Pora na zaostrenie historii.

Rozdział XXIII

Pokład znów zapełnił się pasażerami. Klaudiusz stronił od ludzkich skupisk, nie przepadał za oceniającymi go spojrzeniami i wrażeniem, że wszyscy o nim plotkują, teraz jednak z ulgą przyjął zgiełk i ścisk. Miło było znów móc kogoś popchnąć, używając większej siły, niż wymagały tego okoliczności. Szczerze żałował, że w trakcie prawdziwego rejsu nie wszedł w więcej interakcji z pasażerami, które teraz mógłby odtworzyć.

Wolnym krokiem przeciął pomieszczenie z windami i skierował się do części barowej. Przekraczając próg restauracji, poczuł na języku cierpki, gryzący smak whisky, którą zaraz miał zamówić. Trunek był okropny i zdecydowanie zbyt mocny. Gdyby nie strach przed wyjściem na ciotę, zostawiłby pełną szklanę.

– Co podać? – zapytała urocza rudowłosa kobieta, której później rozbije czaszkę o rant kontuaru.

– Szczerze powiedziawszy, najchętniej napiłbym się samej mirindy, ale rozumiem, że muszę zamówić tę nieszczęsną whisky.

– Obawiam się, że nie mamy takiego gatunku. – Uśmiechnęła się życzliwie. – Mogę za to zaproponować Jacka Daniel'sa.

– Nie chcę taniego syfu dostępnego w pierwszym lepszym markecie. Należ mi najdroższej whisky. Nie pamiętam nazwy.

– Oczywiście.

Obserwował, jak ruda lisiczka odwraca się do niego plecami i staje na palcach, by sięgnąć po umieszczoną wysoko butelkę. Miała idealną figurę. Zgrabne pośladki, na których opinały się czarne dżinsowe spodnie, wyraźnie zarysowaną talię, drobny biust, a do tego piękne włosy niczym z reklamy. Ktoś taki nie powinien pracować na statku. Być może w rzeczywistości nie była aż tak atrakcyjna, ale jego umysł niczym program graficzny dodał jej urody, niemniej i tak marnowała się na morzu. Ciekawe, że we wcześniejszych wizjach jej miejsce zajmował Artur.

– Masz dzieci? – zapytał, gdy postawiła przed nim kwadratową szklanę z bursztynowym płynem, na widok którego lekko go zemdliło.

– Ja? – zaśmiała się barmanka.

Klaudiusz rzadko słyszał tego rodzaju śpiewny śmiech. Delikatny, ciepły, niemający nic wspólnego z szyderstwem.

– A męża albo kogoś bardzo bliskiego, kto będzie po tobie tęsknił?

Dziewczyna wciąż się uśmiechała, ale grymas nie był już tak naturalny jak wcześniej. Nie chciał jej wystraszyć, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Później, gdy opęta go szła zabijania, uroda lisczki nie będzie przemawiała na jej korzyść. Gdyby nie te przykuwające spojrzenie włosy, być może nie zwróciłby uwagi na barmankę i mogłaby dalej marnować swój potencjał na statku.

Zmusił się do opróżnienia szklanki, po czym spojrzał przez ramię na wchodzące akurat do lokalu dziewczyny. Pamiętał towarzyszące mu emocje, gdy krzywiąc się od gorzkiej whisky, dostrzegł uśmiech na twarzy Laury. Jak ostatni naiwniak ubzdurał sobie, że ma u niej jakieś szanse, że wcześniej, przy windzie, kierowało nią coś więcej niż tylko dobre maniery. To nic, że był od niej znacznie cięższy, nieważne, że był znacznie starszy, nieistotne, że takie dziewczyny jak ona mogły poderwać każdego, a tacy mężczyźni jak on z trudem podrywali się z łóżka.

Tak samo jak wtedy, teraz też wstał i ruszył, by zagadać do Laury. Dziewczyna wyglądała i zachowywała się dziwnie. Teraz rozumiał, że to skutek zażytych narkotyków, ale podczas prawdziwego rejsu błędnie odczytał wysyłane przez nią sygnały.

– Cześć, dziewczyny – rzucił, udając wyluzowanego. – Zgubiłyście swojego kolegę?

– Sam się zgubił – parsknęła Samanta. – W sensie pogubił. Tak życiowo, wie pan.

Klaudiusz nawet na nią nie spojrzał. Całą uwagę skupił na milczącej brunetce. Nawet wiedząc, że dziewczyna jest pod wpływem substancji psychoaktywnych, wciąż miał nadzieję, że przynajmniej w niewielkim stopniu jej uśmiech i zalotne spojrzenie były wywołane sympatią do niego. Żałosne.

– Po pierwsze, to żaden ze mnie pan – odparł. – Klaudiusz jestem. – Wyciągnął dłoń. Za pierwszym razem poczuł się jak skończony idiota, który będzie tak stał, nie wiedząc, co zrobić z ręką, aż wreszcie zakłopotany wytrze ją o spodnie. Teraz jednak pamiętał, że staromodny gest wcale nie okazał się najgorszym pomysłem.

Samanta popisała się lepszym refleksem i to ona pierwsza uściśniła mu dłoń.

– Klaudia – przedstawiła się zmyślonym imieniem. – A to moja małomówna przyjaciółka, Regina.

Laura spiorunowała blondynkę wzrokiem, ale nie skomentowała głupiego żartu.

– Klaudia i Klaudiusz – zaśmiał się Wichrowski. – Dobrana byłaby z nas para, wolę jednak mniej krzykliwe brunetki.

Gdy powiedział to za pierwszym razem, był przekonany, że na tym skończy się ich rozmowa, tymczasem z powodu odurzenia dziewczyny jeszcze bardziej lgnęły do prostaków. Klaudiusz nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego kobietom imponują grubiańscy i aroganccy mężczyźni, którzy potem je biją i zdradzają. Nigdy też nie wpadł na pomysł, by zamiast psioczyć na los, po prostu zachowywać się jak skończony cham, czym zyskałby zainteresowanie płci przeciwnej. Może nawet umówiłby się z farmaceutką.

– Masz silny chwyt – stwierdziła blondynka. Jej druga dłoń powędrowała wyżej, gładząc Klaudiusza po przedramieniu. – W ogóle jesteś jakiś taki duży.

– To dotyczy każdej części mojego ciała.

Samanta parsknęła śmiechem, ale on obserwował tylko reakcję Laury. Brunetka lekko przechyliła głowę, jakby chciała ocenić, czy Klaudiusz mówi prawdę, po czym apetycznie przygryzła dolną wargę. To wystarczyło, by stracił głowę. Nikt nigdy tak na niego nie patrzył, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by traktować go jako obiekt seksualny.

– Pokaż – rzuciła nagle Laura.

Choć wiedział, do czego to doprowadzi, kolejny raz połknął przynętę. Mógł udawać pewnego siebie samca alfa, ale nawet znając prawdziwą motywację brunetki, nie był w stanie oprzeć się pokusie. Może tym razem będzie inaczej? Może uda mu się jej dotknąć? Może zdoła ją pocałować? A może zamiast zabijać ją na miejscu, najpierw ją zgwałci?

Wątpił, by Artur na to pozwolił, mimo to warto było podjąć próbę.

– Chodźcie – rzucił, chwytając obie za dłonie. W przeciwieństwie do niego, z jego spoconymi łapskami, miały delikatną, miękką skórę. – Gdy z wami skończę, nie będziecie mogły usiąść przez najbliższy miesiąc.

– Obiecanki cacanki – zaśmiała się Samanta. – Wszyscy tak mówicie, a jak przyjdzie co do czego, to po kilku sapnięciach jest po sprawie.

– Obiecanki macanki – odparł, po czym puścił dłoń Laury i chwycił ją za biust.

Podczas prawdziwego rejsu, przejęty i skupiony na udawaniu, by dziewczyny nie zorientowały się, jak bardzo jest zestresowany, nie znalazł w sobie tyle odwagi ani bezczelności. Teraz bardziej niż reakcji Laury bał się ingerencji Artura. Na razie jednak nic nie przerwało wizji, może więc uda się zgwałcić dziewczyny?

Niesiony tą nadzieją, puścił Laurę i przyspieszył kroku. Najchętniej zerwałby z niej ubranie tu i teraz, ale niosło to ze sobą zbyt duże ryzyko zakłóceń, jak nazwałby to Artur. Przynajmniej na poziomie ogólnym musiał wiernie odtworzyć wydarzenia sprzed kilkunastu dni. Może wówczas będzie mógł zrobić mały wyjątek z Laurą w roli głównej.

– Dokąd idziemy? – zapytała Samanta.

– Do kina.

– Mają tu kino? Serio? Antek zawsze marzył o lodziku w trakcie seansu, raz nawet kupił bilety na jakiś nudny film, na którym była praktycznie pusta sala, ale nie dałam się namówić. To niewygodne i krępujące.

– Ja nie będę prosił.

Drogę do sali kinowej pokonali w milczeniu. Klaudiusz wiedział, kogo tam spotka, mimo to spiął się na widok Sebastiana. Dziwnie było patrzeć na niego po tym wszystkim. Tyle razy wszedł w jego skórę, tyle razy był mężem Doroty i ojcem ich dzieci, tyle razy śmiał się z nimi, wściekał się na nich i zabijał ich z zimną krwią. Chyba nawet trochę go polubił.

– To twój kolega? – zaśmiała się Samanta.

Klaudiusz nie zdążył odpowiedzieć, gdy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Nie musiał spoglądać, kto do nich dołączył. Absolutna cisza, która po chwili nastąpiła, była najlepszą odpowiedzią.

Rozdział XXIV

Długo nie otwierał oczu. Wciąż tkwiła w nim potrzeba dotknięcia nagiego ciała Laury. Próbował wyobrazić ją sobie bez ubrania, ale bez wsparcia Artura, który przerwał proces, nie potrafił przywołać jej obrazu. Cholerny formalista. Co mu przeszkadzała drobna zmiana? Przecież te dziewczyny i tak już od dawna były martwe, nie poczułyby, co z nimi robi.

– Rozpraszasz się – usłyszał. – Zostało już tak niewiele do zrobienia, a ty tracisz koncentrację.

– Nie tracę – odparł spokojnie. – Nic by nie zaszkodziło, gdybym się trochę zabawił. Przecież podczas prawdziwego rejsu nie rozmawiałem z tobą w windzie, mimo to nie przerwałeś procesu. – Otworzył oczy i rzucił Arturowi wyzywające spojrzenie. Po chwili jego wzrok zsunął się na owiniętą opatrunkiem szyję. Nawet nie próbował ukryć uśmiechu na wspomnienie przygody z lustrem.

– Możesz robić z małolatami, co tylko chcesz – odparł nieoczekiwanie Artur. – Masz moje słowo, że po ukończeniu tego procesu dam ci możliwość wiecznej zabawy na promie. Będziesz mógł robić, co chcesz, z kim chcesz, gdzie chcesz i ile razy chcesz. To w końcu twój umysł.

– Brzmi kusząco.

– Będzie jeszcze bardziej kusząco, gdy zrozumiesz, jaką masz alternatywę.

– To znaczy?

– To znaczy, że zamordowałeś czterdzieści dwie osoby. Wbrew powszechnie panującej opinii nie jesteś niepoczytalny i rozumiesz, co cię czeka. Możesz zachowywać się jak wzór cnót, a i tak nigdy ci nie będzie grozić zwolnienie warunkowe. Mówiąc wprost: zgnijesz w ciasnej, śmierdzącej celi. Jesteś najbardziej znanym więźniem w Polsce, pewnie będą zgłaszać się do ciebie dziennikarze, ktoś zechce spisać twoją biografię, ktoś inny napisać powieść lub nakręcić film o twoich wyczynach na MF „Baltica”, ale koniec końców i tak nie wyściubisz nosa poza mury więzienia. Co gorsza, jest wysoce prawdopodobne, że nie dożyjesz rozmów z dziennikarzami. O ile wielu osadzonych cię podziwia, o tyle, jak pewnie zdążyłeś zauważyć, strażnicy niekoniecznie darzą cię sympatią. Nikt tu nie chce kamer i wścibskich reporterów. Każdy ma coś na sumieniu, czym niekoniecznie chce się dzielić ze światem. Uwierz mi, pewnie mają już plan, jak nakłonić któregoś z więźniów, by ukrócił cały ten cyrk. Jesteś duży i silny, ale skutki kajdankami nie zdołasz się obronić.

Klaudiusz się uśmiechnął. Nie pamiętał wszystkich rozmów z Arturem, miał jednak poczucie, że doskonale go zna.

– Mówisz przede wszystkim o sobie – stwierdził. – Nie wiem, jak ważne jest dla nauki to, co tu robimy, ale z pewnością nie jest to legalne. Nie możesz pozwolić, by ktoś z zewnątrz się o tym dowiedział. Oficjalnie pewnie prowadzimy tylko sesje terapeutyczne.

– Widzisz, mówiłem, że jesteś w pełni władz umysłowych. Ciesz się, że trafiłeś pod moje skrzydła, ktoś inny nafaszerowałby cię lekami i stwierdziłby niepoczytalność. Wracając do meritum, masz dwie opcje: albo grzecznie dokończysz proces, a ja w zamian na wieki zamknę cię na promie, gdzie będziesz dzielił i rządził, albo przydarzy ci się nieszczęśliwy wypadek.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie kłamiesz?

Artur wzruszył ramionami.

– Masz marną pozycję negocjacyjną. I tak już odniosłem sukces, wystarczy zgrabnie to opakować i pokazać światu. Zawodowa ambicja każe mi jednak dopiąć wszystko na ostatni guzik, dlatego złożyłem ci tę propozycję. Jestem ci też zwyczajnie wdzięczny, dzięki tobie dokonałem przełomowego odkrycia. Chcąc nie chcąc, znacząco przyczyniłeś się do rozwoju nauki.

Wstał, obszedł biurko i usiadł na jego krawędzi, wcześniej upewniwszy się, że nie znajduje się w zasięgu Klaudiusza. Wichrowski wiedział, że nie ma szans na jego drugie spotkanie. Choć Artur aż puchł z dumy, to wciąż był w pełni skupiony.

– Jak to ma wyglądać? Co mi zrobisz?

– Powiedzmy, że wprawię cię w stan permanentnej hipnozy. Tym razem jednak nie będę miał już z tobą kontaktu. Wskutek naszych działań twój umysł jest obecnie w pełni otwarty i podatny na wpływy. Ten stan nie będzie trwał wiecznie, masz zatem mało czasu na zastanowienie. Kiedy skończymy współpracę, zamknę cię w konkretnym wspomnieniu, które będziesz mógł dowolnie modyfikować.

Brzmiało to kusząco, poza tym rzeczywiście nie miał żadnej sensownej alternatywy. Mógł się sprzeciwić i odmówić współpracy, ale co to zmieni? I tak był już w czarnej dupie, a pogrążony w zmodyfikowanych wspomnieniach przynajmniej trochę się zabawi. Z drugiej strony, istniał cień szansy na utarcie Arturowi nosa. Nie miał pomysłu, jak to zrobić, ale jeśli udałoby mu się jakoś opowiedzieć, jak zrobiono z niego królika doświadczalnego, to być może wyszedłby z roli kata i znowu zacząłby odgrywać ofiarę. Przecież takie grzebanie w ludzkim umyśle jest nieetyczne, niemoralne, a przede wszystkim nielegalne. Nic, tylko czekać, aż zajmą się tą sprawą organizacje działające w imię praw człowieka, godnego traktowania więźniów czy przeciwdziałania wykluczeniu. Przy odrobinie szczęścia mogłby jeszcze odmienić swój los.

– Znowu uciekasz myślami – zauważył Artur.

– Może zrobmy dłuższą przerwę? Wyglądasz, jakbyś nie spał od wielu dni, sam też nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w celi. Oczywiście nie licząc naszego krótkiego

spaceru.

– A co, tęsknisz za współwięźniem?

Klaudiusz uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że to kolejna prowokacja, mimo to czuł, jak podnosi mu się ciśnienie. Nienawidził własnej słabości, tego, jak łatwo było nim manipulować. Odkąd pamiętał, przezywano go na przemian grubasem i pedałem – a czasami grubym pedałem – o ile jednak radził sobie z przytykami na temat ciała, o tyle krew się w nim gotowała na najmniejszą wzmiankę o homoseksualizmie. Wyjątkiem były jedynie sytuacje, kiedy ojciec określał go mianem tłustej cioty, nie był wówczas w stanie zdobyć się na atak, tylko potulnie przyjmował karę.

– Już, już – dodał Artur, rozbawiony jego reakcją. – O przerwie nie ma mowy. Tak jak wspomniałem wcześniej, twój mózg jest teraz w pełni otwarty. Każda przerwa, nawet taka jak teraz, utrudnia nam pracę i niesie ze sobą ryzyko kolejnych zakłóceń.

– Wobec tego czemu ciągle gadamy? Podobam ci się? Kręci cię krępowanie ciała? A może zakochałeś się i nie chcesz zbyt szybko skończyć procesu, bo już nigdy się nie zobaczymy?

– Tak. – Artur pokręcił głową. – Zdecydowanie lepiej wychodzi ci straszenie niż ironizowanie. – Przez kilka sekund przyglądał się Klaudiuszowi, jakby oceniając jego kondycję psychiczną, po czym wstał i wrócił na swój fotel. – Masz rację – dodał. – Powinniśmy czym prędzej wrócić na pokład promu, ale najpierw musimy coś omówić. Chodzi o dręczące cię wyrzuty sumienia.

Klaudiusz oczekiwał rozwinięcia wypowiedzi, lecz siedzący po drugiej stronie stołu terapeuta sprawiał wrażenie zatopionego w myślach.

– Teraz ty się dekoncentrujesz – zauważył.

– Wręcz przeciwnie. W normalnych warunkach zebrałbym teraz kilku asystentów i przeprowadził burzę mózgów, ale jest, jak jest, i muszę sam sobie radzić. Od samego początku zastanawiało mnie, co wywołało u ciebie amnezję. Wcześniej nazwałem to szokiem, niemniej jestem niemal w stu procentach pewny, że były to wyrzuty sumienia. Nie jest łatwo kogoś zabić, większość ludzi nie potrafiłaby pociągnąć za spust, nawet jeśli od tego zależałoby ich życie. Ty natomiast zamordowałeś czterdzieści dwie osoby. Na statku każda zbrodnia dodawała ci siłę i popychała do następnej, ale później, gdy cię zatrzymano, twój mózg powiedział basta.

– Bzdura. Niczego nie żałuję, no, może jedynie tego, że nie zdołałem wyróżnić wszystkich i wypieprzyć statkiem w jakąś inną jednostkę.

– Nieprawda. Najlepiej pokazują to wizje, w których wcielałeś się w Sebastiana. Myślisz, że tylko przez przypadek nieustannie traciłeś kontakt z dziećmi? A to Dorota zniknęła ci z oczu, a to zraziłeś do siebie wszystkich agresywnym zachowaniem, a to wcieliłeś się w kogoś, kto obserwuje rodzinę Sebastiana. Początkowo myślałem, że to zwykłe zakłócenia, że potrzebujesz więcej czasu, ale wreszcie zrozumiałem, że twój mózg za wszelką cenę próbuje wyprzeć fakt, że zabiłeś niewinne dzieci. Dlatego tak często

powtarzałem, żebyś się na nich skupił. Gdy wreszcie ci się to udało, nastąpił gwałtowny postęp.

– A Laura?

– Ją akurat zawsze mordowałeś z uśmiechem na ustach. To samo dotyczyło stewardes witających gości. Przez jakiś czas myślałem, że jest to spowodowane nienawiścią do ładnych dziewczyn, ale przykład barmanki temu przeczył. Dość powiedzieć, że dopiero w ostatniej wizji przypomniałeś sobie tę rudowłosą piękność, której za miłą obsługę odwdzięczyłeś się roztrzaskaniem czaszki. Wcześniej twój mózg wpychał tam mnie. Polubiłeś ją, nie chciałeś jej zabijać, dręczyły cię z tego powodu wyrzuty sumienia. Jej przykład nie wywoływał jednak aż takich zakłóceń jak wyrzuty sumienia spowodowane zamordowaniem Karolinki i Pawła. Nawet teraz, gdy wszystko już sobie poukładałeś i zaprowadziłeś Laurę i Samantę do sali kinowej, gdzie wszystko się zaczęło, w środku zastałeś tylko Sebastiana, choć w rzeczywistości był tam z dwójką swoich dzieci. Twój mózg to wyczuł, nie potrafił powiązać ze sobą sprzecznych faktów, dlatego kolejny raz wykorzystał postać mordercy w masce świni. Do samego końca próbuje bronić się przed prawdą, przerzucając zbrodnie na jakąś niezidentyfikowaną postać. Poradź sobie z tym. Wejdź tam i rozpocznij przedstawienie. – Pochylił się w stronę Klaudiusza. – Nazywasz się Klaudiusz Wichrowski, twoja matka, Celina Wichrowska, odebrała sobie życie. Nie ma jej na pokładzie, tak jak i nie ma tam ojca Uli. Są za to Sebastian z Dorotą, Karolinką i Pawłem. Zabij ich. Potem rozpraw się z tymi smarkulami i całą resztą hałasty.

Rozdział XXV

Wspaniale było znowu wrócić na pokład MF „Baltica”. Wprawdzie wolałyby zacząć od początku, by móc delektować się nadchodzącym finałem, zamiast od razu wprowadzić dziewczyny do sali kinowej, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Niech no tylko skończą odtwarzanie prawdziwych wydarzeń, a będzie mógł dowolnie zarządzać tym, co się dzieje na promie. Wtedy nigdzie nie będzie się spieszył, nikt nie będzie mu niczego zabraniał czy nakazywał, a Laura będzie grzecznie wykonywać wszystkie jego polecenia.

Pchnął drzwi i z szerokim uśmiechem przestąpił próg pomieszczenia. Tym razem w środku ujrzał pełny skład: Sebastiana, Karolinę i Pawła. Patrząc na Możdżeńów, zaciekawił się, jak wyglądały prawdziwe relacje tej rodziny. Czy Sebastian był dobrym ojcem i mężem? Blżej mu było do tyrana, za wszelką cenę próbującego zrobić z syna prawdziwego mężczyznę, czy do troskliwego ojca, rozumiejącego, że każde dziecko jest inne? A może zdradzał żonę albo sam był rogaczem? Fajnie byłoby poznać prawdę.

– Nie mają nic ciekawego – stwierdził wyraźnie zawiedziony Pawełek.

Od słów dziesięciolatka Klaudiusza bardziej interesowała reakcja dziewczyn.

– Co to w ogóle jest? – parsknęła Samanta. – Chcesz nam puścić slajdy z wakacji z mamusią?

Milcząca przez większość czasu Laura zawtórowała:

– Serio, tak chciałeś nas uwieść? Może tłuste maciory lubią takie klimaty, ale, chłopie, właśnie straciłeś szansę na przygodę życia.

– I tak by niewiele zobaczył. Antek miał rację, tłusty brzuch wszystko by mu zasłonił.

– W sumie racja, pewnie dlatego grubasy pieprzą inne grubasy, przynajmniej widzą jakieś fałdy tłuszczu.

– Fuuuuj! Wyobraziłam to sobie.

Ręka Klaudiusza sama się uniosła i zdzielił blondynkę otwartą dłonią w twarz. Szmata padła na ziemię, jakby oberwała pięścią. Drugą dłonią chwycił Laurę za policzki i mocno je ścisnął. Suki jej pokroju uwielbiają pozować, robiąc słodkie dziubki, ale teraz nie wyszłaby najlepiej na zdjęciu.

– Chłopie! – usłyszał z boku głos Sebastiana. Możdżeń za bardzo wczuł się w filmowy klimat i zamiast wyprowadzić dzieci, wszedł w skórę bohatera broniącego bezbronnych kobiet. Pewnie miał nadzieję, że potem mu się odwdzięczą. – Puść ją, zrobisz jej krzywdę!

Klaudiusz pchnął dziewczynę. Nawet nie patrzył, jak przewraca się obok przyjaciółki i próbuje się podnieść. W pełni skupił się na Sebastianie. Tacy jak on zawsze sprawiali mu problemy. Przystojni, szczupli, pewni siebie – choć mógłby ich zgnieść jak robaki, zawsze pozwalał im na wszystko. Do teraz.

Do perfekcji opanował sztukę przyjmowania ciosów, ale jeszcze nigdy żadnego nie wyprowadził. Nie wiedział, jak uderzyć, gdzie celować, ile siły użyć ani jak bronić się przed kontratakami. Postawił na najprostsze rozwiązanie i rzucił się na mężczyznę, obalił go na ziemię i przygniół swoim ciężarem. Może i Sebastian był zwinniejszy, może miał lepszą kondycję i wysportowaną sylwetkę, ale gdy leży na tobie kłoda, takie rzeczy tracą na znaczeniu.

Z całej siły przycisnęła przedramieniem szyję Sebastiana. Wolałby się wyprostować i zarzucić go ciosami, bał się jednak, że zwyczajnie zbraknie mu sił. Na szczęście nikt nie opisze, jak dokładnie wyglądało pierwsze morderstwo Klaudiusza, a ludziom w pamięci zostanie rzeź nożem, do której miało dojść niebawem.

Pomimo rozczarowania sposobem dokonania pierwszego zabójstwa z przyjemnością czuł pod sobą wiotczące ciało Sebastiana. By mieć pewność, że to już koniec, odczekał kilkanaście sekund po tym, jak ustało charczenie wydobywające się z gardła mężczyzny. Cały czas obserwował Laurę i dzieciaki. Smarkacze grzecznie kwiliły pod ścianą, ale Woźniak zachciało się ucieczki.

– A ty dokąd? – sapnął, podnosząc się znad Sebastiana. Zdziwiło go, jak bardzo zmęczyło go duszenie. Gdy już uzyska kontrolę, popracuje nad kondycją, by nie musieć co chwila robić przerwy na odpoczynek. – Zabawa dopiero się rozkręca!

Dopadł brunetkę i chwycił ją za włosy; były zadbane i delikatne, pewnie używała specjalnego szamponu, odżywki, olejków i innych dziwów, dzięki którym przyciągała wzrok mężczyzn. Klaudiusz w każdym razie był wdzięczny, że dzięki tym wszystkim zabiegom były mocne. Przyjemnie ciągnęło się Laurę za kudły po podłodze.

Piski dziewczyny były donośne, sala kinowa miała jednak tę zaletę, że ją wygłuszono, więc Klaudiusz był pewien, że nikt ich nie słyszy.

– Czekaj na swoją kolej – rzucił, puszczając ją obok w półprzytomnej przyjaciółki.

Teraz najtrudniejsze. Wziął głęboki wdech i spojrzał na wystraszone dzieci. Nie musiał dokonywać pogłębionej analizy własnej psychiki, by w ich przerażeniu dostrzec samego siebie. Ile razy sam podobnie trząsał się ze strachu przed ojcem, płakał i z całej siły zaciskał powieki, by nie widzieć nadchodzącego ciosu? Ile razy czuł się zupełnie bezbronny? Ile razy pragnął, by to wszystko okazało się tylko złym snem, po którym obudzi się w swoim łóżku, a w sąsiednim pokoju będą spali kochający go rodzice?

Nie mógł im wyrządzić krzywdy. Dzieci nie powinny cierpieć. To nie ich wina, że ojciec idiota, zamiast uciec z nimi jak najdalej od agresywnego mężczyzny, postanowił zabawić się w bohatera. I tak już dużo przeszły. Na własne oczy widziały śmierć taty, czegoś takiego nigdy nie zapomną. Zamiast przysparzać im bólu i cierpienia, powinien umożliwić

ucieczkę i znalezienie ukochanej matki. Ona pomoże. Ona je przytuli. Otrze im łzy, zapewni bezpieczeństwo.

– Nie... – mruknął pod nosem. – Nie jesteśmy podobni. W waszym wieku modliłem się o śmierć ojca. Nie macie pojęcia, czym jest prawdziwe cierpienie. Nie wiecie, jak to jest chcieć umrzeć. Pieprzone rozpuszczone bachory w drodze do parku rozrywki. Jak się przewrócicie, to mamusia pocałuje podrapane kolanko i przyklei plasterek, jak będziecie się bały zjechać ze zjeżdżalni, to powie wam, że nie musicie, albo spróbuje zjechać razem z wami, a gdy nauczycie się nurkować, będzie bić brawo i nakręci wasze wyczyny. Nie, wcale nie jesteśmy do siebie podobni.

Zerknął na Laurę. Dziewczyna płakała, leżąc na podłodze, sparaliżowana przez strach, mógł zająć się dziećmi. Im szybciej się z nimi upora, tym lepiej. Później, gdy przejmie kontrolę nad wspomnieniem, usunie ten fragment. Może bachory były rozpuszczone, może nie wiedziały, czym jest prawdziwe życie, ale na promie było dużo więcej atrakcyjniejszych zajęć niż duszenie ich gołymi rękami.

Stanął nad Pawełkiem i chwycił go za głowę. Z jednej strony chciał jak najszybciej skrócić mu kark, z drugiej odwlekał to w czasie. Wstydził się własnej słabości, a jednak miał nadzieję, że postać w masce świni znów wejdzie do kina i nie pozwoli mu zabić dzieci.

– Żałosna ciota – usłyszał w głowie głos ojca. – Nie nadajesz się do niczego.

– Cicho – odparł łamiącym się głosem.

– Nie potrafisz wykonać najprostszego zadania. Idź, skul się w kąciку i płacz, jak na tłustego pedała przystało. Brzydzę się tobą.

– Zamknij się.

– Jesteś nikim. Jesteś moją największą porażką. Zawsze się ciebie wstydziłem. Pieprzona niedojda, niedorozwój, ofiara losu...

Zacisnął powieki i przekręcił głowę chłopca. Spodziewał się większego oporu, nie sądził, że tak łatwo jest zabić, że po cichym trzasku łamanej kości nastąpi tylko pisk przerażonej dziewczynki stojącej obok.

– Sam jesteś żalosny – stwierdził, otwierając oczy. – Teraz popatrz, co z tobą zrobię, gdy zyskam kontrolę. Zapraszam na pokład, będziesz gościem honorowym.

Rozdział XXVI

Pamiętał śmierć każdego z czterdziestu dwóch pasażerów. Niektórzy ginęli szybciej, inni długo się męczyli, a kilka osób ledwie zdało sobie sprawę, że ich życie właśnie dobiegło końca. Po rozprawieniu się z dziećmi i pyskatymi dziewczynami wrócił do swojej kajuty, wyciągnął nóż i przystąpił do dzieła. Zaczął od sąsiednich pomieszczeń. Grzecznie pukał, czekał, aż ktoś mu otworzy, po czym wchodził do środka i dokonywał rzezi. Po szóstej kajucie na jego poziomie zrobiło się zbyt głośno, kilka osób wybiegło na korytarz, ktoś mówił o wezwaniu ochrony, ktoś płakał, ktoś stracił przytomność. Klaudiusz mógłby spróbować zamordować wszystkich pasażerów z jedenastego poziomu, ale byłoby to niesprawiedliwe.

– Trochę cię poniosło – stwierdził Artur. – Gdybyś miał lepszą strategię, dałbyś radę zabić co najmniej dwadzieścia osób więcej. Kto wie, może nawet zaliczyłbyś trzycyfrową liczbę?

Znów siedzieli naprzeciw siebie. Znów dzielił ich tylko stół, przez który Klaudiusz z chęcią przerzuciłby rozmówcę i skręcił mu kark. Co się odwlecze, to nie uciecze. On też dostanie specjalne zaproszenie na pokład statku.

– Następnym razem pójdzie mi lepiej – zakpił.

– Nie zmienia to faktu, że dotarliśmy do końca. Pamiętasz już wszystko: oczekiwanie w kolejce, wejście na pokład i do kajuty, spotkanie Laury i Samanty, pierwsze morderstwo w kinie i tak dalej, i tak dalej. Jak się z tym czujesz?

– A jak mam się czuć? Chcę tam wrócić i rozegrać wszystko po swojemu.

– Po swojemu, czyli jak? Będziesz gwałcił dziewczyny?

– To już nie twoje zmartwienie. Odniosłeś sukces, idź, ogłoś to całemu światu.

– Nie omieszkam, najpierw jednak wszystko sobie podsumujmy. – Pochylił się, by po coś sięgnąć. Po chwili położył przed sobą cztery teczki. Na trzech z nich widniały nazwiska doskonale znane Klaudiuszowi z pokładu MF „Baltica”. Na ostatniej dostrzegł własne personalia. – Przede wszystkim dziękuję za wykonaną pracę – powiedział po chwili Artur, otwierając pierwszą teczkę. – Długo zajęło mi przygotowanie odpowiedniego scenariusza, ale uzyskany efekt jest w pełni satysfakcjonujący.

– Jakiego znowu scenariusza?

– Zaraz wszystko zrozumiesz.

Wstał i podszedł do drzwi. Tym razem nie uderzył w nie, by wezwać stojących po drugiej stronie strażników, tylko po prostu je otworzył. Wichrowski poczuł się nieswojo. Nie lubił, gdy Artur mówił i zachowywał się w ten sposób. Był zbyt pewny siebie, niczym szachista, który już wie, że po dziesięciu ruchach pokona przeciwnika.

– Jesteście wolni – oznajmił strażnikom. – Dajcie mi klucze od kajdanek i do celi, dalej sobie poradzę.

– Na pewno?

– Tak, spektakl dobiegł końca. Pora wrócić do normalności. Dzięki za wszystko.

Po kilku sekundach wrócił na swoje miejsce i położył klucze na stole. Klaudiusz wiedział, że to kolejna sztuczka, że w ten sposób psycholog miesza mu w głowie, mimo to zapytał:

– Już się mnie nie boisz? Nie potrzebujesz dwóch goryli? Sam mnie rozkujesz? To trochę ryzykowne.

– Od początku byli tylko tłem, dekoracją, by dodać przedstawieniu autentyczności. To, co zaraz usłyszysz, może trochę namieszać ci w głowie, ale gwarantuję, że będziesz zadowolony. Zaczniemy może od dobrej wiadomości: nie spędzisz całego życia w więzieniu ani nie zginiesz z rąk innego więźnia przy pierwszej możliwej okazji.

– Bo mnie zamienisz w roślinę. Mamy umowę...

– Proszę, powstrzymaj się z pytaniami i komentarzami, aż skończę. To, co chcę ci przekazać, i tak jest już wystarczająco skomplikowane. Nie utrudniaj tego, bo spędzimy tu kolejną dobę. – Spojrzał na Klaudiusza, jakby chciał się upewnić, że ten zrozumiał przesłanie, po czym odwrócił w jego stronę otwartą teczkę Sebastiana Moźdżenia i kontynuował, wskazując palcem rodzinne zdjęcie: – Nie muszę ci przedstawiać tej szczęśliwej, kochającej się rodziny. Nie jestem autorytetem w sprawach małżeńskich, niemniej tych dwoje sprawia wrażenie idealnie do siebie dopasowanych. Piętnaście lat po ślubie, dwoje względnie udanych dzieci, spłacony kredyt, raz w roku wspólne wakacje... Szczerze mówiąc, trudno się do czegoś przyczepić.

Klaudiusz poruszył się na krześle.

– Nie rozumiem – stwierdził. – Dopiero co miałem uporać się z wyrzutami sumienia, a teraz wyskakujesz mi z czymś takim?

W odpowiedzi Artur wyciągnął jedną z kartek i podsunął Wichrowskiemu.

– To fotografia sprzed dwóch dni. Na pierwszym planie widać Sebastiana pałaszującego podwójnego burgera. Jak przystało na pierworodnego syna, Paweł siedzący obok też pochłaniał ogromną porcję mięsa. Panie nie zapychały się tłuszczem – Dorota najwyraźniej dbała o linię i wybrała sałatkę, a Karolina nie uznawała niczego poza frytkami.

Wichrowski otworzył usta, lecz Artur uciszył go ruchem dłoni.

– Mówiłem, że to skomplikowane – dodał, uprzedzając kolejne pytanie. – Dlatego właśnie zależy mi, żebyś najpierw mnie wysłuchał. Tak, Sebastian i jego rodzina żyją i mają się całkiem dobrze. Żywiąc się w ten sposób, Moździeń nie dożyje starości, ale

w jego uśmierceniu nie będziesz miał udziału. – Sięgnął po drugą teczkę i otworzył przed Klaudiuszem: – Laura Woźniak też nie wygląda na amatorkę burgerów. Lubi za to imprezować na plaży w Sopocie, o czym możesz się przekonać dzięki zdjęciu zrobionemu dokładnie cztery dni temu...

Mówił dalej, pokazał Samantę i Antka, Wichrowski jednak nie odrywał wzroku od teczki ze swoim nazwiskiem. Nic z tego nie rozumiał. Słowa Artura kłóciły się ze wspomnieniami, które z takim trudem wydobywali razem z jego umysłu. Czemu to miało służyć?

– Widzę, że nie możesz się doczekać najważniejszego – dodał Artur. – Dobrze więc, przejdźmy do Klaudiusza Wichrowskiego, drobnego złodzieja o niezbyt bogatej kartotece kryminalnej. Pewnie dalej żyłby z miesiąca na miesiąc, łapiąc drobne fuchy, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek, w którego wyniku zginęła dwudziestoczteroletnia kobieta, a jej partner już do końca życia będzie jeździł na wózku inwalidzkim. – Podsunął Klaudiuszowi zdjęcie roztrzaskanego samochodu. Wichrowski nie miał zamiaru dokładniej mu się przyglądać. Nie da się wciągnąć w kolejną grę.

– Daruj sobie te sztuczki – rzucił, udając kompletny brak zainteresowania.

– Na twoją niekorzyść przemawiały dwa fakty: po pierwsze, miałeś ponad promil alkoholu we krwi, po drugie, jechałeś skradzionym samochodem.

– Bzdura. Ja nawet nie mam prawa jazdy, w życiu nie siedziałem za kierownicą, ojciec mi na to nie pozwolił. Mówił, że się do tego nie nadaję.

– Nieprawda. Ojciec mocno trzymał za ciebie kciuki, kiedy zdawałeś egzamin. Był z ciebie dumny, trochę się bał, ale pożyczył ci auto.

– Ta, może jeszcze kupił mi mieszkanie, żebym w pełni się usamodzielniał?

– Nie, nigdy nie posiadałeś mieszkania. Przez dwadzieścia siedem lat mieszkałeś z rodzicami. Później wynajęłeś kawalerkę w Gdyni. Mieszkałeś tam do feralnego wypadku, potem właściciel wypowiedział ci umowę.

Klaudiusz tylko pokręcił głową. Dawno już nie słyszał podobnych bzdur.

– Spokojnie, wszystko sobie przypomnisz – dodał Artur. – W ostateczności powtórzymy proces podobny do tego, który właśnie zakończyliśmy, z tą różnicą, że tym razem będziesz odtwarzał prawdziwe wspomnienia. – Położył przed nim kolejne kartki. – Tu masz wszystko dokładnie opisane, na spokojnie się zapoznaj z całą dokumentacją. Znajdziesz tam między innymi wyrok sądu skazujący cię na sześć lat pozbawienia wolności, dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów i karę dziesięciu tysięcy złotych na rzecz funduszu pokrzywdzonych. Pieniądze wpłacili twoi rodzice. Pod spodem znajduje się również podpisana przez ciebie zgoda na przeprowadzenie eksperymentu naukowego, za co twoja kara miała zostać skrócona o połowę. Jest też oczywiście dokładny opis eksperymentu, ale myślę, że tego akurat nie trzeba ci tłumaczyć.

Wichrowski spojrzął na zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego mężczyznę. Spodziewał się zobaczyć samego siebie, tymczasem nieznamy był od niego znacznie niższy, chudszy

i drobniejszy.

– Tak, widzę, że zwróciłeś uwagę na wygląd. To moja sprawka – usłyszał. – Może to nie do końca profesjonalne, ale nie mogłem się powstrzymać od rozszerzenia eksperymentu. W pierwotnych założeniach miał wykazać, czy można drugiej osobie wszczepić wspomnienia, nawet najbardziej makabryczne. Odpowiedź już znasz. Uwierzyłeś, że jesteś bezwzględny mordercą, choć w rzeczywistości w świadomy sposób nie skrzywdziłbyś nawet muchy. Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Wypadek, w wyniku którego zginęła tamta kobieta, kosztował cię wiele zdrowia. Tak trafiłeś pod moje skrzydła, tak też zostałeś wytypowany do udziału w eksperymencie. Trochę z przekory, trochę ze względu na zawodowe ambicje postanowiłem utrudnić nam zadanie: nie dość, że miałeś uwierzyć, że jesteś mordercą, to na dodatek wmówiłem ci, że jesteś dużo wyższy i masz ogromną nadwagę. Zabawne, że nawet pomiędzy wizjami widziałeś w sobie silnego kolosa. Strażnicy przewyższali cię o głowę, z dziecinną łatwością mogli połamać ci ręce, mimo to patrzyłeś na nich z góry, jakbyś to ty mógł napluć im na czubek głowy.

– To jakiś chory żart.

– Nie, przełom naukowy. To oczywiście dopiero początek, ale w ten sposób w przyszłości będzie można programować ludzi. Gdy zaczynaliśmy, nie miałeś nawet kajdanek. Siedzieliśmy sami, bez strażników. Im więcej czasu spędzałeś na promie, tym bardziej stawałeś się agresywny. Kulminacją w twojej przemianie był atak za pomocą lusterka. Mógłbym mieć do ciebie pretensje, ale tak naprawdę byłem wtedy szczęśliwy.

Klaudiusz spojrział na swoje dłonie. Były chude, kościste. Tak samo prezentowały się jego ręce i nogi. Podniósł wzrok na Artura i z zaskoczeniem stwierdził, że siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna wcale nie jest taki niski, za jakiego go wcześniej uważał.

– To niemożliwe – stwierdził. – Przecież pamiętam prom, Sebastiana, Laurę...

– Przeczytałeś ich teczki osobowe, widziałeś kilka nagrań. W rzeczywistości nigdy nie byłeś na MF „Baltica”, nie doszło tam do zbrodni, wszystko to było przygotowanym wcześniej scenariuszem. Jesteś rozbity, to zrozumiałe, spójrz jednak na to z innej strony. Będziesz miał krótszy wyrok, czeka cię normalne życie na wolności, masz kochających rodziców.

– Obiecałeś... – Klaudiusz zacisnął obie dłonie w pięści. – Zawarliśmy umowę! Miałeś przenieść mnie na prom, miałem uzyskać pełną kontrolę nad wydarzeniami!

Artur potarł oczy. Słowa Wichrowskiego najwyraźniej go zaskoczyły. Zapewne spodziewał się wybuchu radości, Klaudiusz tymczasem marzył o powrocie na statek. Tam było jego miejsce, tam czuł się dobrze, tam mógł dać upust wszystkim emocjom. Nie był żadnym chudzielcem, nie był kurduplem, którego wszyscy mogą popychać. Nie był miernotą płaczącą po stłuczce samochodowej. Był Klaudiuszem Wichrowskim, silnym mężczyzną, który zamordował czterdzieści dwie osoby. Nikt mu nie wmówi, że było inaczej.

– Interesujące – stwierdził po chwili Artur. – Dalej chcesz tam wrócić? Pamiętaj, że nie jesteś tamtym człowiekiem. Nie jesteś mordercą. To normalne, że wszystko ci się teraz myli, ale czeka cię prawdziwe życie.

– Dałeś słowo!

– Fascynujące. Nie przewidziałem tak silnego połączenia. No nic, niech ci będzie, zasłużyłeś na to. Scena jest twoja. Baw się dobrze.

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI